

Harry Mulisch

ZAMACH

PRZEŁOŻYŁ RYSZARD PYCIAK

CZYTELNIK • WARSZAWA 1988

Wszędzie był już dzień, lecz tutaj była noc,
nie, więcej niż noc

C. Plinius Caecilius Secundus *Epistulae*, VI, 16

Prolog

Dawno, dawno temu, podczas drugiej wojny światowej, mieszkał na przedmieściu Haarlemu z rodzicami i bratem niejaki Anton Steenwijk. Przy ulicy, która była zarazem nabrzeżem kanału, lecz skręcając sto metrów dalej łagodnym łukiem, przedstawiała być nabrzeżem i biegła dalej już jako zwyczajna ulica, stały w niewielkich odstępach cztery domy. Wśród zieleni drzew, z małymi balkonikami, werandami i stromymi dachami wyglądały jak wille, choć były raczej niepokazne; we wszystkich pokojach na piętrach miały pochyle ściany. Były wyraźnie zaniedbane, bo i w latach trzydziestych nie przeprowadzano tu żadnych poważniejszych remontów. Każdy z domów posiadał jednak przyzwoitą, mieszczańską nazwę, pochodzącą z wcześniejszych, beztroskich dni: *Przytulny*, *Wypoczynek*, *Niespodzianka*, *Oaza Spokoju*.

Anton mieszkał w drugim od lewej: tym z trzcinowym dachem. Swą nazwę nosił on już wtedy, gdy rodzice, na krótko przed wojną, go wynajęli; ojciec wolałby jakąś inną, na przykład „*Eleutheria*” lub coś w tym rodzaju, i do tego wypisaną greckimi literami.

W „*Przytulnym*” mieszkali Beumerowie, emerytowany, chorowity prokurent z żoną. Anton często do nich zaglądał, był wtedy przyjmowany herbatą i kawałkiem ciasta, przynajmniej tak długo, jak długo mieli herbatę i ciasto, a bywało tak jeszcze przed początkiem tej historii, która jest historią pewnego przypadku. Niekiedy pan Beumer czytał mu na głos ten czy inny rozdział z „*Trzech muszkieterów*”. Pan Korteweg, sąsiad z drugiej strony, z „*Niespodzianki*”, był bosmanem żeglugi wielkiej, zmuszonym przez wojnę do bezczynności. Karin, jego córka, która była pie-

łęgniarką, wprowadziła się do niego po śmierci żony. Anton i tam niekiedy zaglądał przechodząc przez dziurę w żywopłocie od strony ogrodu; Karin była zawsze miła, ale jej ojciec zupełnie go nie zauważał. Mieszkańcy tych domów nie utrzymywali ze sobą bliższych kontaktów, ale małżeństwo Aarts, które od rozpoczęcia wojny zamieszkiwało w „Oazie Spokoju”, izolowało się najbardziej. On ponoć miał jakąś posadę w towarzystwie ubezpieczeniowym, ale nawet i to nie było pewne.

Te cztery domy miały prawdopodobnie stanowić początek nowej dzielnicy, z której jednak nic nie wyszło. Dalej wzdłuż ulicy i za domami zaczynały się nieużytki porośnięte krzewami i chwastami, ale i drzewami. Właśnie na owych „polach” Anton spędzał najwięcej czasu; bawiły się tam również dzieciaki z sąsiedztwa, mieszkające trochę dalej. Gdy gęstniał zapadający mrok, a matka, bywało, nie pamiętała o tym, by go zawołać do domu, nad „polami” unosiła się przesycona zapachami cisza, napełniająca go oczekiwaniami nie wiadomo czego. Czegoś, co zdarzy się potem, gdy będzie już dorosły. Nieruchoma ziemia i liście. Dwa komary, które ni stąd, ni zowąd zaczęły brzęczeć nad jego głową. Życie będzie tak tajemnicze i nieskończone, jak te wieczory, w które o nim zapominano.

Jezdnia była z cegieł ułożonych od licowej strony w jodełkę. Przechodziła bez chodnika w trawiaste pobocze, łagodnie opadające w kierunku biegnącej tuż nad kanałem ścieżki, na której przyjemnie było przysiąść lub wygodnie poleżeć oparłszy się plecami o stok. Po drugiej stronie szerokiego kanału — jedynie łagodne jego zakole wskazywało na to, że był ongiś rzeką — stało kilka domków, w których mieszkali z rodzinami robotnicy wynajmujący się do prac na roli, oraz małe chłopskie zagrody, a dalej, aż po sam horyzont, ciągnęły się już tylko łąki i pastwiska. Za nimi leżał Amsterdam. Ojciec opowiadał, że przed wojną można było niekiedy dostrzec jego odbicie na obłokach. Anton był tam kilka razy, w ogrodzie zoologicznym, który nazywa się „Artis”, i w Muzeum Narodowym, i u swego wuja, u którego nawet raz nocował. Na prawo, tam gdzie kanał łagodnie zakręcał, stał młyn, który nigdy nic nie miał.

Leżąc tak ze wzrokiem wbitym w dal, Anton musiał niekiedy podciągnąć nogi. Po wydeptanej ścieżce wzdłuż kanału zbliżał

się mężczyzna przychodzący jakby wprost z minionych wieków: zgięty wół nad długą żerdzią, której drugi koniec umocowany był do dziobu płaskodennej łodzi, ciągnął ją posuwając się powolnymi krokami. Przy sterze łodzi stała najczęściej żona, w fartuchu, z włosami związanymi z tyłu głowy, a na pokładzie bawiło się dziecko. Żerdź była używana także w inny sposób. Mężczyzna wchodził na pokład łodzi i przechodził wzdłuż jej burty z rufy na dziób, ciągnąc przy tym za sobą żerdź po wodzie; gdy już był na dziobie, ustawiał ją skośnie do dna, ujmował mocno oburącz i opierając się na niej całym ciałem, szedł z powrotem, nogami pchając łódź do przodu. Antonowi to właśnie zawsze najbardziej się podobało: człowiek idący do tyłu po to, żeby coś pchać do przodu, a równocześnie pozostający wciąż w tym samym miejscu. Było w tym coś niezwykłego, ale Anton z nikim o tym nie rozmawiał. To była jego tajemnica. Dopiero później, gdy opowiadał o tym swoim własnym dzieciom, zdał sobie sprawę z tego, w jakich kiedyś żył czasach. Jeszcze tylko na filmach o Afryce i Azji można było zobaczyć podobne sceny.

Kilka razy dziennie przepływały tamtędy barki z ciemnobrązowymi żaglami, wyładowane po brzegi różnymi towarami, wychodzące cicho zza jednego zakrętu i sunące w spokojnej powadze dzięki niewidocznemu wiatrowi do następnego zakrętu. Ze statkami motorowymi było inaczej. Buchając parą z komina rozcinały dziobem powierzchnię wody na kształt litery V, rozszerzającej się coraz bardziej, dopóki jej ramiona nie dotknęły brzegu: potem woda zaczynała gwałtownie przybierać i opadać, uderzając regularnie o brzeg, choć statek był już daleko. Woda odbijała się tworząc teraz tę samą literę V, lambdę, ale odwróconą, która zamykała się coraz dalej i zderzała z początkowym V, i tak zniekształcona osiągała przeciwległy brzeg, znów się odbijała, aż na całej szerokości kanału powstawał skomplikowany splot fal, który jeszcze przez kilka minut przechodził wszelkie możliwe przemiany, zanim powierzchnia wody znów się uspokoiła i stała gładka.

Za każdym razem Anton starał się dojść, jak to dokładnie przebiegało, ale zawsze poszczególne elementy przybierały kształt dla niego zupełnie nieprzenikniony.

I

Było gdzieś koło wpół do ósmej wieczór. Przez parę godzin w żelaznym piecyku żarzyły się drewniane polana, ale teraz znów było zimno. Z rodzicami i Peterem siedzieli wokół stołu w pokoju od ogrodu. Na stole, na talerzu, stał cynowy cylinder, wystawała z niego cienka rozwidlona rurka w kształcie litery y. Z otworków na jej końcach wydobywały się cieniutkie, jaskrawe płomyczki. Urządzenie to rozświetlało zimną poświatą pokój, w którym wśród ostrych cieni można było dostrzec suszącą się bieliznę, naprawianą w nieskończoność, kuchenne naczynia, stertę nie wyprasowanych koszul, pojemnik do przechowywania ciepłego jedzenia. Były tam też książki z gabinetu ojca: rząderek na bufecie był do czytania, sterta powieściadeł na podłodze do rozpalać w żelaznym piecyku, na którym się też gotowało, jeśli było co ugotować; gazety nie ukazywały się już od wielu miesięcy. Poza spaniem życie domowe toczyło się w całości w tym właśnie pokoju, dumnie zwanym niegdyś stołowym. Przesuwane drzwi były zamknięte. Za nimi, od strony ulicy, znajdował się pokój dzienny, do którego przez całą zimę nikt nie wchodził. Aby jak najlepiej zabezpieczyć dom przed zimnem, okiennice pozostawały zamknięte również w dzień, tak iż z zewnątrz wyglądał on jak nie zamieszkanym.

Był styczeń 1945 roku. Prawie cała Europa, już wyzwolona, świętowała, jadła, piła, kochała się i powoli zaczynała zapominać o wojnie, ale Haarlem coraz bardziej przypominał szary popiół, taki jak ten, który wyjmowało się z pieca, gdy był w nim jeszcze żarzący się węgiel.

Przed matką na stole leżał granatowy sweter. Została z niego już tylko połowa. W lewej ręce matka trzymała duży motek, na

który prawą szybko nawijała wełnę ze swetra. Anton patrzył na tę biegającą tam i z powrotem nic i kończący swój byt, zmieniający się w granatową kulę sweter, który z płasko rozłożonymi na stole rękawami wyglądał tak, jakby chciał kogoś przed czymś powstrzymać. Gdy w pewnej chwili matka uśmiechnęła się do niego, chłopiec znowu wbił wzrok w książkę. Jasne włosy matki, zaplecione w warkocze i upięte nad uszami, przypominały dwa rogale. Od czasu do czasu matka przestawała na chwilę pruć i popijała ostygły już surogat herbaty, na który wodę w postaci śniegu przyniesiono z ogrodu za domem. Wodociąg prawdopodobnie nie był jeszcze odcięty, lecz zamarznięty. Matka miała dziurę w zębie, nic nie można było na to poradzić, więc podobnie jak to czyniła zwykle jej matka, włożyła do zęba goździk. Udało jej się jeszcze znaleźć ich kilka w kuchni. Tak jak matka siedziała wyprostowana, tak ojciec, siedzący naprzeciwko, pochyłony był nad książką. Jego ciemne, ale siwiejące włosy sterczały sztywno jak szczotka ryżowa wokół wyłysiałej pośrodku głowy; od czasu do czasu ojciec chuchał w ręce, duże i niezgrabne, choć nie był robotnikiem, lecz sekretarzem sądu rejonowego.

Anton ubrany był w rzeczy, z których wyrósł już jego brat, Peter natomiast miał na sobie za duże, czarne ubranie ojca. Ponieważ zaczął gwałtownie rosnać akurat w tym czasie, gdy było coraz mniej jedzenia, wyglądał przy swoich siedemnastu latach tak, jakby jego ciało składało się z cienkich, drewnianych listewek. Odrabiał właśnie zadanie domowe. Od kilku miesięcy w ogóle nie wychodził z domu: osiągnął wiek, w którym, gdyby mu się przytrafiło dostać w łapankę, zostałby wywieziony na roboty do Niemiec. Dwukrotnie powtarzał tę samą klasę, dlatego był dopiero w czwartej gimnazjalnej. Ojciec przerabiał z nim teraz cały program, łącznie z zadaniami domowymi, po to, żeby Peter nie został jeszcze bardziej w tyle. Bracia byli tak samo do siebie niepodobni jak rodzice. Zdarzają się takie pary, w których mąż i żona są do siebie zadziwiająco podobni, co być może znaczy, że żona podobna jest do matki męża a mąż do ojca żony (albo też jest to nieco bardziej skomplikowane), lecz rodzina Steenwijków składała się z dwóch wyraźnie różniących się części: Peter miał po matce jasne włosy i niebieskie oczy, Anton po ojcu włosy ciemne a oczy brązowe, na dodatek orzechowy od-

cień skóry, pod oczami jeszcze nieco ciemniejszej. On też tymczasowo nie chodził do szkoły. Był w pierwszej licealnej, ale z braku węgla przedłużono ferie świąteczne na tak długo, jak długo będą trwały mrozy.

Ssało go w żołądku z głodu, nic jednak nie można było na to poradzić, wiedział, że dopiero jutro rano może dostać kromkę gliniastego, szarego chleba z melasą buraczaną. W południe odstał godzinę w kolejce do centralnej kuchni, znajdującej się w budynku szkoły. Ręczny wózek z garami i kotłami, eskortowany przez policjanta z karabinem na ramieniu, wyjechał na ulicę dopiero o zmierzchu. Po wycięciu kartek nalano mu do garnka cztery chochle wodnistej zupy. Wracając przez łąki do domu, popróbowował zaledwie ciepłej, żurowatej ciecicy. Na szczęście była już pora, żeby iść spać. A w jego snach zawsze panował pokój.

Nikt się nie odzywał. Z ulicy też nie dochodził żaden dźwięk. Miało się wrażenie, że wojna zawsze trwała i już zawsze ma trwać. Ani radia, ani telefonu, żadnej łączności ze światem zewnętrznym. Syczały tylko białe płomyczki na stole. Anton, zawinięty w szal, ze stopami w dużej mufie uszytej przez matkę ze starej torby na zakupy, czytał w „Przyrodzie i Technice” — dostał na urodziny używany rocznik tego czasopisma z 1938 roku — artykuł pt. „List do potomnych”. Na fotografii grupa dobrze prezentujących się Amerykanów w koszulach z zawiniętymi rękawami spoglądała w górę na wiszący nad ich głowami duży, błyszczący przedmiot w kształcie torpedy, który za chwilę miał być opuszczony na głębokość piętnastu metrów pod ziemię. Dopiero za pięć tysięcy lat pojemnik ten będzie mógł zostać otwarty przez potomnych, którzy na podstawie jego zawartości uzyskają obraz cywilizacji ludzkiej z okresu wystawy światowej w Nowym Jorku. W panczerzu tego niewiarygodnie wytrzymałego „Cupaloy” umieszczony był cylinder z żaroodpornego szkła wypełniony setką przedmiotów: było tam m.in. mikroarchiwum zawierające ujęte w dziesięciu milionach słów i tysiącu fotografii dane na temat aktualnego poziomu nauki, techniki i sztuki, poza tym gazety, katalogi, najslynniejsze powieści, oczywiście także Biblia i Ojciec Nasz w trzystu językach, posłania od wielkich ludzi epoki, a także zdjęcia filmowe ze straszliwych japońskich bombardowań Kantonu w 1937 r., nasiona różnych

roślin, przełącznik elektryczny, suwak logarytmiczny i wszelkie inne możliwe rzeczy; nawet damski kapelusz — moda „jesień 1938”. Wszystkie ważne biblioteki na świecie zostały zawiadomione o miejscu, w którym znajduje się wypełniony betonem „wieczny szyb”. Chodziło o to, żeby można go było odnaleźć w siedemdziesiątym wieku. Ale dlaczego trzeba z tym czekać aż do 6938 roku?, zastanawiał się Anton. Czy wcześniej nie mogłoby to być równie interesujące?

— Tato! Ile to jest pięć tysięcy lat temu?

— Właśnie pięć tysięcy — odpowiedział pan Steenwijk, nie podnosząc oczu znad książki.

— No tak, to jasne, ale czy wtedy... to znaczy, chodzi mi o to...

— No, wydukaj, o co ci chodzi.

— Chodzi o to, czy tamci ludzie, tak samo jak teraz...

— Mieli jakąś cywilizację? — wyręczyła go matka.

— No właśnie.

— Dlaczego nie pozwalasz mu sformułować tego samodzielnie? — zapytał Steenwijk, spojrzawszy na nią sponad okularów. I zwrócił się do Antona: — Owszem, mieli, ale była jeszcze w powijakach. W Egipcie, w Mezopotamii. Dlaczego pytasz?

— Dlatego, że tu właśnie piszą o tym...

— Gotowe! — oznajmił Peter podnosząc głowę znad słowników i podręczników gramatyki. Podsunął swój zeszyt ojcu i stanął obok Antona.

— Co czytasz?

— Nic takiego — odpowiedział Anton zasłaniając książkę górną połową ciała i skrzyżowanymi rękami.

— Pokaż mu, Tonny — skarciła go matka i odepchnęła lekko, żeby się wyprostował.

— On też mi nigdy nie pokazuje.

— Paskudne kłamstwo, Antonie Mussert — odciął się Peter, na co Anton chwycił palcami nos i zaczął śpiewać:

„Bo urodziłem się tak jak Pech
i tak jak Pech umrę też...”

— Spokój! — zareagował na to ojciec i uderzył dłonią w stół. Anton nosił takie samo imię jak przywódca holenderskich

faszystów Mussert i z tego powodu musiał często wysłuchiwać podobnych drwin. W czasie wojny faszyci z reguły nadawali swoim synom imię Anton lub Adolf, a nawet Anton Adolf, jak obwieszczały dumne zawiadomienia o narodzinach ich potomków, opatrzone starogermańskimi znakami i runowymi hieroglifami. Gdy później jako dorosły mężczyzna spotykał kogoś, kto nosił takie właśnie imię albo do kogo zwracano się Ton lub Dolf, to starał się oszacować, czy data urodzenia tego kogoś nie przypada na okres wojny; jeśli tak, jego rodzice, jak dwa a dwa cztery, mieli zapaskudzone konto i to często dość poważnie. W dziesięć czy piętnaście lat po wojnie imię Anton znów stało się normalnym imieniem, co tylko potwierdziło miałkie i epizodyczne znaczenie Musserta; nigdy jednak na powrót nie zaakceptowano Adolfa. Dopiero wtedy, gdy znów zaczęły się pojawiać mali Adolfowie, można będzie uznać, że druga wojna światowa należy już do przeszłości. Aby tak się stało, potrzebna byłaby najpierw trzecia wojna — wówczas z Adolfami pożegnaliśmy się raz na zawsze. Piosenka, którą zanucił Anton, żeby odgryźć się bratu, też nie jest zrozumiała bez dodatkowego komentarza: był to nosowy tembr komika radiowego, który wówczas, gdy można jeszcze było posiadać radio, występował pod pseudonimem Peter Pech. Ale teraz jest znacznie więcej rzeczy niezrozumiałych — głównie dla samego Antona.

— Siadaj no tu, koło mnie — polecił Steenwijk starszemu synowi, biorąc do ręki jego zeszyt. Podniosłym głosem zaczął czytać jego przykład:

— „Jak nabrzmiałe deszczem i topniejącym śniegiem rzeki spływające z gór w pucharze doliny swe przeogromne masy wody, tryskające z przebogatych źródeł, w przepastnym korycie jednoczą — aż pasterz daleko w górach słyszy ich ogłuszający huk, tak właśnie rozbrzmiewał krzyk i bitewna wrzawa zmagających się ze sobą żołnierzy...” Jakież to jednak wspaniałe — rzekł z zadumą Steenwijk, opierając się w fotelu i zdejmując na chwilę okulary.

— Tak, bomba — przytaknął Peter. — Szczególnie jeśli trzeba było półtorej godziny męczyć się z tym przeklętym zdaniem.

— Ono jest warte całego dnia. Popatrz, jak autor przywołuje

w tym opisie zjawiska przyrody, ale tylko pośrednio, w tym porównaniu. Zauważyłeś to? W twojej pamięci pozostają nie walczący ze sobą żołnierze, ale właśnie ten obraz majestatycznej przyrody — tak jest i teraz. Pole bitewne znika, ale rzeki trwają nadal, możesz je wciąż słyszeć, jesteś wtedy takim pasterzem. To tak, jakby autor chciał powiedzieć, że całe bytowanie jest tylko porównaniem wyjętym z innej opowieści i chodzi o to, żeby właśnie tę opowieść poznać.

— No i znowu jest nią wojna — odpowiedział na to Peter.

Steenwijk jakby nie dosłyszał słów syna.

— Wspaniała robota, chłopcze. Z wyjątkiem jednego maleńkiego błędu. To nie „rzeki” się zbiegają, ale „dwie rzeki”.

— W którym to miejscu?

— Tutaj: symballeton to dualis, schodzenie się dwóch rzeczy, dwóch. Dopiero wtedy odpowiada to dwóm armiom. Jest to forma, która występuje tylko u Homera. Zwróć uwagę, że „symbol” pochodzi od symballo, „zestawiać, spotykać”. Wiesz, co znaczył symbolon?

— Nie — odrzekł Peter tonem, z którego jednoznacznie wynikało, że wcale nie pragnie się tego dowiedzieć.

— Co to znaczyło, tato? — zainteresował się Anton.

— Był to kamień, który rozbijano na dwie części. Wyobraź sobie, że przebywam jakiś czas w innym mieście i proszę swojego gospodarza, żeby i ciebie któregoś dnia przyjął pod swój dach, ale gdy się u niego zjawisz, to skąd on ma wiedzieć, że ty naprawdę jesteś moim synem? Robimy zatem symbolon i on zatrzymuje jedną część kamienia, a ja tobie daję drugą. Gdy się u niego zjawisz, obydwie będą do siebie pasowały jak ulał.

— To świetny pomysł — ucieszył się Anton. — Będę go musiał kiedyś wykorzystać.

Peter wydał z siebie przeciągły jęk.

— Po co ja mam, na litość boską, to wszystko umieć?

— Nie na litość boską — odrzekł Steenwijk spoglądając na syna sponad okularów — ale w imię humanitas. Zobaczysz, ile przyniesie ci to satysfakcji w późniejszym życiu.

Peter zamknął książki, ułożył je na jeden stosik i odparł dziwnym głosem:

— Kto się nie śmieje, ten...

— Niby do czego ma się to odnosić? — zapytała go matka. Językiem wepchnęła goździk na miejsce.

— Do niczego.

— Tak właśnie sobie pomyślałem — skwitował to Steenwijk.
— Sunt pueri pueri, pueri puerilia tractant.

Sweter już zupełnie zakończył swój byt i pani Steenwijk włożyła wełniany motek do koszyka z robótką.

— Zagramy sobie jeszcze, a potem spać.

— Co, już spać? — zdziwił się Peter.

— Musimy oszczędzać karbid. Mamą́ zapas tylko na parę dni.

Z szuflady komody pani Steenwijk wyjęła pudełko z grą „człowieku-nie-irytuj-się!”, przesunęła nieco lampę na stole i rozłożyła tekturową planszę.

— Ja gram zielonymi — oznajmił Anton.

Peter spojrział na niego i postukał się w czoło.

— Myślisz może, że szybciej wygrasz?

— Tak.

— No to zobaczymy.

Steenwijk odłożył otwartą książkę i po chwili w pokoju rozlegał się już tylko grzechot rzucanej kostki i kroki pionków przestawianych po tekturze. Dochodziła ósma: godzina policyjna. Na ulicy było tak cicho, jak chyba musi być na księżycu.

II

Nagle, w tej ciszy, którą w istocie była wojna w Holandii, rozległo się na ulicy sześć brzęących ostro jak kłaśnięcie bątem wystrzałów: najpierw jeden, później dwa następujące szybko po sobie, a po upływie kilku sekund czwarty i piąty. W chwilę potem dał się słyszeć jakby jakiś krzyk i zaraz po nim jeszcze jeden, szósty strzał. Anton, który miał właśnie rzucić kostkę, znieruchomiał i popatrzył na matkę, matka na ojca, ojciec na drzwi pomiędzy obydwojma pokojami, a Peter przykrył natychmiast lampę pokrywka.

Zapadła kompletna ciemność. Peter wstał i szurając nogami po podłodze ruszył przed siebie. Otworzył przesuwane drzwi do frontowego pokoju i przez szparę w roletach wyjrzał na ulicę. Z salonu natychmiast powiało do pokoju zimnem.

— Kogoś zastrzelili — oznajmił. — Ktoś tam leży.

Szybko wyszedł na korytarz.

— Peter! — zawołała za nim matka.

Anton usłyszał, że matka też wychodzi. Zerwał się na równe nogi i pobiegł do okien salonu, po drodze omijając bezbłędnie wszystkie meble, których nie widział od miesiący i których nie mógł widzieć także teraz: fotele, niski okrągły stolik z brzegami serwety zawiniętymi pod szklaną płytę, sekretkę z porcelanową wazą i portretami dziadków. Zasłony, parapet, wszystko było lodowato zimne; od dawna nikt tam nie oddychał, więc na szybach nie było nawet lodowych wzorów.

Wieczór był bezksiężycowy, ale złodowaciały śnieg zatrzymywał poświatę odbitą od gwiazd. W pierwszej chwili Anton pomyślał, że Peter tak sobie tylko coś palnął, ale teraz przez lewe okno wykuszu sam zobaczył: na środku opustoszałej ulicy, przed domem Kortewega, leżał rower, którego zadarte do góry przednie koło jeszcze się obracało — ten dramatyczny efekt będzie się później pojawiać w „close-up” każdego filmu o ruchu cporu. Utykając, Peter przebiegł po chodniku prowadzącym przez ogród na ulicę. Już od tygodni miał na palcu lewej nogi wrzód, który nie chciał się goić. Matka wycięła mu w tym miejscu otwór w bucie. Ukląkł przy nieruchomym mężczyźnie, leżącym na skraju jezdni obok roweru. Jego prawa ręka spoczywała na krawęźniku, tak jakby chciał się tam wygodnie ułożyć. Anton widział błyszczące czarne oficerki i żelazne podkucia na obcasach.

Zdecydowanie, choć tylko szeptem, matka stanąwszy na progu drzwi wychodzących na ulicę kazała Peterowi natychmiast wracać. Peter został, rozejrzał się po nabrzeżu raz jeszcze i pokuśtykał z powrotem.

— To Ploeg — usłyszał Anton głos brata. W tonie, z jakim to wypowiedział, pobrzmiwały tryumfalne nuty.

— Martwy jak pień, gdyby się ktoś pytał.

Anton miał lat dwanaście, ale już wiedział: Fake Ploeg, głów-

ny inspektor policji, największy morderca i zdrajca w Haarlemie i okolicy. Przejeżdżał tędy regularnie w drodze do pracy lub do domu w Heemstede. Wielki, barczysty mężczyzna z ponurą twarzą, ubrany najczęściej w ciemnobrązową, sportową kurtkę, koszulę z krawatem i kapelusz, ale w czarnych bryczesach i oficerkach, otoczony aureolą przemocy, nienawiści i strachu. Jego syn chodził do tej samej klasy co Anton, stąd chłopiec go znał. Kilkakrotnie Ploeg przywiózł do szkoły małego Fake na bagażniku tego samego roweru, który teraz tam leżał. Na ich widok każdy milknął przy wejściu do szkoły. Ploeg rozglądał się wtedy drwiąco dookoła, ale kiedy mały zostawał sam, chodził ze wzrokiem wbitym w ziemię i wcale nie było mu łatwo.

— Tonny! — rozległ się głos matki. — Odejdź natychmiast od okna!

W drugim dniu nauki, gdy właściwie nikt go jeszcze nie znał, Fake pojawił się w niebieskim mundurku faszystowskiej młodzieży Jeugdstorm i w odpowiedniej furażerce na głowie — czarnej z pomarańczowym dnem. Było to we wrześniu, tuż po Szalonym Czwartku, gdy każdy sądził, że wyzwolicielska armia jest tuż-tuż i większość członków NSB i kolaborantów uciekła na granicę z Rzeszą albo i jeszcze dalej. Fake usiadł samotnie na swoim miejscu i wyjął książki. Pan Bos, nauczyciel matematyki, stanął w drzwiach klasy, żeby powstrzymać innych wchodzących uczniów, a tych, którzy już byli w środku, wywołał na korytarz. Zawołał do Fake, że dla uczniów w mundurze nie ma lekcji, co to, to nie i to długo nie, i że niech idzie do domu przebrać się. Fake nic nie odpowiedział, tylko nadal siedział w ławce jak posąg. W chwilę później dyrektor przepchał się pomiędzy tłoczącymi się u wejścia dziećmi i żywo gestykułując, zaczął szeptać coś nauczycielowi do ucha, ale to też nie pomogło. Anton był najbliżej drzwi i pod ręką nauczyciela, którą ten jak szlabanem zagradał wejście, patrzył w plecy samotnego w opustoszałej klasie Fake. Nagle Fake powoli odwrócił głowę i popatrzył na niego. W tej samej chwili Anton poczuł, że ogarnia go tak wielkie współczucie dla tego chłopca, jak jeszcze nigdy dla nikogo. Przecież nie było mowy o tym, żeby mały wrócił do domu, mając takiego ojca! Zanim Anton uświadomił sobie, co robi, prześlizgnął się pod ramieniem pana Bosa i usiadł na swoim miejscu.

W ten sposób opór został przełamany. Gdy po lekcjach wychodzili ze szkoły, dyrektor ujął go za ramię i szepnął mu, że być może właśnie on uratował panu Bosowi życie. Anton nie bardzo wiedział, co ma znaczyć taki komplement; potem nigdy już o tym nie rozmawiano, w domu też tego nie powiedział.

Ciało w rynsztoku. Leżący na jezdni rower. Nad tym wszystkim nieogarnione, wygwieżdżone niebo. Wzrok chłopca oswoił się już z ciemnością — widział teraz o wiele lepiej niż przed chwilą. Otóż Orion z uniesionym mieczem, Droga Mleczna, jakaś jedna ostro świecąca planeta, może Jowisz; chyba od wieków firmament nad Holandią nie był tak jasny. Na horyzoncie dwie przesuwające się powoli, to krzyżujące się ze sobą, to rozchodzące wiązki światła z reflektorów obrony przeciwlotniczej, ale samolotu nie było słyhać. Anton spostrzegł, że wciąż jeszcze trzyma w ręce kostkę do gry, i schował ją do kieszeni.

Gdy już miał odejść od okna, zobaczył nagle wychodzących z domu pana Kortewega i Karin. Korteweg schwycił Ploega pod ramiona, Karin złapała go za nogi i zaczęły go odciągać, Karin cofając się.

— Chodźcie zobaczyć! — zawołał Anton.

Matka i Peter zdążyli jeszcze na moment, w którym trup został złożony na wprost ich domu. Karin i Korteweg pobiegli z powrotem; Karin podrzuciła jeszcze w kierunku zabitego osobno leżącą czapkę, a jej ojciec rower. W chwilę później obydwójce zniknęli za drzwiami swojej „Niespodzianki”.

Stojącym przy oknie salonu Steenwijkom odebrało mowę. Na brzeże znów było puste, niby wszystko było takie jak zawsze, a jednak inne. Zabity człowiek leżał teraz z rękami za głową, długi płaszcz miał zadarty aż do pasa, jakby jego właściciel spadł z dużej wysokości. W prawej ręce trzymał pistolet. Anton wyraźnie widział wielką twarz mężczyzny, zaczesane do tyłu, lśniące od brylantyny, prawie idealnie ułożone włosy.

— A niech to szlag! — wykrzyknął nagle Peter nienaturalnie podniesionym głosem.

— He, he, he — to jedyna reakcja Steenwijka, który do tej pory nie wstał jeszcze od stołu i siedział samotnie w ciemności jadalni.

— To dranie! Położyli go przed naszym domem! — zawołał

Peter. — Jezu Chryste! On musi natychmiast stąd zniknąć, zanim szkopy się tu zjawią!

— Ty się tym nie zajmuj — próbowała go powstrzymać pani Steenwijk. — My nie mamy z tym nic wspólnego.

— Nie, oczywiście że nie, z wyjątkiem tego, że on leży właśnie pod naszymi drzwiami! Jak myślicie, dlaczego oni to zrobili? Dlatego, że szkopy będą się mścić. Tak samo jak ostatnio na Leidsevaart.

— Ależ, Peter, przecież myśmy nic złego nie zrobili!

— Akurat to ich najbardziej interesuje! Szybko, Anton, chodź ze mną, my to zrobimy! — i wyszedł z pokoju.

— Czy wyście oszaleli?! — wykrzyknęła pani Steenwijk. Zakrzuszyła się, odchrząknęła i wypluła goździk. — Co macie zamiar zrobić?

— Położyć go na miejsce albo przed domem Beumerów.

— Przed domem Beumerowej? Co też ci przyszło do głowy!

— Dlaczego nie przed domem Beumerowej, tylko przed naszym? Przecież Beumerowa też nie ma z tym nic wspólnego! Że akurat teraz kanał musi być zamrznięty... Ale jakoś sobie poradzimy.

— Nic z tego nie będzie.

Pani Steenwijk też wyszła z pokoju. W wątlej poświacie wpadającej do korytarza przez okienko nad drzwiami Anton dostrzegł, że matka stanęła przy nich jak na warcie i że Peter próbował ją odsunąć. Usłyszał, jak matka przekreśliła klucz w zamku i zawołała:

— Willem, powiedz mu coś!

— Tak.. tak.. — odezwał się ojciec, nadal siedzący w jadalni. — Ja... — W oddali znowu rozległy się strzały.

— Gdyby go trafili w kilka sekund później, to leżałby teraz koło pani Beumer! — zawołał Peter.

— Tak... — odparł miękko Steenwijk, dziwnie załamany. — Ale tak się nie stało.

— Nie stało się! Nie stało się też i tak, żeby miał tutaj leżeć, a teraz leży! Idę go właśnie położyć z powrotem na poprzednie miejsce. Zrobię to sam — oznajmił nagle.

Obrócił się na pięcie i chciał pobiec do kuchni, ale z okrzykiem bólu runął na podłogę, potknąwszy się o ułożone w stos polana

i gałęzie ze zrąbanych przez matkę na polach za domem ostatnich drzew, jakie się tam dotąd zachowały.

— Peter, na litość boską, igrasz ze śmiercią! — zawołała pani Steenwijk.

— Do jasnej cholery, właśnie wy to robicie!

Zanim brat zdążył się podnieść, Anton przekręcił klucz w kuchennych drzwiach i rzucił go na korytarz, gdzie, brzęknąwszy o posadzkę, zniknął w ciemnościach; następnie pognął do drzwi frontowych i zrobił to samo z kluczem od nich.

— Niech to szlag trafi! — zaklął głośno Peter. — Przecież wy jesteście nienormalni, całkiem nienormalni, każdy z was, po kolei, co do jednego!

Pobiegł do pokoju od ogrodu, zerwał rolety i zdrową nogą nacisnął drzwi wychodzące na taras. Rozwarły się ze skrzypieniem, zrywając pasy gazetowego papieru, którymi były oklejone. Anton ujrzał nagle sylwetkę ojca — ciągle siedzącego za stołem — jakby ciemną zjawę na tle jasnego śniegu.

Gdy Peter zniknął w ogrodzie, Anton znów pobiegł do okna salonu. Wyrzwał przez nie i ujrzał brata, jak kuśtykając wychodził z domu. Przelazł przez płot i złapał Ploega za nogi. W tej chwili jakby się na moment zawahał: może z powodu ilości krwi, którą nagle ujrzał, może dlatego, że nie mógł się zdecydować, w którą ruszyć stronę. Ale zanim cokolwiek był zdolny uczynić, na końcu nabrzeża rozległy się wrzaski:

— Halt! Nie ruszać się! Ręce do góry!

Energicznie pedałuując, zbliżali się trzej mężczyźni. W pewnej chwili zsiadli z rowerów, zostawili je na ulicy, i ruszyli dalej biegiem. Peter puścił nogi zabitego, wyrwał z jego ręki pistolet, bez utykania ruszył do ogrodzenia posesji Kortewegów i zniknęła za ich domem. Mężczyźni krzyczeli coś do siebie. Jeden z nich, w zimowym płaszczu i w czapce, strzelił i puścił się za Peterem. Anton poczuł ciepło matki obok siebie.

— Co to było? Strzelali do Petera? Gdzie on jest?

— Za domem.

Szeroko otwartymi oczami Anton patrzył, co się dzieje. Drugi mężczyzna, żandarm w mundurze, zawrócił, wskoczył na rower i szybko odjechał, a trzeci, ubrany po cywilnemu, zsunął się po

pochyłości nabrzeża i przyklęknął na ścieżce biegnącej wzdłuż kanału, trzymając w obydwu rękach pistolet.

Anton przykucnął pod parapetem i odwrócił się. Matka zniknęła. Przy stole widniała sylwetka ojca, nieco bardziej pochylonego do przodu, jakby się modlił. Matka stała na tarasie wychodzącym na ogród i szeptem wołała w ciemności syna po imieniu. Miało się wrażenie, że to jej plecy wysyłają zimno, które teraz wdzierało się do domu. Oprócz jej wołania nie słychać było żadnego innego dźwięku. Anton widział i słyszał to wszystko, ale tak, jakby był nieobecny. Jakby część jego samego była już gdzie indziej, albo nie istniała wcale. Był głodny, a teraz i skostniały z zimna, ale nie tylko o to chodziło. W tym momencie jakby wszystko znieruchomiało: ojciec — czarno wycięta sylwetka przy stole na tle śniegu, matka — za domem na tarasie w odbitej poświacie gwiazd — obraz, który pozostaje w pamięci na wieki. On sam oderwany od wszystkiego, co było przedtem i co nastąpi potem, uchwycił się jakby jakiejś liny i rozpoczął podróż przez swoje późniejsze życie, które na końcu rozprysnie się jak bańka mydlana, po czym wszystko wróci do normalnej sytuacji.

Matka weszła z powrotem do domu.

— Tonny, gdzie jesteś, widzisz go?

— Nie.

— Co robić? Może on się gdzieś schował?

Nie mogąc sobie znaleźć miejsca, znowu wyszła na taras, a po chwili znów wróciła do domu. Nagle podeszła do męża i szarpnęła go za ramiona.

— Obudźże się wreszcie! Strzelają do Petera! Może już go trafili!

Steenwijk podniósł się powoli. Wysoki i szczupły, bez słowa wyszedł z pokoju. W chwilę później wrócił w czarnym meloniku na głowie i z szalikiem na szyi. Gdy zamierzał zejść z tarasu do ogrodu, cofnął się. Anton domyślił się, że ojciec chciał głośno zawołać Petera, ale z jego gardła wydostał się tylko nieartykułowany, chrapliwy dźwięk. Przybity zawrócił do domu. Wszedł do pokoju i drżący usiadł na krześle koło pieca. Po chwili odezwał się:

— Wybacz mi, Thea... wybacz mi...

Pani Steenwijk nerwowo załamała ręce.

— Tak długo wszystko szło dobrze, i nagle teraz, na koniec... Anton, włoż płaszcz. O Boże, gdzie podziewa się ten chłopak?

— Może jest u Kortewegów — odpowiedział Anton. — Zabrał pistolet Ploega.

Cisza, która zapadła po jego słowach, uświadomiła mu, że powiedział coś okropnego.

— Naprawdę, widziałeś to?

— Właśnie przed chwilą, gdy nadchodzili tamci ludzie. O, w ten sposób... gdy uciekał...

W miękkiej, jakby upudrowanej poświacie wypełniającej pokój odegrał krótką pantomimę i schylony wyjął domniemany pistolet z domniemanej ręki.

— Przecież on ich nie... — Głos pani Steenwijk się załamał. — Natychmiast idę do Kortewegów.

Chciała ponownie wybiec do ogrodu, ale Anton pobiegł za nią i zawołał:

— Uważaj! Tam gdzieś schował się jeden z nich!

Cofnęła się przed mroźną ciszą tak samo jak przed chwilą jej mąż. Wszystko zamarło w bezruchu: ogród, za nim puste, ośnieżone pola. Anton też stał nieruchomo. Wszystko stało w miejscu, a jednak czas płynął. I wszystko jakby połykiwało od tego płynącego czasu, jak połykują krzemowe kamyki na dnie stawu. Peter zniknął, przed drzwiami leży trup, a wokół znieruchomieli, uzbrojeni mężczyźni; Antonowi zaczęło się wydawać, że w jednej chwili może to uczynić niebyłym i że wszystko stanie się na powrót takie samo jak przed chwilą, gdy razem siedzieli przy stole, pochyleni nad „człowieku-nie-irytuj-się”. Wystarczy, by uczynił coś, co bez wątplenia było w jego mocy, lecz w tym właśnie momencie nie chciało mu przyjść do głowy, co powinien uczynić. Tak jak wtedy, gdy zapominał imienia, które wymówił już setki razy i miał teraz na końcu języka, ale nie mógł odnaleźć w pamięci, bo przy każdej próbie złapania go umykało coraz dalej. Albo jak wtedy, gdy nagle sobie uświadomił, że nieustannie oddycha, wciąga powietrze do płuc, wydycha je, a więc że musi uważać, aby to robić ciągle i bez przerwy, bo inaczej się udusi — i w tym właśnie momencie o mało się nie udusił...

Z oddali dobiegł warkot nadjeżdżających motocykli oraz samochodu.

— Mamo, chodź do środka — poprosił Anton.

— Tak, już idę... tylko zamknę te drzwi.

Pani Steenwijk opanowała się już, ale Anton dosłyszał w jej głosie, że i ona stała na krawędzi czegoś, co przerastało jej siły. Miał takie wrażenie, jakby tylko on jeden nie stracił przytomności umysłu — tak właśnie powinien się być zachować, on — lotnik. Podczas latania też mogą zaistnieć skomplikowane sytuacje: na przykład w oku cyklonu, gdzie panuje cisza i świeci słońce, ale skąd jednak trzeba się wydostać, wejść na powrót w szalejącą dookoła nawałnicę, bo inaczej skończy się benzyna i nie będzie szans na ratunek...

Motocykle i samochód słyhać już było przed domem, na narzeżu, podczas gdy z oddali dochodził warkot większej ilości samochodów, ale innych, cięższych. Jak dotąd wszystko odbywało się jeszcze normalnie; właściwie nic się nie zmieniło poza tym, że brakowało Petera. Co właściwie może się zmienić? I wtedy się zaczęło. Pisk hamulców, niemieckie wrzaski, odgłos zeskakujących z samochodu na ulicę w podkutych butach. Co chwila błysk ostrego światła przez szparę w roletach. Anton na palcach podszedł do okien salonu. Wszędzie żołnierze z karabinami i pistoletami maszynowymi, motocykle jeżdżące tam i z powrotem; ambulans wojskowy, z którego wyjęto nosze. Nagle jednym ruchem zasunął rolety i odwrócił się.

— Już są — rzucił w ciemność.

W tym samym momencie rozległo się walenie kolbami karabinów do drzwi, ale tak bezlitośnie gwałtowne, że Anton od razu wiedział, iż nadchodzi coś straszego.

— Aufmachen! Sofort aufmachen! *

Instynktownie uciekł do pokoju od ogrodu. Matka wyszła na korytarz i zawołała drżącym głosem, że nie może otworzyć, bo nie ma klucza — ale drzwi już były wybite i z hukiem walnęły o ścianę przedsionka. Anton usłyszał brzęk padającego i tłukącego się na drobne kawałki lustro: tego z wyrzeźbionymi w drewnie dwoma słownikami nad małym stolikiem z kręconymi

Aufmachen... (niem.) — Otwierać! Natychmiast otwierać!

nózkami. W jednej sekundzie korytarz i pokoje wypełniły się uzbrojonymi żołnierzami w hełmach, za wielkimi jak na ich dom, wnoszącymi z sobą przenikliwe zimno. A dom od tej chwili nie należał już do nich. Anton, oślepiiony latarkami, zasłaniał ręką oczy; spod niej na czyjejs piersi dojrzał błyszczącą blachę Feldgendarmerie, u pasa podłużny pojemnik na maskę przeciwgazową, wysokie, ośnieżone buty. Nad jego głową po schodach również tupały żołnierskie buciory. W pokoju pojawił się człowiek ubrany po cywilnemu. Miał na sobie czarny, skórzany płaszcz, a na głowie kapelusz z opuszczonym rondem.

— Papiere vorzeigen! — wrzasnął. — Schnell, schnell, alles, alles! *

Steenwijk wstał i otworzył szufladę bufetu, a jego żona powiedziała:

— Wir haben nichts damit zu machen. *

— Schweigen Sie! * — warknął mężczyzna. Stał obok stołu i paznokciem wskazującego palca zamknął książkę, którą czytał „Steenwijk. — „Ethica” — przeczytał na okładce — „more geometrico demonstrata. Benedictus de Spinoza”. Ach, so! — powiedział i spojrzął na Steenwijka. — Takie rzeczy się czytuje! Judenbücher! * — A do pani Steenwijk:

— Gehen Sie mal ein paar Schritte hin und her. *

— Co mam zrobić?

— Hin und her gehen! Sie haben wohl Scheisse in den Ohren! *

Anton zobaczył, jak matka, drżąc na całym ciele, zaczęła chodzić tam i z powrotem, z dziecięcym wyrazem niezrozumienia na twarzy. Mężczyzna skierował latarkę, którą trzymał stojący obok niego żołnierz, na jej nogi.

— Das genügt * — powiedział po chwili. Dopiero znacznie później, przypadkowo, podczas studiów, Anton dowiedział się, że

Papiere... (niem.) — Okazać dokumenty! Prędko, prędko, wszystko, wszystko!

Wir haben... — Nie mamy z tym nic wspólnego.

Schweigen... — Milczeć!

Judenbücher! — Żydowskie książki!

Gehen Sie... — Proszę przejść kilka kroków tam i z powrotem.

Hin und her... — Przejść tam i z powrotem! Czy ma pani uszy zapchane gównem!

Das genügt — Wystarczy.

człowiek ten sądził, iż po chodzie rozpozna, czy matka nie jest czasem Żydówką.

Steenwijk stał z dokumentami w rękach.

— Ich * —

— Nehmen Sie gefälligst den Hut ab, wenn Sie zu mir reden! *

Steenwijk zdjął melonik i powtórzył:

— Ich...

— Halten Sie das Maul, Sie verjudetes Dreckschwein. *

Mężczyzna studiował dowody osobiste i kartki żywnościowe, po czym rozejrzał się wokoło.

— Wo ist der vierte? *

Pani Steenwijk chciała coś powiedzieć, ale mąż ją uprzedził.

— Mein ältester Sohn — zaczął drżącym głosem — aufgebracht von dem schauderhaften Ereignis, hat, ohne sich zu verabschieden, jäh die elterliche Wohnung verlassen — und zwar in jener Richtung. * — Kapeluszem wskazał w kierunku „Przyszłego”, w którym mieszkali Beumerowie.

— So — odparł Niemiec wkładając papiery do kieszeni. — Hat er? Jäh, nicht wahr? *

— Allerdings. *

Mężczyzna wskazał głową: — Abführen.*

Od tej chwili wszystko przebiegało jeszcze szybciej. Wypchnięto ich natychmiast z domu nie pozwoliwszy zabrać niczego, nawet płaszczy. Na ulicy wszędzie stały motocykle, szare samochody osobowe i wojskowe ciężarówki, wszędzie mundury i wrzaski, roztańczone światła latarek. Niektórzy żołnierze trzymali na smyczkach psy. Ambulans już odjechał, tylko rower Ploega leżał jeszcze na ulicy. Na śniegu widniała duża, czerwona plama. Gdzieś z oddali do uszu Antona znowu dobiegły odgłosy wystrzałów.

Ich — ja.

Nehmen Sie... — Może by pan zdjął kapelusz, mówiąc do mnie!

Halten Sie... — Stul pysk, ty żydowska świnio.

Wo ist... — Gdzie jest czwarty?

Mein ältester Sohn... — Mój najstarszy syn, wstrząśnięty tym strasznym wydarzeniem, bez pożegnania opuścił rodzinny dom i udał się w tamten kierunek.

So... — Ach, tak. Tak zrobił. Nagle, prawda?

Allerdings — Tak właśnie.

Abführen — Odprowadzić.

Poczuł rękę matki szukającą jego ręki. Gdy podniósł na nią wzrok, zobaczył jej twarz zamienioną w twarz posągu, z zastygłym na niej przerażeniem. Ojciec, znów w kapeluszu na głowie, szedł, jak zawsze, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Ale samego Antona przepełniało raczej uczucie dwuznacznego zadowolenia z powodu tego wszystkiego, co się tu rozgrywało, z powodu tej akcji, która zaczęła się toczyć po tylu miesiącach grobowej ciszy. Być może był też trochę zahipnotyzowany ostrymi wiązkami światła, raz po raz kierowanymi na jego twarz, ale nareszcie, nareszcie coś się działo!

W tym jakby śnie poczuł, że nagle uścisk matczynej ręki wzmocnił się, i w tej samej chwili zostali rozerwani.

— Tonny!

Matka już zniknęła, gdzieś daleko, za ciężarówkami; ojciec też. Trzymając go za ramię jakiś żołnierz poprowadził go do DKW, stojącego skośnie po drugiej stronie jezdnii, częściowo na poboczu. Kazał Antonowi wsiąść do auta i zatrzasnął za nim drzwi.

Po raz pierwszy w życiu Anton siedział w samochodzie. Słabo rozróżniał zegary. W samolocie jest znacznie więcej zegarów. Na przykład w Lockheed Electra jest ich piętnaście i dwa stery. Wyjrzał na zewnątrz. Rodziców nigdzie nie było widać. Gdzież mógł się podziać Peter? Również do domu Kortewegów wchodził żołnierze z latarkami i wychodzili z niego, ale na ile mógł dojrzeć, bez Petera. Na pewno udało mu się uciec przez pola. Czy się dowiedzą, że Ploeg leżał najpierw tam? U Beumerów w ogrodzie nie było nikogo. Na oknach osiadał szron, przez co pole widzenia było coraz mniejsze; gdy je przecierał, dłoń miał wilgotną od własnego oddechu; wszystko stawało się zdeformowane i niewyraźne. Nagle w sypialni rodziców otwarto drzwi na balkon, na dole w salonie zerwano rolety i od wewnątrz kolbami wybito wszystkie szyby. Anton oniemiały patrzył na deszcz szklanych odłamków. Co za dranie! Skąd rodzice wezmą teraz nowe szyby, przecież nie można nic dostać! Na szczęście dość już chyba poniszczyli, bo żołnierze zaczęli pojedynczo wychodzić. Drzwi frontowe zostawili otwarte.

Nic więcej się nie działo, ale nie odjeżdżali. Niektórzy zapalali papierosy i zaczęli rozmawiać, z rękami w kieszeniach i przytupując dla rozgrzewki; inni świecili latarkami na dom, jakby

z zadowoleniem chcieli się jeszcze napatrzeć na to, co zniszczyli. Anton próbował dojrzeć gdzieś rodziców, ale trochę dalej, w ciemności, nie można było nikogo rozróżnić; w padających w różne strony wiązkach światła widać było tylko cienie. Słyszał ujadanie psów. Przypominał sobie, jak przed chwilą, w pokoju, mężczyzna w kapeluszu zaszczekał na ojca, ale to wspomnienie stało się nagle nieznośne — znacznie bardziej nieznośne niż samo zdarzenie w rzeczywistości. Oto jego ojciec musiał zdjąć kapelusz... Anton odrzucił to wspomnienie i pomyślał, że nie chciałby kiedykolwiek jeszcze do tego wracać, to nie mogło się w ogóle zdarzyć. On sam nigdy nie będzie nosił melonika, po wojnie nikt nie będzie mógł nosić melonika!

Zaniepokojony wyjrzał na ulicę. Nie było już takiego ruchu, jak przed chwilą. Żołnierze ustawili się w pewnej odległości od domu i stali spokojnie. Rozległ się rozkaz, jeden z żołnierzy podbiegł do ich domu, wrzucił coś przez środkowe okno do salonu i przygięty do ziemi wrócił na miejsce. Z ogłuszającym hukiem wystrzelił w salonie oślepiający słup ognia. Anton pochylił się instynktownie. Gdy za chwilę ponownie wyjrzał przez okno, wybuchł akurat drugi granat, tym razem w sypialni. Natychmiast po tym pojawił się żołnierz z czymś w rodzaju gaśnicy strażackiej w ręce, z cylindrycznym zbiornikiem na plecach, i zaczął z hukiem miotać przez okna długie wiązki ognia. Anton nie wierzył własnym oczom. Czy to było do pomyślenia? Rozpaczliwie poszukiwał wzrokiem matki i ojca, ale z powodu tych ognistych węży prawie nic nie widział. Dymiące, płonące strzały jedna po drugiej wlatywały do środka, do salonu, do korytarza, do sypialni, a także na trzcinowy dach. Robili to naprawdę, nic już nie można było na to poradzić! Wszystkie jego rzeczy, jego książki, Karol May, „Fizyka wolnego pola”, kolekcja zdjęć samolotów, biblioteka ojca z paskami zielonego sukna na krawędziach półek, ubrania jego matki, wielki motek wełny ze swetra, krzesła i stoły, wszystko to strawi ogień. Żołnierz zakreślił swój miotacz płomieni i zniknął w ciemności. Pojawiło się kilku policjantów z Grüne Polizei, z karabinami przewieszonymi przez plecy, wsadzili rękawice za pas i wyciągnęli dłonie w kierunku palącego się z głośnym trzaskiem ognia, jakby chcąc go powstrzymać, wesoło przy tym rozmawiając.

Trochę dalej znów zatrzymała się ciężarówka. Na otwartej platformie stała grupka skostniałych z zimna mężczyzn tylko w kamizelkach; pilnowali ich żołnierze z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału: w świetle pożaru Anton poznał po czarnych hełmach, że to esesmani. Wrzaski, rozkazy: więźniowie, skuci po dwóch kajdankami, zeskakiwali na ulicę i znikali w ciemności. Dom, wysuszony mrozem, palił się jak stara gazeta. Antonowi zrobiło się zimno w samochodzie. Przez mansardowe okno z lewej strony wyskakiwały spiczaste języki ognia: teraz ginie jego pokój, ale przynajmniej jemu jest nieco cieplej. Nagle płomień przebił się przez dach i zalał nabrzeże jasnym światłem, jakby na przedstawieniu w teatrze. Antonowi wydało się w tym momencie, że gdzieś dalej, pomiędzy samochodami, dostrzegł matkę z rozpuszczonymi włosami i kogoś, kto biegł w jej kierunku; coś się tam rozgrywało, ale do niego prawie to nie docierało. Pomyślał sobie: jak tak można, przy zaciemnieniu, Anglicy natychmiast to zobaczą i przyłecą, gdyby tak przylecieli... Na skośnie przyciętej desce przykręconej do listwy nad oknem salonu mógł przeczytać wykonany wypalonymi literami napis: „Wypoczynek”. W pokojach, w których tak długo panował nieustanny ziąb, teraz rozszalało się piekło. Płatki popiołu wirowały wokół jak czarny śnieg.

W kilka minut później zaczęło trzeszczeć najpierw w składziku, a po chwili dom runął i w niebo wystrzeliła wysoka jak wieża fontanna iskier. Psy szczekały; grzejący się żołnierze odskoczyli do tyłu, jeden z nich potknął się o rower Ploega i runął jak długi na ulicę. Pozostali ślaniai się ze śmiechu. Równocześnie na końcu nabrzeża rozległ się terkot karabinu maszynowego. Anton położył się na boku, podkurczył nogi a ręce wsunął pod głowę.

Gdy Niemiec w długim płaszczu otworzył drzwiczki auta i zobaczył go leżącego na siedzeniu, na chwilę się zawahał. Wydawało się, że o nim zapomniał.

— Scheisse — wymamrotał.

Anton musiał się wcisnąć w wąskie miejsce za fotelami, skąd prawie nic nie widział. Niemiec usiadł obok szofera w mundurze

i zapalił papierosa. Rozległ się warkot silnika, szofer przetaił rękawem zaparowaną szybę i po raz pierwszy w życiu Anton pojechał samochodem. Wszystkie domy były ciemne, na ulicach nie było żywej duszy poza nielicznymi grupkami Niemców. Mężczyźni w samochodzie nie rozmawiali. Jechali do Heemstede i po kilku minutach zatrzymali się przed komisariatem policji, strzeżonym przez dwóch wartowników.

Po ciepłej poczekalni kręcili się mężczyźni, większość w mundurach, niemieckich i holenderskich. Anton poczuł zapach smażonej jajecznicy i natychmiast pociekła mu ślinka, nie widział jednak, by ktokolwiek coś jadł. Było tu elektryczne światło i wszyscy palili papierosy. Kazano mu usiąść na krześle obok żeliwnego piecyka, gdzie ciepło wzięło go w swe objęcia. Niemiec rozmawiał z holenderskim inspektorem policji, od czasu do czasu wskazując brodą na chłopca. Po raz pierwszy Anton mógł mu się przyjrzeć, ale wtedy, w 1945, widział co innego, niż zobaczyłby teraz. Niemiec wyglądał na jakieś czterdzieści lat i rzeczywiście miał tę szczupłą, surową twarz z poziomą szramą pod lewą kością policzkową: obecnie szczególnie zabawny, po który sięgają jeszcze tylko reżyserzy komedii filmowych lub prymitywnych filmów sadystycznych: teraz akceptację uzyskują jedynie twarze himmlerowskie, jakby dziecięce. Ale wtedy nie było to sprawą sztuki, wówczas ten człowiek naprawdę wyglądał jak „fanatyczny faszysta” i wcale nie było to zabawne. W chwilę potem odszedł, nie spojrzawszy nawet na chłopca. Do Antona podszedł jakiś brygadier z końską derką przerzuconą przez ramię i kazał mu iść za sobą. W korytarzu dołączył do nich drugi policjant. W ręce trzymał pęk kluczy.

— Kogośmy to dostali? — zapytał na widok Antona. — Dzieci też będziemy teraz zamykać? Czy może to żydowski bękart?

— Nie bądź taki ciekawy — odpowiedział brygadier.

Na końcu korytarza zeszli jeden za drugim po schodach do piwnicy. Anton odwrócił się w kierunku brygadiera i zapytał:

— Czy moi rodzice też tu przyjdą?

Brygadier nawet na niego nie spojrział.

— Ja nic nie wiem. My nie mamy nic wspólnego z tą akcją.

Na dole był zimny, wąski korytarz. Z każdej jego strony, pod płataniną rur i przewodów, widniał szereg żelaznych drzwi po-

malowanych ongiś na żółto, a teraz z prześwitującymi spod farby licznymi plamami rdzy. Słaba, niczym nie osłonięta żarówka świeciła u sufitu.

— Gdzie jest jeszcze miejsce? — zapytał brygadier.

— Nigdzie. Będzie musiał leżeć na ziemi.

Brygadier przebiegł wzrokiem drzwi: sprawiało to wrażenie, że wiedział, co jest za nimi.

— No to tam — zdecydował i wskazał ostatnie drzwi po lewej.

— Tam ma być Einzelhaft od tych z SD.

— Rób, co ci mówię.

Policjant odryglował drzwi i brygadier rzucił derkę na stojącą pod ścianą pryczę.

— To tylko na dzisiejszą noc — zwrócił się do Antona. — Spróbuj trochę pospać. — A następnie kierując głos w stronę kąta, w którym Anton nic nie mógł dojrzeć: — Będziesz mieć towarzystwo, ale trzymaj się od tego chłopca z daleka. On już i tak dość przez was wycierpiał.

Gdy Anton poczuł jego rękę na plecach, przestąpił próg i wszedł do ciemnej celi. Drzwi zatrzasnęły się za nim i już nic więcej nie widział.

III

W ciemności namacał pryczę i usiadł na niej. Wyczuwał bliskość tego mężczyzny, który tutaj był. Złożył ręce na kolanach i nasłuchiwał odgłosów z korytarza. Po chwili usłyszał tupot podkutych butów na schodach, po czym zapadła cisza. Teraz mógł również słyszeć, jak ten drugi oddycha.

— Dlaczego tu jesteś?

Był to cichy, kobiecy głos. Poczuł się tak, jakby nagle zażegnane zostało jakieś wielkie niebezpieczeństwo. Wytrzeszczał oczy, żeby cokolwiek zobaczyć, ale ciemność przed nimi była gęsta jak czarna woda. Z innych cel też dochodziły stłumione głosy rozmawiających ludzi.

— Spalili nasz dom.

Trudno mu było uwierzyć w to, co powiedział. W to, że teraz pomiędzy „Przytulnym” a „Niespodzianką” pozostała tylko tłąca się jeszcze ruina.

— Dlaczego? Czy to się stało dzisiaj?

— Tak, proszę pani.

— Dlaczego?

— Z zemsty. Zastrzelono jednego faceta, ale my nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Nie pozwolili nam nic zabrać.

— A niech to... — zaklął cicho głos. I po chwili:

— O Boże, czy może byłeś sam w domu?

— Nie, z rodzicami i z bratem. — Poczul, że oczy same mu się zamykają; znów je otworzył jak najszerzej, ale to nie pomagało.

— Gdzie oni teraz są?

— Nie mam pojęcia.

— Czy Niemcy ich zabrali?

— Tak, w każdym razie rodziców.

— A brat?

— Uciekł. Chciał... — Po raz pierwszy nie mógł powstrzymać się od płaczu. — Co ja mam teraz... — Wstydził się, ale w żaden sposób nie mógł się opanować.

— Chodź tutaj, usiądź koło mnie.

Wstał i kroczył za kroczeniem posuwał się w jej kierunku.

— Tak, jestem tu — powiedziała. — Wyciągnij rękę.

Poczul jej palce; chwyciła go za rękę i przyciągnęła do siebie. Na pryczy objęła go jedną ręką, a drugą przycisnęła jego głowę do piersi. Pachniała potem, ale także czymś jeszcze, czymś słodkawym, czego nie potrafił określić. Może jakimiś perfumami. W ciemności panującej w celi była jakby druga ciemność i w niej słyszał bicie jej serca, być może o wiele za szybkie u osoby, która tylko pociesza kogoś innego. Gdy się uspokoił, dostrzegł w szparze pod drzwiami wążutką smużkę światła. Utkwił w niej wzrok. Kiedy tu wchodził, kobieta musiała go przez moment widzieć. Okryła ich obydwójce kocem i mocno przycisnęła go do siebie. Nie była taka ciepła, jak przed chwilą piec na górze, a równocześnie dużo cieplejsza. Do oczu znów napłynęły mu łzy, ale teraz inaczej. Chciał ją spytać, dlaczego tu jest, ale nie

miał odwagi. Być może za nielegalny handel. Słyszał, jak przełyka ślinę.

— Nie wiem, jak masz na imię — wyszeptała — i nie powinnam tego wiedzieć. Ty też nie możesz poznać mojego imienia, ale czy mi obiecasz, że nigdy w życiu nie zapomnisz jednej rzeczy?

— Jakiej?

— Ile masz lat?

— Prawie dwanaście, proszę pani.

— Daj spokój z tym „proszę pani”. Słuchaj. Prawdopodobnie będą ci się starali wmówić niestworzone rzeczy, ale pamiętaj, że to faszyci i że to oni właśnie spalili twój dom. Zrobili to oni i nikt inny.

— Przecież ja to wiem — odpowiedział Anton z lekka oburzony. — Widziałem to na własne oczy.

— Tak, ale oni zrobili to dlatego, że ten drań został zastrzelony, a będą twierdzić, że to wina tych z podziemia i oni musieli tak postąpić. Będą twierdzić, że ci z podziemia wiedzieli, że do tego dojdzie, a więc że to jest ich wina.

— O! — odparł Anton wyprostowawszy się i próbując jakoś sformułować to, co mu chodziło po głowie. — Jeśliby tak było, to... to nigdy nikt nie byłby winien. Wtedy każdy mógłby robić, co zechce.

Czuł dotyk jej dłoni głaszczącej go po głowie.

— A wiesz może... — zaczęła z wahaniem — jak się ten człowiek nazywał?

— Ploeg — odpowiedział i w tym samym momencie poczuł jej dłoń na ustach.

— Ciszej.

— Fake Ploeg — wyszeptał. — Był w policji. Parszywy NSB-owiec*.

— Widziałeś go? — zapytała również cichutko. — Naprawdę nie żył?

Anton kiwnął głową. Gdy sobie uświadomił, że nie mogła tego widzieć, a co najwyżej czuć, powiedział:

NSB — Nederlandse Socialistische Beweging — faszystowska organizacja, istniejąca w Holandii w latach 1931—1945 r.

— Był martwy jak pień. — Przypomniała mu się kałuża krwi na śniegu. — Chodziłem z jego synem do jednej klasy. On też miał na imię Fake.

Słyszał jej głęboki oddech.

— A wiesz — powiedziała po chwili — gdyby ci z podziemia tego nie zrobili, to on zamęczyłby jeszcze wielu ludzi. A wtedy...

Nagle kobieta puściła go i zaczęła szlochać. Anton poczuł się nieswojo, chciał ją pocieszyć, ale nie wiedział, jak powinien się w takiej chwili zachować. Znow się wyprostował i ostrożnie wyciągnął przed siebie rękę, dopóki nie poczuł jej włosów: twardej i sztywnych.

— Dlaczego ty teraz płaczesz?

Uchwyciła jego rękę i przycisnęła ją do piersi.

— To wszystko jest takie straszne — odpowiedziała zdławionym głosem. — Świat jest piekłem, piekłem, jak ja się cieszę, że to się już niedługo skończy, już dłużej nie mogę...

Pod jego dłonią była jej miękka pierś: delikatna miękkość, której jeszcze nigdy przedtem nie czuł; nie miał odwagi poruszyć ręką.

— Co się niedługo skończy?

Wzięła jego dłoń w swoje ręce. Po głosie zorientował się, że zwróciła twarz w jego kierunku.

— Wojna. Oczywiście wojna, jeszcze tylko kilka tygodni i będziemy to mieli za sobą, wszystko będziemy mieli za sobą. Amerykanie stoją już na linii Renu a Rosjanie na Odrze.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — zainteresował się Anton, bo powiedziała to tonem pełnym zdecydowania, podczas gdy u niego w domu mówiono o tym bardzo mgliście, że niby tak właśnie jest, ale okazywało się, że jest akurat inaczej. Ale nieznamiona nic nie odpowiedziała. Smuzka światła pod drzwiami była wprawdzie słabiotka, mógł jednak teraz rozróżnić, choć bardzo niewyraźnie, zarys jej głowy i sylwetki, jakby odstające włosy, miejsce, w którym była, rękę, która się do niego zbliżała.

— Czy mogę dotknąć twojej twarzy, chciałabym wiedzieć, jak wyglądasz?

Chłodne koniuszki palców przesuwały się delikatnie po jego czole, brwiach, policzkach, nosie i ustach. Pozwalał na to, siedząc nieruchomo, wyprostowany, z głową lekko odchyloną do

tyłu. Czuł się tak, jakby odbywało się coś uroczystego, rodzaj wyświęcenia, jak u pierwotnych ludów Afryki. Nagle cofnęła dłoń i jęknęła.

— Co się stało? — zapytał wystraszony Anton.

— Nic, nic, to zaraz przejdzie... — Siedziała teraz zgięta w pół.

— Boli cię coś?

— To nic takiego. Naprawdę. — Znów się wyprostowała i powiedziała: — Raz byłam w jeszcze większej ciemności. Kilka tygodni temu.

— Mieszkaś w Heemstede?

— Nie powinieneś mnie o to pytać. Będzie lepiej dla ciebie, jeżeli nic nie będziesz o mnie wiedział. Kiedyś, później, to zrozumiesz. Zgoda?

— Zgoda.

— No to posłuchaj. Dzisiejsza noc jest bezksiężycowa, a jednak jest bardzo jasno. Kilka tygodni temu też noc była bezksiężycowa, do tego jeszcze pochmurna i bez śniegu. Odwiedziłam przyjaciela z sąsiedztwa, z którym się zagadałam i wyszłam od niego dopiero około północy, długo po godzinie policyjnej. Było tak ciemno, że i tak nikt nie mógł mnie zobaczyć. Znałam doskonale tę okolicę, więc macając po ścianach i płotach wracałam do domu. Nie widziałam absolutnie nic, równie dobrze mogłabym być ślepa. Żeby mnie nie było słychać, zdjęłam buty. Nic nie widziałam, a mimo to doskonale wiedziałam, gdzie jestem. Przynajmniej tak mi się wydawało. Oczami wyobraźni wszystko świetnie rozpoznawałam, przechodziłam przecież tą drogą setki, a może i tysiące razy, znałam każdy róg, każdy płot, każde drzewo, każdy próg — dosłownie wszystko. I nagle poczułam, że się zgubiłam. Nagle wszystko przestało się zgadzać. Tam gdzie powinna być okiennica, poczułam jakiś krzak, a gdzie brama garażu — latarnię. Zrobiłam jeszcze kilka kroków i wtedy już niczego nie było. Wciąż jeszcze stałam na ceglanej jezdni, ale wiedziałam, że tuż obok powinien być kanał, bałam się, że za następnym krokiem wpadnę do niego. Jeszcze przez jakiś czas posuwałam się na czworakach. Nie miałam ze sobą ani zapalek, ani latarki. W końcu usiadłam i czekałam, aż się trochę rozwidni. Czy możesz sobie wyobrazić, że poczułam się nagle tak, jakbym była zupełnie sama na całym świecie?

Anton słuchał jej opowieści z zapartym tchem. — Płakałaś? — zapytał. Miał takie wrażenie, jakby tu, w tej ciemnej celi, potrafił zobaczyć, jak w tamtej ciemności nic nie było widać.

— Co to, to nie — odpowiedziała mu z uśmiechem. — Ale wystraszona byłam solidnie, owszem. Może jeszcze bardziej z powodu tamtej ciszy niż ciemności. Wiedziałam, że wszędzie dookoła są ludzie, ale wszystko zniknęło. Świat kończył się dosłownie przy mojej skórze. Ten mój strach nie miał nic wspólnego z wojną. Było mi też bardzo zimno.

— A co potem?

— A jak sądzisz? Okazało się, że siedziałam na ulicy na wprost mojego domu. Pomyśleć tylko. Pięć kroków i już byłam w środku.

— Ja też przeżyłem kiedyś coś podobnego — zaczął Anton, który zupełnie zapomniał, gdzie się znajduje i dlaczego — gdy pojechałem na parę dni do stryja, do Amsterdamu.

— Na pewno już jakiś czas temu?

— Zeszłego lata, gdy jeszcze chodziły pociągi. Pamiętam, że miałem jakiś przykry sen, obudziłem się i chciałem wstać z łóżka, żeby pójść do ubikacji. Było ciemno choć oko wykol. W domu zawsze wstaję z łóżka na lewo, wiesz, ale tam nagle z lewej strony okazała się być ściana. Z prawej, gdzie zawsze u mnie jest ściana, nagle jej nie było. Przeraziłem się. Wydawało mi się, że ta ściana jest o wiele twardsza od normalnej ściany, a tam, gdzie ściany nie było... tam była jakby przepaść.

— A czy wtedy się rozplakałaś?

— No jasne, dziwisz się?

— I wtedy twój wuj albo ciotka zaświecili światło i znów wiedziałeś, gdzie jesteś.

— Tak, mój wuj. Stanąłem na łóżku i...

— Psst!

Ktoś schodził po schodach. Kobieta znowu otoczyła go ramieniem i zastygła w bezruchu nasłuchując. Głosy na korytarzu; dzwonienie kluczy. Przez chwilę słyhać było jakiś rumor, którego przyczyny Anton nie potrafił określić, potem rozległy się przekleństwa i głuchy odgłos uderzeń. Kogoś ciągnięto po korytarzu, podczas gdy ktoś inny w celi nadal przeklinał. Z twardym łoskotem ponownie zatrzaśnięto żelazne drzwi. Na schodach za-

dudniło jeszcze więcej podkutych butów, słychać było jeszcze więcej wrzeszczących głosów, po czym najwidoczniej powleczono kogoś na górę. Zrobiło się spokojniej. Ktoś się zaśmiał. Po chwili wszelkie odgłosy ucichły.

Anton drżał na całym ciele.

— Kto to był? — zapytał cicho.

— Nie wiem. Ja też jestem tutaj od niedawna. Ci oprawcy... Oni, dzięki Bogu, wszyscy skończą na szubienicy i to szybciej, niż sądzą. Wierz mi, że Rosjanie i Amerykanie raz-dwa zrobią porządek z tym draństwem. Pomyślmy lepiej o czymś innym — zaproponowała, gładząc go obydwiema rękami po głowie — przynajmniej dopóki możemy.

— Co masz na myśli?

— Chciałam powiedzieć, dopóki nam tu pozwolą razem siedzieć. Ty przecież jutro będziesz na wolności.

— A ty?

— Ja chyba nie — odpowiedziała takim tonem, jakby mimo wszystko była jeszcze jakaś nadzieja, że nazajutrz zostanie uwolniona. — Ale ze mną też będzie dobrze. O czym to mówiliśmy? Albo może jesteś zmęczony? Chcesz spać?

— Ja nie.

— To dobrze. Porozmawialiśmy już sobie o ciemności, to może teraz pomówimy o jasności?

— Zgoda.

— Wyobraź sobie bardzo wielką jasność. Słońce. Lato. Co jeszcze?

— Plaża.

— Tak jest. Ale jeszcze wtedy, gdy nie było na niej bunkrów i zapór. Wydmy. Słońce, które przygrzewa w niecce między wydmy. Masz pojęcie, jakie ono może być oślepiające?

— Pewnie, gałęzie, które tam leżą, zawsze są zupełnie zbiełałe od słońca.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, zaczęła opowiadać w taki sposób, jakby w celi był jeszcze ktoś trzeci, do kogo się zwracała.

— Jasność, tak, ale jasność to nie tylko światło. Wiesz, chodzi mi o to, że chciałam kiedyś napisać wiersz, taki, w którym jasność porównywałam z miłością — nie, raczej miłość z jasnością. Odwrotnie oczywiście też można, to znaczy porównywać jasność z

miłością. Być może jest to jeszcze piękniejsze, bo jasność jest starsza niż miłość. Katolicy twierdzą wprawdzie, że nie, ale to ich sprawa. Czy może jesteś katolikiem?

— Moim zdaniem, nie.

— Pragnęłam porównać w tym wierszu miłość z pewnym szczególnym rodzajem jasności, którą widać między drzewami po zachodzie słońca: taką właśnie czarowną jasnością jest jasność, która rozświetla kogoś, kto kocha. Nienawiść to ciemność, to, co niedobre. Choć przecież musimy nienawidzić faszystów i to akurat jest dobre. Jak to właściwie możliwe? Ależ tak, to dlatego, że nienawidzimy ich w imię światłości, podczas gdy oni nienawidzą tylko w imię ciemności. My nienawidzimy nienawiści, dlatego nasza nienawiść jest lepsza niż ich. Ale dlatego nam bywa trudniej niż im. Dla nich wszystko jest bardzo proste, a dla nas skomplikowane. Po to, żeby ich móc zwalczać, powinniśmy się trochę do nich upodobnić, trochę przestać być sobą, podczas gdy oni nie mają z tym żadnych trudności; potrafią nas niszczyć bez najmniejszych skrupułów. My musimy najpierw trochę zniszczyć samych siebie po to, żeby niszczyć ich. Oni nie, oni mogą zwyczajnie pozostawać takimi, jakimi są, dlatego są tacy silni. Ponieważ jednak nie ma w nich żadnej światłości, to w końcu przegrają. Tylko że my musimy przy tym uważać, żeby się za bardzo do nich nie upodobnić i żebyśmy się sami za bardzo nie zniszczyli, bo wtedy ostatecznie oni zwyciężą...

Znów jęknęła, ale zanim Anton zdążył zareagować, już mówiła dalej. Nie rozumiał ani słowa z tego, co mówiła, ale był dumny, że rozmawia z nim tak, jak z dorosłym.

— I jest jeszcze jedna sprawa z tym rodzajem światłości. Ten, kto kogoś kocha, zawsze mówi, że to dlatego, że tamten drugi jest piękny, w taki czy inny sposób, zewnątrz lub wewnątrz, albo jedno i drugie, podczas gdy inni ludzie często wcale tego nie zauważają, i najczęściej wcale tak nie jest. Ale zawsze pięknym jest ten, kto kocha, bo kocha i dlatego bije od niego światłość. Jest pewien mężczyzna, który mnie kocha i który mnie nawet uważa za niezwykle piękną, ale ja wcale taka nie jestem. On jest piękny, choć jest na swój sposób okropnie brzydki. I ja też jestem piękna, ale tylko dlatego, że go Kocham — choć on o tym nie wie. On myśli, że nie, ale ja go Kocham. Ty jesteś jedy-

nym, który teraz to wie, choć nie wiesz, kim jestem ani kim on jest. On ma żonę i dwoje dzieci, w twoim wieku, one go potrzebują, tak jak ty potrzebujesz swojego ojca i swojej matki... — Nagle zamilkła.

— Gdzie mogą być moi rodzice? — zapytał cicho Anton.

— Też z pewnością gdzieś siedzą. Sądzę, że jutro znów ich zobaczysz.

— Ale dlaczego siedzą gdzie indziej, a nie tu gdzie ja?

— No właśnie, dlaczego? Bo mamy do czynienia z bandytami. I dlatego, że to wszystko już się wali i oni sami nie wiedzą, co mają robić. Bez przerwy srają w portki. Ale nie martw się o rodziców. O wiele bardziej obawiam się o twojego brata.

— Gdy stamtąd uciekał, zabrał pistolet Ploega — oznajmił Anton, mając nadzieję, że Niemcy nie uznają tego za wielkie przestępstwo.

Upłynęło kilka sekund, zanim kobieta odpowiedziała:

— O Jezu, jeszcze tego brakowało!

Po jej tonie Anton zorientował się, że było to coś fatalnego. Co się stało z Peterem? Nagle poczuł, że już dłużej nie wytrzyma. W tym samym momencie osunął się bezwładnie i zasnął głębokim snem.

IV

W godzinę, może półtorej godziny później obudziły go wrzaski, które już od kilku lat rozlegały się po całej Europie. W następnej chwili znowu został oślepiiony latarkami. Ktoś chwycił go za ramię, oderwał od pryczy i wyciągnął na korytarz tak szybko, że nawet nie zdążył rzucić okiem na swoją towarzyszkę niedoli. Znów wokoło było pełno Niemców i policjantów. Wysoki esesman z trupią czaszką na czapce, srebrnymi gwiazdkami i paskami na kołnierzu zatrzasnął drzwi celi. Był to przystojny mężczyzna, wyglądający na jakieś trzydzieści pięć lat, o regularnych rysach szlachetnej twarzy, takiej, jakie Anton często widywał na rysunkach w książkach dla młodzieży.

Żeby zamknąć takiego chłopca, krzyczał wchodząc na górę po schodach, ausgerechnet z tą terroristką! Czy wszyscy kompletnie powariowali? Ta przekłeta komunistka też nie powinna tu być, pojedzie zaraz do Amsterdamu, do jego biura na Euterspestraat. Niech się panowie cieszą, że jej jeszcze nie odbito, bo inaczej znowu paru Beamte byłoby już na tamtym świecie! Co za burdel! Kto to wszystko tak hat angeordnet? Ktoś z Sicherheitsdienst? Ach, so! Et tu, Brute! Na pewno chciał tu w Heemstede zakopcować sobie mały argumencik, żeby móc po wojnie udawać Weihnachtsmann, niby wielkiego przyjaciela ruchu oporu. To z pewnością zainteresuje Gestapo. A ten chłopak niech się cieszy, że żyje. Skąd ta krew na jego twarzy?

Anton znów stał w poczekalni i widział palec w rękawicze wyciągnięty w jego kierunku. Krew? Dotknął swoich policzków. Jakiś policjant wskazał mu okrągłe lusterko do golenia wiszące na żelaznym kołku na ścianie. Anton wspiał się na palce i w powiększającym lustrze ujrzał krwawe, zaschnięte ślady jej palców na swojej bladej twarzy i na włosach.

— To nie moja.

— No to w takim razie to jej — wykrzyknął oficer. — Jeszcze tego brakowało! — Ona jest ranna, natychmiast wezwać lekarza, on jej jeszcze potrzebuje. Co do chłopca, to na dzisiejszą noc odesłać go do Ortskommandantur, a jutro przekazać rodzinie. I ruszać się, bisschen Ruck-Zuck, półgłówki! Nic dziwnego, że są z byle powodu abgeknallt. Oberinspektor Ploeg! Wybrał się po ciemku na małą przejażdżkę rowerem, to ci dopiero Vollidiot!

Otulonego derką Antona jakiś żołnierz w hełmie znów wyprowadził na zewnątrz, gdzie skrzyła się kryształowa noc. Przed drzwiami stał mercedes, należący oczywiście do oficera, ze składanym dachem i wielkimi kompresorami przy masce silnika. Żołnierz miał na plecach karabin; poły jego długiego, ciemnozielonego płaszcza były podwiązane nad kolanami, tak że idąc przypominał ciężkiego, kołyszącego się na rozstawionych nogach niedźwiedzia. Poleciał Antonowi usiąść na tylnym siodełku motocykla i mocno się trzymać. Anton owinął się dokładnie derką, złapał żołnierza za olbrzymie ramiona i przycisnął górną połowę ciała do pleców z karabinem.

Slizgając się i kiwając na wszystkie strony jechali niecałe

dziesięć minut pod rozgwieżdżonym niebem przez puste ulice Haarlemu. Śnieg skrzypiał pod kołami i miało się wrażenie, że nawet warkot motocykla nie potrafi przełamać panującej w mieście ciszy. Po raz pierwszy w życiu Anton siedział na motocyklu. Pomimo zimna musiał wyteżać siły, żeby znów nie zasnąć. Było równocześnie jasno i ciemno. Tuż przed oczami miał pasek skóry z krótkimi, ciemnymi włosami pomiędzy gumą płaszcza a stalową blachą hełmu. Przypomniawszy sobie zdarzenie sprzed roku, na basenie. O wyznaczonej porze należało go zwolnić dla Wehrmachtu, ale Anton tak długo się grzebał w swojej kabynie, aż było za późno. Nadeszła już kolumna ze śpiewem i przytupem. Hei-li hei-lo heila! W chwilę później żołnierze dudniąc wbiegli do cichego pomieszczenia, z szuraniem nogami, ze śmiechem, z wrzaskiem. Nie było słycać trzaskania drzwiami kabin, żołnierze rozbierali się w ogólnym pomieszczeniu i w minutę później ich bose stopy klaskały już po chodniku prowadzącym do basenu. Gdy się uspokoiło, Anton odważył się wyjść z kabiny. Zobaczył ich na końcu korytarza, pomiędzy kabinami, za oszklonymi drzwiami: zmienionych nagle w niepojęty sposób w ludzi, zwykłych mężczyzn, nagie ciała z opalonymi twarzami i karkami, i rękami brązowymi do połowy przedramienia. Ruszył do domu. W ogólnej rozbieralni, z której zazwyczaj korzystali tylko ubożsi, ujrzał leżące mundury, furazerki, pasy, buty. To zagrożenie tam, ten brutalny spokój... Powolnym, chwiejnym ruchem, tak jak wstaje człowiek zaspany, mundury podniosły się z miejsc, w których leżały, i ruszyły na płonący stos gałęzi, wysokie płomienie pod spiczastym drewnianym dachem białego wiejskiego domu, ale na szczęście wszystko jest pod wodą, w kanale albo w jakimś basenie; płomienie z sykiem gasną.

Obudził się przestraszony. Stali w Hout, przy przejściu przez zaporę przeciwczołgową wykopaną dookoła Ortskommandantur. Wszędzie widział druty kolczaste. Wartownik ich przepuścił. W ciemności panującej na wewnętrznym dziedzińcu stały ciasno jedna obok drugiej ciężarówki i inne samochody, na osłoniętych reflektorach pod malutkimi daszkami wąziutkie pasemka światła. Warkot motorów, trąbienie klaksonów i pokrzykiwania były tajemniczym przeciwieństwem ostrożności, z jaką podchodzono do światła.

Żołnierz odstawił motocykl i wprowadził Antona do budynku. Wewnątrz panował ożywiony ruch, kręciło się tam mnóstwo mężczyzn w wojskowych mundurach, dzwoniły telefony i klekotały maszyny do pisania. Kazano mu poczekać na drewnianej ławce w małym, ciepłym bocznym pomieszczeniu. Przez otwarte drzwi widział korytarz na całej jego długości i nagle na samym końcu ujrzał pana Kortewega. Prowadzony przez żołnierza bez czapki, niosącego jakieś papiery pod pachą, wyszedł z jednych drzwi, przeciął korytarz i wszedł do innych, znajdujących się naprzeciwko. Musieli wiedzieć, co on zrobił. Z myślą, że jego rodzice też na pewno tu są, Anton ziewnął, oparł się o ścianę i zasnął.

Gdy się obudził, patrzył w oczy podstarzałego feldfebla w wymiętym mundurze i za szerokich butach z cholewką do pół łydki. Mężczyzna mrugnął do niego przyjaźnie. Anton leżał teraz w innym pokoju, pod wełnianym kocem na czerwonej sofie. Na ulicy było już jasno. Anton odpowiedział uśmiechem. Na chwilę zaświtało mu w świadomości, że jego dom już nie istnieje, ale to natychmiast minęło. Feldfebel przysunął krzesło i postawił na nim emaliowany kubek z ciepłym mlekiem i talerz z trzema elipsowatymi, dużymi kromkami czarnego chleba posmarowanymi czymś w kolorze zmatowiałego szkła. Po latach, przejeżdżając przez Niemcy do swego domu w Toskanii, Anton dowie się, że było to gęsie sadło: Schmalz. Nigdy więcej nic nie będzie mu tak smakować, jak wtedy ten posiłek. Ani najdroższe kolacje w najlepszych restauracjach na świecie, w Bocuse w Lyonie, w Lasserre w Paryżu, ani najkosztowniejsze i najwspanialsze w Lafite-Rotchild lub Chambertin nie mogły się równać z tym ciepłym mlekiem. Ten, kto nigdy nie był głodny, lepiej będzie umiał rozkoszować się dobrą kuchnią, ale co znaczy jedzenie, nigdy się nie dowie.

— Schmeckt, gelt? — zapytał feldfebel.

Gdy przyniósł mu jeszcze jeden kubek mleka i z rozbawieniem ujrzał, jak chłopiec i ten szybko wysuszył, kazał Antonowi umyć się pod kranem w ubikacji. W lusterku chłopiec zobaczył, że ślady krwi na jego twarzy zrobiły się rdzawobrazowe; z wahaniem, po maleńku, usunął tę jedyną rzecz, jaką od niej miał. Następnie,

położywszy mu po przyjacielsku rękę na ramieniu, feldfebel zaprowadził go do pokoju Ortskommandanta. Na progu Anton zawałał się, ale feldfebel pokazał mu, że ma usiąść w fotelu naprzeciwko biurka.

Ortskommandant, wojskowy gubernator miasta, rozmawiał przez telefon i spojrział na niego przelotnie, kiwnąwszy przy tym uspokajająco, po ojcowsku, głową. Niski, korpulentny mężczyzna z krótko przyszyżonymi, siwymi włosami, w szarym mundurze Wehrmachtu; jego pas i pistolet leżały obok czapki na blacie biurka. Stały tam również cztery oprawione fotografie, na trójkątnych podstawkach. Anton mógł widzieć tylko ich odwrotną stronę. Na ścianie naprzeciwko wisiał portret Hitlera. Anton patrzył przez okno na bezlistne, oszronione, obojętne drzewa, dla których nigdy nie ma wojny. Ortskommandant odłożył słuchawkę na widelki, zanotował coś, poszukał czegoś w tekturowych teczkach, położył ręce na blacie i zapytał Antona, czy się wyspał. Mówił po niderlandzku z mocnym niemieckim akcentem, ale wyraźnie.

— Tak, proszę pana — odpowiedział Anton.

— To straszne, to, co się wczoraj wydarzyło. — Ortskommandant pokiwał głową. — Ten świat to padół łez. Wszędzie dokoła to samo. Mój dom w Linz też być zbombardowany. Alles kaput. Kinder zabity. — Kiwając głową patrzył na Antona. — Ale zdaje mi się, że chciałeś coś powiedzieć, no, mów — zachęcił chłopca.

— Czy moi rodzice są tutaj? Ich też wczoraj zabrano.

Świadom był tego, że o Peterze nie powinien wspominać, bo to mogłoby ich naprowadzić na jakiś ślad.

Ortskommandant znów zaczął przerzucać papiery.

— To jest inny Dienststelle. Mnie być przykro, nic nie można zrobić. Wszędzie taki bałagan. Oni chyba gdzieś tu być. Trzeba czekać. Wojna überhaupt nie może długo trwać. To wszystko być potem zły sen. No — roześmiał się nagle i wyciągnął do Antona obydwie ręce — co my teraz z tobą robić? Ty być z nami? Chcesz być wojskowy?

Anton uśmiechnął się, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Kim chcesz być, jak dorośniesz... — spojrział na małą, szarą kartę — Anton Emanuel Willem Steenwijk?

Anton zorientował się, że trzyma on jego kartę zaopatrzeniową.

— Jeszcze nie wiem, może lotnikiem.

Ortskommandant uśmiechnął się, ale uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy.

— So — powiedział i wziął do ręki grube, pomarańczowe wieczne pióro. — Teraz musimy przejść do rzeczy. Masz krewnych w Haarlem?

— Nie, proszę pana.

Ortskommandant spojrzął na niego.

— Zupełnie żadnej rodziny?

— Tylko w Amsterdamie. Wujka i ciotkę.

— Myślisz, że na razie możesz tam mieszkać?

— Na pewno.

— Jak ten wuj się nazywa?

— Van Liempt.

— Imię?

— Hm... Peter.

— Zawód?

— Lekarz.

Myśl, że na jakiś czas zamieszka u wuja i ciotki, była bardzo przyjemna. Często wspominał ich piękny dom na Apollolaan, w którym było coś specyficznie tajemniczego dla Antona: być może z powodu wielkiego miasta wokoło.

Zapisując nazwisko i adres wuja, Ortskommandant rzekł wzniosłe:

— Phöbus Apollo! Der Gott des Lichtes und der Schönheit!*

— Nagle spojrzął na zegarek, odłożył pióro i wstał. — Moment — powiedział i wyszedł z pokoju. W korytarzu krzyknął coś do żołnierza, który z tupotem dokądś pobiegł. — Zaraz jedzie mały konwój nach Amsterdam — oznajmił po powrocie do pokoju — możesz od razu z nimi jechać. Schulz! — zawołał. Okazało się, że to do feldfebla. Otrzymał on rozkaz odstawienia Antona do Amsterdamu. Komendant zaraz napisze Notiz dla Behörden tam; chłopca należy w tym czasie ciepło ubrać. Podszedł do Antona,

Phöbus Apollo! — Febus Apollo! Bóg światła i piękna!

podał mu rękę, a drugą położył na jego ramieniu. — Gute Reise, Herr Fliegergeneral. Rośnij zdrowo.

— Tak jest, proszę pana.

— Servus, Kleiner.

Został jeszcze przyjacielsko uszczypnięty w policzek i feldfelbel wyprowadził go z pokoju.

W zatechłym, zimnym magazynie Schulz wyszukał dla niego jakieś ubranie, gadając przy tym ciągle w dialekcie, z którego Anton nie rozumiał ani słowa. Wisiały tu w długich szeregach żołnierskie płaszcze i stały buty, na półkach leżały rzędy nowych hełmów. Feldfelbel pojawił się z dwoma grubymi, szarymi swetrami, które polecił Antonowi włożyć jeden na drugi. Głowę obwiązał mu szalem, a na to założył hełm, który kiwając się, opadł chłopcu poniżej uszu. Schulz znalazł na to radę: za skórzaną futrówkę nawpychał papieru, mocno ściągnął paski pod brodą chłopca i już było lepiej. Przyjrzał mu się z pewnej odległości i niezadowolony pokręcił głową. Z lewego końca szeregu zdjął płaszcz i trzymając go w rękę przymierzył do stojącego Antona. Potem wyciągnął z szuflady ogromne nożyce, położył płaszcz na ziemi i Anton wybałuszył oczy widząc, jak płaszcz zostaje przycięty na jego miarę: szeroki pas materiału odjęty został od dołu i od rękawów. W końcu chłopiec został przewiązany w pasie sznurkiem, tak że wszystko znalazło się na swoim miejscu. Do stał jeszcze parę dużych, ocieplanych futrem rękawic, po czym Schulz wypowiedział jakieś niezrozumiałe zdanie i jeszcze głośniejszym głosem zaczął się śmiać. Gdyby teraz mogli go zobaczyć koledzy! Ale siedzieli w domu, nudzili się i o niczym nie mieli pojęcia. Na górze Schulz też włożył płaszcz i hełm; gdy odebrał od Ortskommandanta list, który w korytarzu włożył do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyszli z Antonem z budynku.

Z ciemnego nieba padały cieniutkie igiełki błyszczącego lodu. Koło garażu, po drugiej stronie zadaszzonego placu, czekała już mała kolumna, składająca się z czterech wysokich, przykrytych brezentem ciężarówek i długiego, otwartego samochodu na czele. Na przednim siedzeniu siedział obok kierowcy niezadowolony oficer, spoglądający na nich niecierpliwie, na dwóch ławkach za nim — czterej ciepło okutani żołnierze z pistoletami maszynowymi na kolanach. Anton zajął miejsce w kabinie pierwszej cięż-

zarówki, pomiędzy ponurym żołnierzem za kierownicą a Schulzem. Co za przeżycie! Anton, jeszcze za mały, żeby rzeczywiście myśleć o przeszłości, odbierał każdą nową sytuację jak coś, co spycha na dalszy plan i co nieomal zupełnie zacierą to, co wydarzyło się wcześniej.

Przez peryferyjne dzielnice opuścili Haarlem i wjechali na szeroką, dwujezdniową autostradę prowadzącą do Amsterdamu wzdłuż kanału, po którym dawniej ciągnięto barki. Na drodze nie było żadnego ruchu. Po lewej stronie leżały na ziemi w fantazyjnych zwojach przewody trakcji kolejowej i tramwajowej, tu i ówdzie szyny sterczały pionowo w górę jak czułki ślimaka, gdzieś tam leżały przewrócone słupy. Po obydwu stronach ciągnęły się skute mrozem pola. Jechali dość wolno; wypełniająca kabinę hałas nie pozwalał rozmawiać. Wszystko tu było tłuste od smaru. To rozklekotane żelastwo w swoisty sposób więcej mówiło o wojnie niż wszystko, co Anton o niej do tej pory słyszał. Ogień i paskudne żelastwo, oto jest wojna.

Nie napotkawszy po drodze żadnego pojazdu, jadąc wzdłuż unieruchomionej cukrowni, przejechali miejscowość Halfweg i wjechali na ostatni, dwudziestokilometrowy odcinek drogi do Amsterdamu. Na horyzoncie, za piaskowym wałem, usypanym, jak wyjaśnił mu kiedyś ojciec, dla obwodnicy, widać już było zarys miasta. Gdy przejeżdżali przez zaśnieżone wyrobiska torfowe, pierwszy samochód niespodziewanie skręcił na pobocze, a siedzący w nim żołnierze zaczęli gwałtownie wymachiwać rękami, krzyczeć coś i wyskakiwać. W tej samej chwili Anton dostrzegł w oddali samolot: nie większy od komara przelatywał skośnie ponad drogą. Kierowca nacisnął hamulec i warknął:

— Raus!

Nie wyłączając silnika pośpiesznie wyskoczył z kabiny, Schulz uczynił to samo. Ze wszystkich stron rozlegały się krzyki, mężczyźni na przodzie przykucnęli za samochodem z gotowymi do strzału pistoletami opartymi o piersi. Z boku ktoś krzyczał do Antona, coś mu pokazywał, chłopiec widział to kątem oka, był to Schulz, ale Anton nie mógł oderwać oczu od tego punkciku, który zatoczył łuk nad drogą i gwałtownie rosnąc w oczach szybko leciał prosto na nich. To był Spitfire, nie, Mosquito, nie, Spitfire. Chłopiec, siedząc w roztrzęsionej, żelaznej kabinie, jak zahipno-

tyzowany wpatrywał się w nadlatujący samolot, tak jakby tamten go kochał: przecież on nie może mu nic zrobić, właśnie jemu, przecież on jest po tej samej stronie, przecież chyba o tym wiedzą, jeszcze wczoraj... Nagle spod skrzydeł samolotu wytrysnęły rozterkotane błyski, nic szczególnego, nic godnego uwagi. Na ziemi też rozszalała się kanonada i wokoło tylko błyskało, strzelało, dudniło i terkotało; czuł podmuchy eksplozji i zaczął się bać, że samolot może go zbombardować, dlatego zwinął się pod deską rozdzielczą, gdzie wycie motoru było do tego stopnia donośne, że czuł się tak, jakby przetaczał się po nim walec.

Chwilę później ktoś wyciągnął go spod kierownicy i zawlókł na pobocze. Ujrzał ze stu żołnierzy podnoszących się z ziemi po obydwu stronach szosy. Od strony ostatniej ciężarówki, nad którą unosił się dym, dochodziły jęki. Gdy samolot zniknął w chmurach i wydawało się, że nie powróci, wielu żołnierzy pobiegło w stronę płonącego samochodu. Z mocno bijącym sercem Anton obszedł ciężarówkę, żeby odszukać feldfebla. W twarz dmuchnęło mu odłamkami lodu ostrymi jak igły gramofonowe. Po drugiej stronie wozu, przy stopniu szoferki, dwóch żołnierzy ostrożnie kogoś układało. To był Schulz. Jeden bok jego klatki piersiowej był w strzępach, widniała tam ogromna, ciemna rana, spływająca krwią, z nosa i ust feldfebla też płynęła krew. Żył jeszcze, ale na jego twarzy malował się taki ból, że Anton poczuł, iż natychmiast musi coś ze sobą zrobić. Nie tyle ze względu na widok krwi, ile z powodu niemocy, jaka go nagle ogarnęła, zrobiło mu się raptem niedobrze i zlany potem pośpiesznie odwrócił się. Zsunął hełm z głowy, rozwiązał szal i jak ślepy namacał roztrzęsiony błotnik ciężarówki. Wymiotował. Prawie w tej samej chwili ostatnia ciężarówka stanęła w płomieniach.

To, co działo się później, z trudem docierało do jego świadomości. Ponownie wciśnięto mu hełm na głowę i ktoś zabrał go do otwartego auta. Oficer wydał krzykiem rozkazy, Schulza i rannych, być może i zabitych, położono w trzeciej ciężarówce; wszyscy inni żołnierze musieli zmieścić się w pierwszym i drugim samochodzie. W kilka minut później kolumna znów była w drodze, pozostawiając za sobą płonący samochód.

W miarę jak zbliżali się do Amsterdamu, oficer coraz częściej wykrzykiwał coś do szofera. Nagle zapytał Antona, kim on,

verflucht nochmal, właściwie jest i dokąd trzeba go zawieźć. Anton rozumiał go, ale przeraził się tak bardzo, że głos mu uwiązł w gardle i nie potrafił ani słowa wykrztusić, na co oficer machnął lekceważąco ręką i stwierdził, że jemu właściwie też jest scheiss-egal. Antona nie opuszczał widok rannego Schulza. Leżał dlatego tak blisko ciężarówki, że pewnie właśnie jego, Antona, chciał wyciągnąć z szoferki. To on, Anton, jest winien temu, co się stało, teraz ten pocziwina z pewnością umrze.

Mijając piaskowy wał wjechali do miasta. Nieco dalej, na skrzyżowaniu, oficer wstał i pokazał kierowcy pierwszej ciężarówki, że ma jechać prosto. Anton dojrzał resztki swego śniadania na błotniku samochodu, następnie oficer machnął do kierowcy drugiego samochodu, że ma jechać za nim. Przez jakiś czas jechali po szerokim nabrzeżu kanału, niemal zupełnie opustoszałym; przecinali ulice, na których grupki kobiet i dzieci w łachmanach szukały czegoś pomiędzy zardzewiałymi szynami tramwajowymi, skąd powyciągano kamienie. Jadąc wąskimi uliczkami, przy których stały rozwalające się domy, dojechali do bramy Westergasthuis. Za nią znajdował się szpital — sam wielki jak miasto, z ulicami i dużymi budynkami. Zatrzymali się przy jakimś baraku, koło którego stał drogowskaz ze strzałką „Lazarett”. Natychmiast wybiegło kilka pielęgniarek, wyglądających jednak zupełnie inaczej niż Karin: w ciemnych płaszczach do kostek, w o wiele za małych białych czepkach, które jak woreczki obejmowały ich włosy. Oficer i siedzący z tyłu żołnierze wysiedli, ale gdy Anton chciał pójść w ich ślady, kierowca go powstrzymał. We dwójkę tylko wrócili do miasta. Z ciężką jak olów głową Anton rozglądał się wokół. Po kilku minutach minęli tyły Rijksmuseum, gdzie był kiedyś z ojcem, a następnie wjechali na przestronny plac, którego środkowa część była zdemolowana, stały też na nim dwa olbrzymie, prostokątne bunkry. Na drugim końcu placu, naprzeciwko Rijksmuseum, widać było budynek przypominający z kształtu grecką świątynię, z lirą na dachu; pod tympanonem widniał wielki napis: CONCERT — GEBOUW. Przed nim stała niska budowla z napisem: „Wehrmachtheim Erika”. Na lewo i na prawo duże, wolno stojące wille, których część z pewnością zajmowali Niemcy. Zatrzymali się przy jednej z nich. Wartownik z karabinem na ramieniu spojrzął

na Antona i zapytał szofera, czy to może najnowsze posiłki. Również w hallu willi jego widok wywołał wybuchy śmiechu: taki mały chłopiec w hełmie na głowie i w o wiele za dużym płaszczu — ale wesołość szybko przerwał jakiś oficer, który akurat zamierzał wejść po schodach na górę. W czarnych lśniących oficerkach, w mundurze z najróżniejszymi sznurami, insygniami i naszywkami, z Krzyżem Żelaznym na szyi, być może był to nawet jakiś generał. Przystanął teraz z czterema idącymi za nim w pewnej odległości młodymi oficerami i zapytał, co to za przedstawienie. Anton nie rozumiał tego, co meldował kierowca, wyciągnięty na baczność jak struna, ale chodziło oczywiście o nalot. Słuchając go generał wyjął z paczki płaskiego, egipskiego papierosa i uderzył nim o pokrywkę pudełka, na którym Anton odczytał napis „Stambul”; natychmiast jeden z oficerów pośpiesznie podał mu ogień. Generał odchylił głowę do tyłu, wypuścił pionowo w górę obłok dymu, gestem ręki odesłał kierowcę, a Antonowi polecił iść za sobą na górę. Inni oficerowie słuchali, uśmiechając się dyskretnie. Prosty jak świeca kręgosłup generała odchyłał się nieco do tyłu, zdaniem Antona co najmniej pod kątem dwudziestu stopni.

W wielkim pokoju generał zniecierpliwionym gestem nakazał chłopcu zdjąć najpierw z siebie ten cudaczny strój; wygląda w nim jak sierota z getta w Białymstoku, stwierdził, co znów wywołało rozbawienie panów oficerów. Gdy Anton wykonywał jego polecenie, generał otworzył drzwi i rzucił do bocznego pokoju jakiś krótki rozkaz. Pozostali oficerowie trzymali się z boku, jeden z nich usiadł elegancko na parapecie i zapalił papierosa.

Gdy Anton siedział przed biurkiem, do pokoju weszła ładna, zgrabna dziewczyna, w czarnej sukience i z blond włosami, po bokach podkręconymi, ale z tyłu gładko opadającymi na kark. Postawiła przed nim filiżankę kawy z mlekiem; na brzeżku talerzyka leżała kostka mlecznej czekolady. — Proszę — zwróciła się do niego po niderlandzku — na pewno masz na to ochotę.

Czekolada! Wiedział już, ale tylko ze słyszenia, że coś takiego w ogóle istnieje — natychmiast poczuł się prawie jak w raju. Ale nie dane mu było jej zjeść, bo generał chciał wiedzieć od początku, co się zdarzyło. Dziewczyna pełniła rolę tłumaczki. Pierwszej części opowiadania, o zamachu i spaleniu domu, przy

której Anton nawet się trochę popłakał (jakże to już było dawno temu), generał słuchał nieporuszony, niekiedy tylko dłonią gładził starannie wyszczotkowane i przyczesane włosy, a wierzchnią stroną palców lśniąca, gładko wygolone policzki; za to przy każdym kolejnym stadium opowieści Antona wydawało się, że nie może uwierzyć własnym uszom.

— Na, so was! — wykrzyknął, słysząc, że Antona zamknięto w podziemiach komendy policji. — Das gibst es doch gar nicht! *

O tym, że był tam ktoś jeszcze zamknięty, Anton nawet nie wspomniał. Wiadomość, że następnie przewieziono go do Ortskommandantury, wywołała okrzyk: Unerhört! * Czy w Haarlemie nie ma sierocińców? Do Ortskommandantur! Das ist doch wirklich die Höhe! * I Ortskommandant wysłał go transportem wojskowym do wuja, do Amsterdamu? Gdy wszędzie tylu Tiefflieger? Czy oni tam w Haarlemie zupełnie zgłupieli? Da steht einem doch der Verstand still! Das sind ja alles flagrante Verstöße! * Uniósł w górę obie ręce i bezwładnym ruchem spuścił je na blat biurka. Siedzący na parapecie oficer wybuchnął śmiechem na widok tak przekonywająco wyrażanego oburzenia generała, na co ten rzekł: Ja, lachen Sie nur.* A czy panowie w Haarlemie byli tak łaskawi i wręczyli Antonowi jakiś list? A jego papiery, jeśli wolno zapytać? — Ależ tak, odpowiedział Anton, lecz w tym samym momencie pamięć podpowiedziała mu scenę, jak feldfelbel wkładał list do wewnętrznej kieszeni, w to samo miejsce, w którym pół godziny później znajdowała się ta straszna rana.

Gdy znowu się rozplakał, generał podniósł się poirytowany. Wyprowadzić i uspokoić. I natychmiast telefonować do Haarlemu. Albo nie, lepiej niech załatwią to sami. Sprowadzić wuja i niech zabiera chłopca.

Dziewczyna położyła mu dłoń na ramieniu i wyprowadziła go z pokoju.

Na, so was... — Coś podobnego! To przecież zupełnie niemożliwe!

Unerhört! — Niesłychane!

Das ist... — To przecież szczyt wszystkiego!

Da steht... — To się w głowie nie mieści! To wszystko są jaskrawe wykroczenia!

Ja... — No cóż, może pan się śmiać.

Gdy w pół godziny później zjawił się wuj, Anton siedział wciąż pociągając nosem w poczekalni, z kącikami ust brązowymi od czekolady. Na kolanach trzymał „Signal” otwarty na stronie z dramatycznym rysunkiem przedstawiającym bitwę powietrzną. Wuj zrzucił to na podłogę, ukląkł przy nim i w milczeniu mocno przytulił go do siebie. Ale natychmiast podniósł się i powiedział:

— Chodź, chłopcze, idziemy stąd.

Anton popatrzył w oczy swojej matki.

— Wujku Piotrze, słyszałeś już?

— Tak.

— Mam tu gdzieś płaszcz...

— Idziemy stąd...

Trzymając wuja za rękę, bez płaszcza, ale w dwóch swetrach, wyszedł na mroźną ulicę. Jeszcze trochę szlochał, choć właściwie nie wiedział dlaczego, czuł się tak, jakby razem z tymi łzami odpływały w dal niedobre wspomnienia. Było mu zimno w drugą rękę, więc włożył ją do kieszeni. Namacał w niej coś, co wydało mu się obce i nieznanne. Wyjął to i spojrzał na swoją dłoń: trzymał w niej kostkę do gry.

I

To, co następuje później, to epilog. Chmura popiołu wznosi się z wnętrza wulkanu aż do stratosfery, krąży wokół Ziemi i jeszcze przez kilka lat opada na wszystkie kontynenty.

Gdy w maju, w kilka dni po wyzwoleniu, wciąż nie było żadnej wiadomości od rodziców ani od Petera, któregoś ranka wuj wybrał się na rowerze do Haarlemu, mając zamiar czegoś tam się dowiedzieć. Z całą pewnością zostali aresztowani, choć nie było to praktykowane w przypadku takich akcji represyjnych; ale nawet jeśli ich przewieziono do obozu koncentracyjnego w Vught lub w Amersfoort, to powinni już być na wolności. Do domów nie powrócili tylko ci, którzy zginęli w faszystowskich obozach.

W południe Anton poszedł z ciotką do centrum. Miasto wyglądało jak konający człowiek, który nagle dostał rumieńców, otworzył oczy i cudownym zrzędzeniem losu powraca do życia. Wszędzie powiewały flagi zrobione z pustych wsyp na poduszki, wszędzie rozbrzmiewała muzyka, na gwarnych ulicach tańczono i bawiono się wesoło. Bładzi, wymizerowani ludzie tłoczyli się roześmiani wokół grubych Kanadyjczyków w beretach na głowach zamiast czapek, w mundurach nie szarych, czarnych lub zielonych, ale w beżowych i jasnobrązowych, nie naprężonych jak cięciwa łuku, ale luźnych i wygodnych, jak strój wypoczynkowy, z ledwo dostrzegalną różnicą pomiędzy żołnierzami a oficerami. Jeepy i samochody pancerne oglądano i dotykano jak święte relikwie, a ten, kto znał angielski, mógł czuć się tak, jakby i on był z tych niebiańskich sfer, które spłynęły na Ziemię — a do tego miał jeszcze szansę dostać papierosa. Chłopcy w wieku Antona siedzieli z tryumfującymi minami na maskach

samochodów, pomalowanych w białe gwiazdy i koła, ale Anton nie przyłączył się do nich. Nie dlatego, żeby się martwił o los rodziców czy Petera, bo nawet o nich nie myślał, ale raczej dlatego, że to wszystko nie należało przecież do niego i nigdy należeć nie będzie. Jego światem był tamten, który nareszcie odszedł i o którym nie chciał więcej myśleć, ale jednak był to kiedyś jego świat, dlatego też teraz niewiele dla niego pozostało.

Przed obiadem wrócili do domu i Anton poszedł do swojego pokoju, który teraz już w pełni należał do niego. Wujostwo byli bezdzietni i traktowali go jak własnego syna, to znaczy z jeszcze większą troską, niż gdyby to był ich własny syn, co też ma pewne dobre strony. Nieraz Anton zastanawiał się, jak to będzie, gdy powróci do rodziców, do Haarlemu, i takie myśli wprawiały go w popłoch, więc szybko je przeganiał. Podobało mu się w lekarskim mieszkaniu na Apollolaan, i to właśnie dlatego, że nie czuł się synem wujostwa.

Wuj miał w zwyczaju pukać przed wejściem do pokoju. Gdy Anton ujrzał jego twarz, wiedział już, z jaką przychodzi wiadomością. U prawej nogawki wuja wisiała jeszcze metalowa klamka, zabezpieczająca spodnie przy jeździe na rowerze. Wuj usiadł przy biurku i uprzedził go, że musi się przygotować na najgorsze. Otóż jego rodzice nigdy nie byli w więzieniu. Jeszcze tego samego wieczoru zostali rozstrzelani wraz z innymi dwudziestoma dziewczęciami zakładnikami. Nic nie jest wiadomo o losie Petera, tak więc istnieje jeszcze pewna nadzieja. Na policji wiedzieli tylko o zakładnikach. Poszedł więc potem na nabrzeże, do ich dawnych sąsiadów. U Aartsa w „Oazie” nie było nikogo, natomiast Kortewegowie byli w domu, ale nie chcieli z nim rozmawiać. Dopiero u Beumerów czegoś się dowiedział. Pan Beumer był naocznym świadkiem. Doktor Van Liempt nie wdawał się w szczegóły. Anton o nic nie pytał. Siedział na łóżku, ze ścianą po lewej stronie, ze wzrokiem wbitym w jaskrawe motywy chodnika na podłodze. Czuł się tak, jakby od dawna o tym wiedział. Wuj przekazał mu też pozdrowienia od Beumerów. Starsi państwo bardzo się ucieszyli wiadomością, że Anton żyje. Van Liempt odpiął klamerkę od nogawki spodni i teraz trzymał ją w ręce. Była w kształcie podkowy. Rozumie się samo przez się, dodał, że Anton teraz u nich zostanie na stałe.

Wiadomość o tym, że Peter zginął tego samego, feralnego wieczoru, nadeszła dopiero w czerwcu. Było to jakby przesłanie z bardzo odległej przeszłości, tak odległej, że już niewyobrażalnej. Okres pięciu miesięcy od stycznia do czerwca 1945 był dla Antona bez porównania dłuższy niż okres pomiędzy rokiem 1945 a dniem dzisiejszym: w tej deformacji czasu skrywała się jego późniejsza niemożność wytłumaczenia swoim dzieciom, czym była wojna. Jego rodzina przeniosła się w sferę, o której rzadko myślał, ale której jakiś strzęp pojawiał się niekiedy zupełnie nieoczekiwanie: na przykład gdy patrzył w szkole przez okno albo z tylnego pomostu tramwaju; była to jakby ciemna czeluść, znajdująca się gdzieś głęboko w nim i tam nieomal hermetycznie zamknięta, a w niej zimno i głód, strzały, krew, płomień, wrzaski, podziemne areszty. W takich chwilach było to jak gdyby wspomnienie snu, ale nie pamiętał, co mu się śniło, ani że był to koszmar. I tylko w samym sercu tej hermetycznie odgraniczonej ciemności przeblyskiwał niekiedy jaskrawo jasny punkt: błędzące po jego twarzy opuszki palców tamtej dziewczyny. Czy miała cokolwiek wspólnego z zamachem i co się z nią potem stało, nie wiedział. I nie chciał wiedzieć.

Gimnazjum ukończył jako uczeń przeciętny, nie wyróżniający się, ani dobry, ani zły. Potem zaczął studiować medycynę.

Przez te lata ukazało się na tematy okupacyjne wiele publikacji, ale on ich nie czytał, nie interesowały go również powieści ani opowiadania odnoszące się do tego okresu. Nie chodził też do Instytutu Dokumentacji Wojennej, gdzie mógłby się prawdopodobnie dowiedzieć, co było wiadomo na temat likwidacji Fake Ploega i co dokładnie stało się z Peterem. Rodzina, której część stanowił, została nieodwołalnie wytrzebiona i ta świadomość zupełnie mu wystarczała. Na pewno wiedział tylko tyle, że akcja ta nigdy nie stała się przedmiotem dochodzenia, bo w przeciwnym razie zostałby przesłuchany. Nie natrafiono też na żaden ślad mężczyzny z blizną (być może został usunięty jeszcze przez Gestapo, nie ma to nic do rzeczy, jest on najmniej znaczącym ze wszystkich, którzy mieli z tym cokolwiek wspólnego). Prawdopodobnie działał mniej lub bardziej samodzielnie. Puszczanie z dymem domów tam, gdzie zabito jakiegoś hitlerowca, było właściwie regułą, ale żeby mordować mieszkańców — taki terror

stosowano właściwie tylko w Polsce i w Rosji, ale tam i Anton rozstałby się z życiem, nawet gdyby był dzieckiem w kołysce.

II

Lecz sprawy wcale tak szybko nie przemijają. Gdy Anton był na drugim roku studiów, a było to w 1952 roku pod koniec września, otrzymał od kolegi z Haarlemu zaproszenie na jakąś rodzinną uroczystość. Od czasu, kiedy przed siedmiu laty opuścił to miasto z niemieckim konwojem, nigdy więcej w nim nie był. Początkowo nie zamierzał jechać, a jednak przez cały dzień o tym myślał. Nagle po obiedzie wziął pod pachę jakąś powieść młodego haarlemskiego pisarza, którą kupił niedawno dla siebie, i wsiadł do tramwaju jadącego w kierunku dworca. Czuł się przy tym jak ktoś, kto po raz pierwszy wybiera się do burdelu.

Za piaskowym nasypem pociąg przejechał pod ogromną stawłą rurą, która po drugiej stronie drogi wypluwała gęsty strumień mułu na wyeksploatowane wyrobiska torfowe. Tamtą ciężarówkę już oczywiście usunięto. Podparłszy brodę ręką patrzył na ruchliwą ulicę. Tramwaje też już jeździły. Gdy pociąg przejechał Halfweg, Anton dojrzał sylwetkę Haarlemu — wciąż jeszcze niewiele różniącą się od utrwalonej na obrazach Ruysdaela, choć w tamtych czasach miejsce, gdzie stał ich dom, porastały lasy i błonia. Ale niebo było identyczne: ogromne Alpy, o które wspierały się świetliste belki. To, co widział przed sobą, nie było miastem jak wiele innych: różniło się od nich, tak jak i on różnił się od innych ludzi.

Ktoś, kto by go obserwował w tym przedziale, gdy tak wyglądał przez okno siedząc na jasnej, drewnianej ławce wagonu trzeciej klasy, należącego niegdyś do Reichsbahn, zobaczyłby wysokiego, dwudziestoletniego młodzieńca z ciemnymi, gładko przyczesanymi włosami, nieco opadającymi na czoło, które raz po raz odrzucał do tyłu krótkim ruchem głowy. Z takiego czy innego powodu było w tym gościu coś sympatycznego, może właśnie ten często powtarzany ruch świadczył o jego cierpliwym uspo-

sobieniu. Miał ciemne brwi i gładką skórę o orzechowym odcieniu, wokół oczu nieco ciemniejszą. Ubrany był w szare spodnie, niebieską kurtkę z grubego materiału, klubowy krawat i koszulę z długimi końcami kołnierzyka. Papierosowy dym, który wydmychał wprost na okno przez złożone w trąbkę usta, osiadał na szybie cieniutką warstwą pary.

Do domu kolegi pojechał z dworca tramwajem. Było to w południowej dzielnicy miasta. Rodzina kolegi zamieszkała tam dopiero po wojnie, nie czekały go więc żadne pytania na temat przeszłości. Gdy tramwaj wjechał łukiem w Hout, Anton mógł przez chwilę oglądać budynek byłej Ortskommandantur. Zniknął już drut kolczasty i zaporą przeciwczołgowa, pozostał zaledwie stary, niezamieszkały, zniszczony hotel o oknach zabitych deskami; garaż, niegdyś restauracja, był w ruinie. Prawdopodobnie kolega nawet nie wiedział, co się tam kiedyś mieściło.

— No, nareszcie — powitał go kolega, otwierając mu drzwi.

— Przepraszam cię, że się nieco spóźniłem.

— Nie ma sprawy, nic się nie stało. Trudno było trafić?

— Nie było tak źle.

W ogrodzie za domem, pod wysokimi drzewami, stał długi stół, a na nim półmiski z sałatką ziemniaczaną i innymi smakołykami, butelki, sterty talerzy i sztuce. Na osobnym stole prezenty, do których dołożono też jego książkę. Wszędzie na gazonie stali lub siedzieli goście. Gdy został wszystkim po kolei przedstawiony, dołączył do grupki lekko już podchmielonych chłopców, których znał z Amsterdamu. Ze szklankami piwa w rękach stali w kole nad brzegiem stawu, w za szerokich kurtkach na szczupłych, chłopięcych ramionach. Przewodził im najwyraźniej starszy brat kolegi. Studiował stomatologię w Utrechcie, jego prawa stopa tkwiła w masywnym, czarnym bucie ortopedycznym.

— Ech, chłopaki, trzeba zacząć od tego, że straszne z was żółtodzioby. Interesuje was, oczywiście oprócz onanizmu, tylko jedno: jakby się tu wykręcić od wojska.

— Łatwo ci mówić, Gerrit-Jan, bo ciebie wcale tam nie potrzebują z tym twoim kopytem.

— Powiem wam coś, pędraki. Gdyby z was były prawdziwe chłopy, gdybyście mieli jaja takie choćby jak groszek, zgłosilibyście się na ochotnika. Czy wy wiecie, co się tam dzieje, w tej

Korei? Barbarzyńcy łomczą w bramy chrześcijańskiej cywilizacji! — Pogroził palcem w powietrzu. — Faszyci to przy nich kaszka z mlekiem. Poczytajcie sobie Koestlera.

— Sam tam jedź, Quasimodo, i rozwał im łby tym swoim bucikiem!

— Dobry strzał! — roześmiał się Gerrit-Jan.

— Ta Korea to teraz jak uniwersytet w Amsterdamie — odezwał się ktoś inny. — Tam też jest coraz więcej gnoj-ków.

— Panowie — powiedział Gerrit-Jan, podnosząc do góry swoją szklankę — wypijmy za upadek czerwonego faszyzmu w naszym kraju i za granicą!

— Ja też czułem, że powinienem pójść na ochotnika — wtrącił się jakiś chłopiec, który zupełnie nie rozumiał tonu tej rozmowy — ale zdaje się, że w tym legionie są głównie wszelkiej maści byli esesmani. Słyszałem, że mogą uniknąć ścigania, jeśli się zgłoszą.

— Och, człowieku, ależ ty jesteś do tyłu z tymi twoimi esesmanami. W Korei mają szansę, aby się zrehabilitować.

Zrehabilitować, pomyślał Anton, szansa, by się zrehabilitować. Spojrzał pomiędzy dwoma chłopakami na przeciwległy brzeg stawu, na spokojne aleje, po których przejeżdżali rowerzyści i ktoś spacerował z psem. Tam również stały wille. Nieco dalej, stąd tego nie widać, była szkoła, w której przed laty stał w długiej kolejce do centralnej kuchni, a jeszcze kilka ulic dalej, trochę bardziej na lewo, za łąkami, było owo miejsce, w którym to wszystko wówczas się wydarzyło. Niepotrzebnie tu przyjechał, nie powinien nigdy więcej przyjeżdżać do Haarlemu, powinien to pogrzebać, pochować, tak jak się chowa umarłych.

— Stoi i gapi się w dal jak ciełę — powiedział Gerrit-Jan. A gdy Anton spojrział na niego, dodał: — Tak, właśnie ty, Steenwijk. Co o tym sądzisz?

— O co ci chodzi?

— Dobierzemy się komunistom do skóry, czy też będziemy ich obchodzić z daleka?

— Co do mnie, to mam już dość — odpowiedział Anton.

W tym samym momencie ktoś nastawił w szklarni adapter: Thanks for the memory...

Anton uśmiechnął się, bo rozbawił go ten zbieg okoliczności, ale gdy dostrzegł, że tamten tego nie zauważył, wzruszył ramionami i odszedł na bok. Melodia rozpływała się pod drzewami w prześwietlnym słońcem cieniu, tworząc mieszaninę, w której w taki czy inny sposób odżywały jego wspomnienia. Oto jest w Haarlemie. Oto w ciepłym dniu złotej jesieni, może już ostatnim w tym roku, on znów jest w Haarlemie. Niedobrze, nie należało tu w ogóle przyjeżdżać, choćby mu kiedyś mieli zaoferować tu pracę za sto tysięcy guldenów rocznie — ale jeśli już przyjechał, postanowił rozstać się z tym raz na zawsze, już teraz, zaraz.

— A ty, młodzieńcze?

Wzdrygnął się, wyrwany gwałtownie z zamyślenia. Ujrzał przed sobą twarz gospodarza. Był to niewysoki mężczyzna, z siwymi, zaczesanymi na bok włosami, w źle leżącym na nim garniturze z przykrótkimi nogawkami, co było dość typowe dla pewnej części lepszych sfer w Holandii. Obok stała jego żona, subtelna, nieco przygarbiona kobieta, tak delikatna w swej białej sukni, że wydawało się, iż w każdej chwili może prysnąć jak bańka mydlana i zamienić się w odrobinę pyłu.

— Tak, oczywiście, panie Van Lennep — odpowiedział z uśmiechem, nie wiedząc nawet, o co chodzi.

— Dobrze się bawisz?

— Staram się, jak umiem.

— No to w porządku. Wyglądasz nie najlepiej, przyjacielu.

— Tak, tak, myślę, że pójdę się trochę przespacerować. Proszę mi wybaczyć...

— Ależ nie ma o czym mówić; wolność, radość, przejdź się, to pomaga.

Wszedł do domu obok siedzących przy herbatce na białych ogrodowych krzeselkach członków rodziny i przez frontowe drzwi wyszedł na ulicę. Skręcił w najbliższą przecznicę i w chwilę później maszerował wzdłuż stawu. Gdy był już po drugiej stronie, spojrzął w bok na urozystość w ogrodzie. Niosąca się po wodzie muzyka była tutaj słyszalna nieomal tak samo wyraźnie jak tam. W tej chwili dostrzegł go Gerrit-Jan.

— Hej! Ty cholerny Steenwijku! Do punktu werbunkowego idzie się w odwrotną stronę!

Anton uczynił gest, który miał oznaczać, że docenia ten żart. I ruszył dalej, nie oglądając się więcej za siebie.

Wybrał drogę nie przez łąki, ale ulicą, która łagodnym łukiem przechodziła w nabrzeże. To przecież nie ma sensu, pomyślał: „zbrodniarz powraca na miejsce zbrodni”. Nagle poczuł podniecenie, rozpoznawszy ułożony z cegieł motyw jodełki na jezdni. Wcześniej nigdy nie zwracał na to uwagi, ale teraz, gdy to zobaczył, wiedział, że zawsze tak było. Kiedy doszedł do wody, przymuszał się, by patrzeć tylko na drugą stronę kanału. Robotnicze domki, małe zagrody chłopskie, wiatraki, łąki, nic się tam nie zmieniło. Niebo było jasne, w popołudniowym słońcu pasły się krowy. Za horyzontem leżał Amsterdam, który Anton znał teraz lepiej niż Haarlem, ale w taki sposób, w jaki czyjąś twarz zna się lepiej od swojej, bo tej ostatniej nigdy się nie widziało.

Przeszedł na drugą stronę, na chodnik, który położono w miejsce pobocza, zrobił jeszcze kilkanaście kroków i wtedy gwałtownie odwrócił się i spojrział w przeciwną stronę.

III

Te trzy domy. Ziejące pustką miejsce pomiędzy pierwszym a drugim. Tylko płot pozostał. Za nim bujnie krzewiły się pokrzywy i zarośla oraz kilka smukłych drzewek, podobnych do tych, jakie można czasem ujrzeć na szesnastowiecznych małowidłach, z aniołem na wzgórzu i krukiem, spoglądającym złowrogo na czarnego osobnika z piekła rodem. Chwastów rosło tu znacznie więcej niż trochę dalej, na łące, może to popiół tak użyźnił ziemię. Przypomniało mu się, jak wuj opowiadał, że na wzgórzach w północnej Francji spotyka się takie miejsca, które chłopci oborują wokoło, bo są tam ponoć masowe groby z pierwszej wojny światowej. W cieniu pod bujnymi pokrzywami musiały jeszcze znajdować się kamienie, resztki ścian, fundamenty, piwnica, a w niej jego stara hulajnoga, ograbiona z niejednej części i pokryta grubą warstwą kurzu. Przez te lata, również wtedy, gdy wcale o tym nie myślał, było tu wciąż tak samo,

niezmiennie jak na lodowej skorupie bieguna, tylko niekiedy rozorywanej dziobem lodołamacza.

Powoli, z głową nieco przechyloną na bok, odrzucając co jakiś czas włosy do tyłu, szedł aż do tego punktu, w którym wówczas stała dekawka. Znowu spojrzął na puste miejsce. Słyszac harmonider, jaki wróble czyniły między drzewkami, ujrzał w wyobraźni na powrót wstający przed nim jego dom: z przeźroczystych cegieł, ze szkła i trzciny, taki, jakim go zapamiętał, z wykuszem w salonie, a nad nim z małym balkonikiem w sypialni, ze stromym dachem, z mansardowym oknem jego pokoiku po lewej stronie. Na skośnie przyciętej desce pod balkonem widnieje napis: „Wypoczynek”.

Nazwę domu Kortewegów zamalowano i była teraz niewidoczna, natomiast „Oaza Spokoju” i „Przytulny” pozostały. Anton stał i patrzył na miejsce, w którym niegdyś, w tak odległych już dziś czasach, leżał Ploeg. Ujrzał go na ceglanej jezdni, tak jak wtedy, gdy policja obrysowała na śniegu jego sylwetkę. Odczuł dziwną potrzebę dotknięcia tego miejsca, ale wydało mu się to niedorzeczne. Ruszył jednak na drugą stronę, ale zanim tam doszedł, ujrzał, jak zafalowała firanka w „Oazie Spokoju”. Gdy popatrzył uważnie, rozpoznał panią Beumer. Ona też go już poznała i machała do niego ręką.

Poczuł się nagle nieswojo. Ani przez moment nie pomyślał, że ci ludzie, lub ktokolwiek z tamtych domów, mogą tu jeszcze mieszkać. Nie do wiary! Jemu chodziło tylko o to miejsce, nie o ludzi; nawet gdy myślał o domu, nigdy nie pojawiali się w jego wspomnieniach Beumerowie, Kortewegowie czy małżeństwo Aartsów. Że też pozostali oni tacy sami... miał ochotę uciec stąd, ale dawna sąsiadka stała już w drzwiach.

— Tonny!

Wciąż jeszcze mógł odejść, lecz może właśnie dobre wychowanie kazało mu z uśmiechem otworzyć furtkę i pójść w jej kierunku.

— Dzień dobry pani!

— Tonny, mój chłopcze! — Pani Beumer jedną ręką chwyciła jego dłoń a drugą objęła go w pół, przyciskając do siebie raz po raz, niezgrabnie, jak ktoś, kto od dawna nikogo nie obejmował. Była dużo starsza i niższa od niego, całkiem siwa, z drobnymi

loczkami trwałej ondulacji na głowie. Nie puszczała jego ręki. — No wejdz, wejdz proszę — powtarzała ciągnąc go przez próg. W jej oczach lśniły łzy.

— Wie pani, właściwie powinienem...

— Popatrz tylko, kogo my tu mamy — zawołała w głąb mieszkania.

W fotelu pochodzącym zapewne jeszcze z ubiegłego wieku, ani nowoczesnym, ani staromodnym (podobnie jak to i dziś bywa z meblami), siedział pan Beumer: tak się postarzał i zmalał, że czubkiem głowy nie sięgał już do rzeźbionego w drewnie ornamentu na wysokim oparciu tego sprzętu. Nogi okrywał mu pled w brązową szachownicę, na którym spoczywały jego ręce, będące w nieustannym ruchu, podobnie jak głowa, którą kiwał nieprzerwanie. Gdy Anton wyciągnął do niego rękę na powitanie, dłoń staruszka uniosła się ku niemu jak zraniony, trzepoczący skrzydłami ptak; Anton chwycił ją i poczuł nie dłoń, ale jej zimne wyobrażenie, z którego odeszło już życie.

— Jak się masz, Kees? — zapytał pan Beumer cichym, łamiącym się głosem.

Anton spojrział na panią Beumer. Ta na migi dała mu do zrozumienia, żeby nie zwracał na to uwagi.

— Dziękuję, wszystko w porządku — odpowiedział. — A co u pana?

Ale wypowiedzenie jednego pytania wyraźnie staruszka zmęczyło. Kiwnął głową i nie odezwał się więcej, patrzył tylko na Antona małymi, wodnistymi oczkami; kąciki ust były wilgotne. Skórę na twarzy miał cienką jak pergamin, a resztki włosów koloru słomy. Anton jeszcze go pamiętał; może kiedyś były one rude.

Ze starego radia z ciemnobrązowego bakelitu w kształcie przeciętego wzdłuż z góry na dół jaja dochodził program dla dzieci. Pani Beumer zaczęła zbierać nakrycia ze stołu, zapewne właśnie skończyli jeść obiad.

— Pomogę pani.

— Ależ nie, usiądź sobie wygodnie, zaraz zaparzę kawy.

Usiadł okrakiem na egzotycznym taborecie przy kominku, który pozostał w jego pamięci przez całe życie: było to wielbłądzie siodło. Pan Beumer nie spuszczał z niego oka. Anton

uśmiechnął się i rozejrzał po pokoju. Nic się tu nie zmieniło. Przy stole stały cztery proste krzesła, też pełne rzeźbionych ozdób, spiczaste i polakierowane na czarno; był to pseudogotyki o okropnym wyglądzie; dawniej nawet się tego trochę bał, gdy tu zaglądał za jakimś smakołykiem. Na ścianie nadal wisiał ten sam krucyfiks ze skręconym, żółtawym Jezusem. W pokoju unosił się słodkawy, stęchły zapach, wszystkie okna były pozamykane, drzwi wewnętrzne z witrażowymi szybami również. Z radia dochodził kobiecy głos: „Hej, ty tam, widzę cię, lecz cię nie zrywam”. Nagle panu Beumerowi głośno się odbiło, na co staruszek rozejrzał się zdziwiony wokoło, jakby coś nieoczekiwanego dotarło do jego uszu.

— Dlaczego nigdy nie przyjeżdżałeś, Tonny? — zawołała pani Beumer z kuchni.

Anton wstał i poszedł do niej. Przechodząc korytarzem dostrzegł, że ich łóżko stoi teraz w pokoju od ogrodu, prawdopodobnie dlatego, że starowina nie mógł już wchodzić po schodach na górę. Pani Beumer cienkim strumyczkiem wrzątku z czajnika z gwizdkiem zalewała kawę.

— Pierwszy raz jestem w Haarlemie.

— Ostatnio on się bardzo źle czuje — zwierzyła się cicho pani Beumer. — Uduwaj, że niczego nie zauważasz.

No pewnie, pomyślał Anton; miałbym może wybuchnąć śmiechem i powiedzieć: „przestań pleść głupstwa”. Choć wydało mu się w tej samej chwili, że byłaby to może najlepsza metoda.

— Oczywiście, to się rozumie samo przez się — odpowiedział.

— A wiesz, że prawie wcale się nie zmieniłeś? Jesteś wyższy od ojca, ale ja cię od razu poznałam. Mieszkasz nadal w Amsterdamie?

— Tak, proszę pani.

— Wiem o tym, bo twój wuj był tu zaraz po wyzwoleniu. Tamtej nocy mój mąż widział, jak Niemcy zabrali cię samochodem i nie mieliśmy w ogóle pojęcia, że żyjesz. W tych przeklętych czasach nikt nic nie wiedział. Nie masz pojęcia, ile razy o tobie rozmawialiśmy!

— Chodź.

Wrócili do pokoju. Na widok Antona pan Beumer ponownie wyciągnął rękę, którą Anton w milczeniu uściśnął. Pani Beumer

nakryła stół perskim obrusem, którego wzór Anton jeszcze pamiętał, i nalała kawę.

— Z cukrem i z mlekiem?

— Tylko z mlekiem, dziękuję.

Z małego kubeczka nalała do szerokiej, niskiej filiżanki trochę gorącego mleka.

— Że też nigdy nie chciałeś tego zobaczyć... — zastanawiała się głośno. Podała mu kawę. — Ale właściwie rozumiem ciebie. To wszystko było takie okropne. Parę razy przychodził tu za to ktoś inny, przychodził, stawał zawsze po tamtej stronie i tylko patrzył.

— Kto taki?

— Pojęcia nie mam. Jakiś mężczyzna. — Podała mu salaterkę z ciastkami. — Może ciasteczko?

— Chętnie, dziękuję.

— Wygodnie ci tam? Chodź tutaj, do stołu.

— Mam przecież tutaj moje stałe miejsce — odpowiedział z uśmiechem Anton. — Nie pamięta pani? Zawsze tu siedziałem, gdy pan Beumer czytał mi „Trzech muszkieterów”.

Pani Beumer wyłączyła radio i usiadła naprzeciwko niego przy stole. Uśmiechnęła się wraz z nim, lecz tylko na chwilę, po czym jej twarz nagle poczerwieniała. Anton odwrócił wzrok. Kciukiem i palcem wskazującym chwycił mleczny kożuszek, zdjął go z kawy i pomału unióśł w górę, kożuszek złożył się jak parasol. Położył go na brzeżku talerzyka i łyknał lurowatego płynu. Teraz czegoś od niego oczekiwano, jakiegoś pytania na temat przeszłości, powinien był dać początek, ale on nie miał najmniejszej ochoty wracać do wydarzeń sprzed lat. Starsi państwo prawdopodobnie myśleli, że bardzo mu ciąży wspomnienia i że jeszcze co noc ma koszmarne sny, ale prawda była taka, że Anton właściwie nigdy o tym nie myślał. Tych dwoje starsuszków, a w każdym razie jedno z nich widziało w nim, gdy siedział tu, w ich pokoju, kogoś, kim w istocie wcale nie był. Anton spojrział na panią Beumer. W jej oczach znów zalśniły łzy.

— Czy Korteweg jeszcze tu mieszka? — zapytał.

— O, ten się wyprowadził już w parę tygodni po wyzwoleniu. Nie wiadomo dokąd. Nawet się z nami nie pożegnał. Karin też nie. To bardzo dziwne, no nie, Bert?

Antonowi wydało się to dziwne, wyglądało tak, jakby kobieta chciała podjąć jeszcze jedną próbę, i jakby nieustanne kiwanie głowy jej męża, to potakujące kiwanie, które skończy się dopiero z jego śmiercią, świadczyło o tym, że on się zgadza. Pan Beumer nie dostał kawy, z pewnością dlatego, że filiżanka byłaby pusta, zanim dotarłaby do jego ust. Gdy nie było gości, trzeba go było karmić.

— Przez dziewięć lat byliśmy sąsiadami — opowiadała dalej pani Beumer — przeżyliśmy razem całą wojnę i żeby tak nagle się wyprowadzić, bez słowa pożegnania! Nigdy nie potrafię do końca zrozumieć innych ludzi. Jeszcze parę dni po ich wyjeździe stał na progu domu cały rząd akwariów, aż zabrali je wywożący śmieci.

— To były terraria — sprostował Anton.

— Takie szklane skrzynki. Och, to był bardzo nieszczęśliwy człowiek. Zaszedł do nas parę razy po śmierci żony. Pamiętasz jeszcze panią Korteweg?

— Bardzo słabo, właściwie nie.

— To było w czterdziestym drugim albo czterdziestym trzecim. Ile ty wtedy miałeś lat?

— Dziewięć.

— Teraz mieszka tam takie młode sympatyczne małżeństwo z dwojgiem dzieci.

Terraria. Pamiętał Kortewega jako zwalistego, mrukliwego mężczyznę, który odpowiadał wprawdzie na „dzień dobry”, ale poza tym nigdy nie odzywał się nawet jednym słowem. Gdy wracał do domu, od razu zdejmował marynarkę i podwijał rękawy koszuli wysoko, ale w szczególny sposób, do wewnątrz, tak że wyglądały jak krótkie pumpy z wystającymi z nich owłosionymi rękami. Najczęściej od razu szedł na górę, żeby robić tam coś tajemniczego, czego Anton był strasznie ciekaw. Karin, z blond włosami upiętymi z tyłu głowy i spódnicą zsuniętą wysoko nad kolana, tak że czasem było nawet widać rąbek jej majtek, opalała się często na leżaku. Miała bladoniebieskie, lekko wypukłe oczy i mocne, zgrabnie uformowane łydki, które Antonowi kojarzyły się z owalem skrzydeł samolotów, oglądanych na ilustracjach w „Świecie lotnictwa”. Nieraz wieczorem myślał o niej w łóżku, powodowało to u niego erekcję, nie wiedział jednak,

co z tym począć, więc zwyczajnie zasypiał. Gdy przez dziurę w płocie wpełzał do ogrodu Kortewegów, Karin zawsze była gotowa przerwać opalanie na rzecz partyjki chińczyka. Miała lekkiego zeza, z czym nawet było jej do twarzy. Pewnego dnia, gdy Anton obiecał, że dotrzyma tajemnicy, Karin pokazała mu hobby swego ojca. Na piętrze, w pokoju od ogrodu, na małych stolikach stało z dziesięć lub piętnaście terrariów z jaszczurkami. W szczególnej ciszy, z łapkami opartymi na kawałku łyka, zwierzątka patrzyły na niego z przeszłości, tak odległej i nieruchomej, z jakiej same pochodziły. Można byłoby odnieść wrażenie, że niektóre z nich, z tułowiem wygiętym w S, szczyrzyły się w szerokim uśmiechu, gdyby nie to, że ich oczy wyrażały zupełnie co innego: powagę tak niezmaconą i nieporuszoną, że wręcz nie do zniesienia...

Anton postawił swoją filiżankę na półce nad kominkiem obok zegara. Z opowiadania pani Beumer o Kortewegu wywnioskował, że nie wiedziała, co owego wieczoru stało się z ciałem Ploega. Zdał sobie również w tym momencie sprawę i z tego, że jeśli nie liczyć Kortewegów, był prawdopodobnie jedynym człowiekiem, który to wiedział. Wujostwu nigdy o tym nie opowiadał; wydawało mu się, iż im mniej ludzi o tym wie, tym mniej jest to absurdalne, jakkolwiek absurdalnie by to brzmiało...

— A ci, tam dalej? za nimi... — zapytał.

— Państwo Aarts. Ci dalej tam mieszkają, ale jeszcze nigdy żadne z nich się nie ukloniło i nie powiedziało choćby „dzień dobry”. Ale chyba o tym wiesz. Też nigdy tam nie chodziłeś. To straszne samoluby. A ostatnio nawet... Pan Groeneveld chciał coś zaradzić przeciw tym chwastom...

— Groeneveld?

— To ta rodzina, co mieszka teraz w domu Kortewegów. Widziałeś chyba, co teraz rośnie w tym miejscu, gdzie stał wasz dom?

— Owszem — odpowiedział Anton.

— Nasiona tych chwastów wiatr przenosi do naszych ogrodów, zupełnie nie można sobie dać rady. Groeneveld chciał, żeby gmina zrobiła z tym porządek. Napisał pismo, które myśmy też podpisali, ale pan Aarts nawet nie chciał z nim rozmawiać. Co o tym sądzisz? Przecież to żaden kłopot — staruszka patrzyła na Antona z oburzeniem w oczach.

Anton pokiwał głową.

— Rzeczywiście, nie do wiary, ile tam tego rośnie.

Ton, jakim to wypowiedział, kazał pani Beumer zastanowić się, czy czasem nie była nieco nietaktowna. Dość niepewnie dodała:

— Chodziło mi tylko o to, że...

— Doskonale rozumiem, proszę pani. Życie przecież toczy się dalej.

— Jaki z ciebie rozsądny chłopiec, Tonny — odpowiedziała zadowolona z tego, że problem zdjęty został z porządku dnia. Wstała. — Może jeszcze filiżankę kawy?

— Nie, bardzo dziękuję.

Naląła sobie.

— Gdy ciebie widzę, zaraz mi się przypomina biedny Peter — rozczuliła się staruszka. — Nie jesteś do niego podobny, ale on też był taki rozsądny. Zawsze uprzejmy, zawsze uczynny... — Trzymaną w srebrnych szczypczykach kostkę cukru opuściła z powrotem do cukiernicy. — Wiesz... jego właśnie najbardziej mi żal. To był taki dobry chłopiec. Oczywiście twoich rodziców też, ale Peter... wtedy był młodszy niż ty teraz. Jakie to było straszne, gdy się o tym dowiedziałam... Sama widziałam, jak chciał pomóc temu człowiekowi, mam na myśli Ploega. Przecież właściwie nie było pewne, czy on nie żyje. Wiadomo, że to był lajdak, tyle i ja słyszałam, ale przecież też człowiek. I młody chłopiec z takim sercem jak Peter... przypłacił to życiem.

Anton pochylił głowę i tylko kiwał nią potakująco. Gładził brązową skórę siodła, które też by spłonęło, gdyby Peter wykonał to, co zamierzał. Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z jego wolą, to wówczas właśnie tutaj wszystko by się spopieliło. I fotel pana Beumera, i kuchnia pani Beumer, i krucyfiks na ścianie, i te makabryczne krzesła za stołem, i właśnie tutaj byłoby miejsce, na którym bujnie plenią się chwasty, natomiast jego rodzice nadal mieszkaliby obok, w „Wypoczynku”. Państwo Beumer okazaliby się może za starzy, by ich rozstrzeliwać, ale jak Peter miałby dalej z tym żyć? Poszedłby przez ten czas do wojska; w 1947, podczas akcji policyjnej, znalazłby się w Dywizji im. 7 Grudnia i może sam puszczałby z dymem kampongi w Indonezji alboby tam zginął. W głowie się to nie mieści. Peter miał

wtedy siedemnaście lat, o trzy lata mniej niż on teraz, to też się w głowie nie mieści. On, Anton, był raz na zawsze młodszym bratem, nawet gdyby miał lat osiemdziesiąt. Wszystko to się w głowie nie mieści.

Nagle pani Beumer przeżegnała się:

— Ale Bóg zawsze najlepszych wzywa do siebie jako pierwszych — powiedziała cicho.

W takim razie Fake Ploeg był jeszcze lepszy, zdrwił w myślach Anton.

— No właśnie — przytaknął.

— Niezbadane są wyroki boskie. Dlaczego musieli zastrzelić tego Ploega akurat przed waszym domem? Równie dobrze mogło dojść do tego tutaj, jak i przed domem Kortewega. Wiele razy rozmawialiśmy o tym z mężem. On zawsze powtarzał, że Bóg nas oszczędził, ale jak należy to rozumieć? Przecież znaczy to, że nie oszczędził was, a dlaczego nie miałyby was oszczędzić?

Anton na to, mając wrażenie, że posuwa się cokolwiek za daleko:

— I wtedy mąż odpowiadał, że to dlatego, iż na was spłynęła większa łaska.

Pani Beumer w milczeniu chwyciła szczypcykami obrus. Po raz trzeci w jej oczach pojawiły się łzy.

— On był taki kochany, ten Peter... a twoi rodzice, jacy to byli mili ludzie... Twojego ojca to jakbym jeszcze teraz widziała, jak przechodzi tędy, w swojej czarnej marynarce i w meloniku na głowie, ze złożonym parasolem. Zawsze patrzył w ziemię. Gdy gdzieś wychodzili razem z twoją matką, on zawsze szedł pół kroku z przodu, tak jak mężczyźni w Indonezji...

— Ogórki są jak krokodyle — odezwał się nagle pan Beumer. Jego żona i Anton odwrócili się w jego kierunku, ale on odpowiedział im spojrzeniem pełnym dziecięcej niewinności.

Pani Beumer znów zaczęła przyglądać się swoim dłoniom.

— Co oni przeszli... Wuj na pewno ci opowiadał. Gdy twoja matka rzuciła się na tego draba... Zabili ich z zimną krwią, jak zwierzęta.

Anton poczuł, jakby po plecach przebiegła mu iskra elektryczna.

— Pani Beumer — wykrztusił z trudem — czy nie zechciałaby pani...

— Ależ oczywiście, mój chłopcze. Ja wszystko rozumiem. To było takie straszne.

Anton czuł, że musi natychmiast stąd odejść. Spojrzał na zegarek nie widząc, która godzina.

— Ojej, ale się zasiedziałem. Proszę mi wybaczyć, ale na mnie pora. Zaszedłem tylko na chwilę.

— Ależ oczywiście, chłopcze. — Wstała i wygładziła z przodu fałdy sukni. — Powiedz, Tonny, czy ty naprawdę jesteś w Haarlemie pierwszy raz po wojnie?

— Naprawdę.

— To powinienes koniecznie zobaczyć pomnik.

— Pomnik? — zapytał zdziwiony Anton.

— Stoi tam, w tym miejscu, gdzie to się stało — wyjaśniła pani Beumer, wskazując kątek pokoju, w którym stał okrągły stolik z wazonem, a w nim jasne pióra, podobne do strusich, może nawet były one rzeczywiście strusie.

— Nie miałem o tym pojęcia.

— Jak to możliwe? — zdziwiła się pani Beumer. — Odsłonięto go już ze trzy lata temu, był przy tym burmistrz, zaproszono także masę różnych osób. Sądziłiśmy, że ciebie też tam spotkamy, mój mąż czuł się wtedy jeszcze całkiem niezłe. Ale twojego wuja też nie widziałam. Pójść tam z tobą?

— Jeśli to pani nie sprawi różnicy, to wolałbym...

— Oczywiście — odpowiedziała i obydwoma rękami ujęła jego dłoń. — Powinienes być tam sam. Do widzenia, Tonny. Tak się cieszę, że mogłam cię zobaczyć, i wiem z całą pewnością, że mój mąż tak samo myśli, choć już tego nie może okazać.

Trzymając tak swe ręce popatrzyli oboje na pana Beumera. Staruszek wyczerpany zamknął oczy. Gdy pani Beumer powiedziała jeszcze na koniec, że Anton ma takie same duże ręce jak jego ojciec, pożegnali się ostatecznie. Anton przyobiecał, że niedługo znów wstąpi, choć wiedział, że już nigdy tych ludzi nie zobaczy. Nigdy więcej nie przyjedzie do Haarlemu.

Gdy wychodził na ulicę, w kąciku lewego oka, z lewej strony jego pola widzenia, tam gdzie zawsze znajdowała się ciemna obecność domu, znalazła się teraz niespodziewana jasność. Dalej, za

tą jasnością pustego miejsca dostrzegł ogród byłej „Niespodzianki”, a w nim nowych lokatorów: szczupłego blondyna i jego indonezyjską żonę, obydwójce mogli mieć po jakieś trzydzieści pięć lat; mężczyzna z małym chłopcem kopali piłkę, a kobieta patrzyła na nich, siedząc z niemowlęciem na kolanach.

Zaczynało zmierzchać. Słońce dopiero co zaszło. Światło na nabrzeżu i na łąkach nie należało teraz ani do dnia, ani do nocy; było z innego świata, w którym nic się nie porusza ani nie zmienia. Miało się wrażenie, że w tym świetle wszystko jakby odrywa się od ziemi i unosi ku górze. Tam gdzie kończy się nabrzeże, gdzie ulica i kanał znów się rozchodzą, Anton zobaczył wysoki żywopłot, którego dawniej nie było. Ponieważ ulica była pusta, Anton ruszył w jego kierunku idąc na skos przez jezdnę.

Metrowej szerokości żywopłot z rododendronów, których liście połyskiwały w jakby zaczarowanym świetle, otaczał niską, wymurowaną z cegieł ścianę; na jej środkowej części stała szara rzeźba patrzącej na wprost kobiety z rozpuszczonymi włosami i wyciągniętymi przed siebie rękami, wyciosana w ponurym, statyczno-symetrycznym, niemal egipskim stylu. Pod nią umieszczono datę i napis:

Zginęli za Królową i Ojczyznę.

Na bocznych skrzydłach, z prawa i z lewa, na dwóch płytach z brązu, widniały w czterech rzędach nazwiska pomordowanych. Ostatni rząd wyglądał tak:

G. J. Sordrager	* 3. 6.1919
W. L. Steenwijk	* 17. 9.1896
D. Steenwijk-Van Liempt	* 10. 5.1904
J. Takes	* 21.11.1923
K. H. S. Veerman	* 8. 2.1921
A. van der Zon	* 5. 5.1920

Te nazwiska paliły Antona w oczy. Należały do tych, którzy sami nie byli z brązu, ale których nazwiska utrwalono w brązie dla potomnych. Skutych kajdankami mężczyzn, zeskakujących z ciężarówki. Jego matki — jedynej wśród nich kobiety, jego ojca — jedyne urodzonego w poprzednim wieku. Teraz tylko tyle po nich pozostało, prócz kilku starych fotografii, które mieli jeszcze jego wujostwo, nic więcej ponad te nazwiska tutaj i niego same-

go nie zachowało się po nich. Nawet grobów nigdy nie odnaleziono.

Być może w prowincjonalnej komisji ochrony pomników ofiar wojny debatowano nad tym, czy te nazwiska rzeczywiście powinny się być tutaj znaleźć. Być może niektórzy urzędnicy uznali, że przecież nie byli oni zakładnikami i że nie zostali rozstrzelani tak jak jeńcy, ale że pozbawiono ich życia jak zwierzęta — na co urzędnicy z centralnej komisji spytali, czy w tym przypadku nie należy im się pomnik, na co z kolei, na zasadzie kompromisu, urzędnicy z komisji prowincjonalnej osiągnęli przynajmniej tyle, że Petera na tej tablicy nie umieszczono. Ten należał, przy dużej dozie dobrej woli, do poległych członków zbrojnego ruchu oporu, dla których przewidziane były inne pomniki. Zakładnicy, ludzie z ruchu oporu, Żydzi, Cyganie, homoseksualiści, przecież, do cholery, nie można tego wrzucać do jednego worka, bo zrobiłby się straszny groch z kapustą.

Ścieżka wzdłuż kanału nadal istniała. Woda odtajała. Gdy dostrzegł, że pani Beumer stoi w wykuszu frontowego pokoju i nadal patrzy na niego, zawrócił do miasta, lecz inną drogą.

IV

Nie wrócił już na przyjęcie u kolegi, ale wsiadł do pierwszego pociągu odchodzącego do Amsterdamu. Gdy wszedł do domu, wujostwo siedzieli jeszcze przy stole, dopiero co skończyli kolację. Lampa w pokoju była zapalona. Wuj, nieco skwaszony, zapytał go, dlaczego nie zadzwonił, że będzie dziś później.

— Byłem w Haarlemie — odpowiedział Anton.

Wujostwo spojrzeli po sobie. Na stole było dla niego nakryte, więc Anton zajął swe miejsce. Ujął w palce liść sałaty, podniósł do góry i przechyliwszy głowę do tyłu, opuścił do ust.

— Usmażyć ci jajeczko? — zapytała ciotka.

Pokręcił głową, połknął sałatę i zwrócił się do wuja:

— Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś, że u nas na nabrzeżu stoi pomnik?

Van Liempt odstawił filiżankę z kawą, otarł usta i spojrzał na niego.

— Opowiadałem ci o tym, chłopcze.

— Kiedy?

— Trzy lata temu. Odsłonięto go w czterdziestym dziewiątym. Przyszło zaproszenie i pytałem cię, czy chcesz tam pojechać, ale nie chciałeś.

— Jeszcze doskonale pamiętam, co wtedy powiedziałaś — dodał Van Liempt. Pani Van Liempt wzięła talerz Antona i nałożyła mu sałaty. — Powiedziałaś, że jeśli chodzi o ciebie, to obchodzi cię to tyle, co zeszłoroczny śnieg. Nie przypominasz sobie? — zapytał Van Liempt.

Anton w milczeniu potrząsnął głową. Wbił wzrok w biały obrus, po którym powoli przeciągał widelcem pozostawiając czterobrzdowy ślad... Po raz pierwszy odczuł coś na podobieństwo strachu, coś ssącego, jakąś ciemną otchłań, w którą wpadały różne sprawy, nigdy nie osiągając dna, tak jakby ktoś wrzucał kamień do studni i nie słyszał żadnego dochodzącego z niej odgłosu.

Wtedy, kiedy jeszcze rozmyślał o podobnych sprawach, zastanawiał się nieraz, co by było, gdyby udało mu się przebić szyb przechodzący na wylot przez kulę ziemską i wskoczyć do niego w ogniotrwałym skafandrze. Po określonym, wyliczonym czasie wysunąłby się po drugiej stronie, nogami do góry, ale nie wyszedłby na samą powierzchnię; na moment zatrzymał by się tam i potem, ciągle do góry nogami, znów zniknąłby w tej głębi. Po latach, też możliwych do wyliczenia, zatrzymałby się, unosząc w stanie nieważkości w środku Ziemi, aby tam po wsze czasy rozmyślać nad biegiem ziemskich spraw.

I

Studentem nie był ani dobrym, ani złym, lecz po prostu średnim. Gdy po drugim roku studiów, a było to w 1953 r., opuścił dom na Apollolaan i przeniósł się do wynajętego w centrum miasta pokoju, zaczął się nowy etap w jego życiu. W tym małym, ciemnym pokoju nad sklepem rybnym, na uliczce biegnącej w poprzek pomiędzy Prinsengracht i Keizersgracht, tak wąskiej, że od okien sąsiadów z naprzeciwka dzieliło go zaledwie pięć — sześć metrów, Haarlem ze stycznia 1945 oddalał się jeszcze bardziej. Było z nim tak jak z rozwiedzionym mężczyzną: zaczyna żyć z przyjaciółką, żeby zapomnieć o żonie, ale nie może wyzbyć się uczucia, że wciąż jeszcze do tej żony należy, i liczy na to, że dopiero z następną kobietą może mu się ułożyć, ale i tak ta trzecia ma największe szanse. Podobnie jest i z tym, co uznaje się już za sprawę zamkniętą, a którą jednak trzeba wciąż na nowo zamykać; lecz jest to przecież rzecz beznadziejna, bo na świecie wszystko się ze sobą styka i łączy. Początek nie znika nigdy, nawet z nadejściem końca.

Co kilka miesięcy Anton miewał ataki migreny, leżał wtedy w ciemnym pokoju, ale rzadko odczuwał przy tym silne mdłości. Dużo czytał, lecz tematy wojenne omijał, pewnego razu opublikował w studenckim czasopiśmie pod pseudonimem „Anton Peter” kilka wierszy, których tematem była przyroda. Grał na fortepianie, najchętniej Schumanna, i lubił chodzić do filharmonii. Za teatrem nie przepadał, szczególnie od czasu, kiedy pewnego razu poczuł się podczas spektaklu niedobrze. Wystawiano wówczas „Wiśniowy sad” Czechowa w reżyserii Szarowa; było to świetne przedstawienie. Podczas sceny, w której mężczyzna siedział z pochyloną głową przy stole a kobieta, stojąc na zew-

nątrz na tarasie, wołała kogoś, poczuł nagle, że ogarnia go coś nieopisanie ohydneho a równocześnie nieuchwytnego, i to z taką intensywnością, że natychmiast musiał wyjść na ulicę. W ludzkim tłumie, w ruchu samochodów i hurkocie tramwajów minęło to szybko i tak dokładnie, że w kilka minut później zastanawiał się, czy cokolwiek mu się przydarzyło.

Co tydzień jeździł na swoim skuterze z torbą pełną brudnej bielizny na Apollolaan, gdzie najczęściej zostawał na obiedzie. W miarę upływu czasu zaczynał dostrzegać regularność, z jaką toczyło się tam życie, sposób, w jaki wszystko było załatwiane; nie spotykało się tam nigdy czegoś, co byłoby uszkodzone, bezbarwne, improwizowane lub niepełnowartościowe. Dania zawsze na półmiskach, wino w karafce, przy stole nigdy bez marynarki lub w rozluźnionym krawacie. Gdy wuj lub ciotka niekiedy wstępowali do niego, dostrzegał, że rzucało się im w oczy coś zupełnie przeciwnego. Wuj bąknął kiedyś, że on też był studentem.

W 1956 roku Anton zrobił absolutorium i zaczął się przygotowywać do egzaminu lekarskiego, odbywając staż w różnych szpitalach. Już wtedy był zdecydowany specjalizować się w anestezjologii. Wiedział oczywiście, że jako internista lub kardiolog z prywatną praktyką mógłby zarobić dwa lub trzy razy więcej, ale wtedy nie miałby nigdy czasu dla siebie i niebawem dorobiłby się wrzodu żołądka lub choroby serca, podczas gdy jako anestezjolog może zamknąć za sobą drzwi szpitala i być zupełnie wolnym. Do chirurgii też się to wprawdzie odnosiło, ale było to zajęcie wyłącznie dla rzeźników.

Nawiasem mówiąc, nie tylko z tego powodu zdecydował się na anestezjologię. Istniała również motywacja pozytywna; był zafascynowany tą delikatną równowagą, którą trzeba utrzymywać, gdy rzeźnicy zagłębiają w kimś swój nóż, balansowaniem na ostrzu noża pomiędzy życiem a śmiercią, troską o tę biedną, bezradną ludzką istotę, kiedy jest pozbawiona świadomości. Żył coś w rodzaju skrytego przypuszczenia, że narkoza pozbawia pacjenta nie tyle czucia, co — pod wpływem działania chemikaliów — możliwości wyrażania odczuwanego bólu, a potem wspomnienia o tym bólu, w następstwie czego następują jednak u niego zmiany. Gdy się budzi, zawsze widąc, że cierpiał.

Ale gdy kiedyś w rozmowie z kolegami, rozprawiającymi akurat o jachtach, podzielił się tym wrażeniem, spojrzeli na niego tak, że w lot pojął, iż lepiej zrobi, jeśli podobne myśli zatrzyma wyłącznie dla siebie, o ile chce nadal uważać się za jednego z nich.

A oprócz tego była polityka. Była zawsze, ale Anton prawie wcale się nią nie zajmował, a już szczególnie polityką wewnętrzną. Czytał tylko nagłówki doniesień w gazetach, ale i te natchmiast wylatywały mu z głowy. Gdy zdarzyło się, że pewien angielski kolega próbował zasięgnąć u niego informacji na temat jednej z państwowych instytucji w Holandii, Anton mógł mu o niej powiedzieć niewiele więcej niż o dowolnej instytucji angielskiej czy francuskiej. Większość czasu, jeśli mowa o gazetach, przeznaczal na rozwiązywanie codziennych krzyżówek. Nie potrafił sobie tego odmówić i był w tym szczególnie biegły. Gdy na czyimś biurku dostrzegł nie do końca rozwiązana krzyżówkę, to jego ambicja kazała mu pójść dalej niż jego poprzednik, który najczęściej utknął gdzieś z powodu takiego czy innego błędu. Gdy kończył, z zadowoleniem spoglądał na wypełniony diagram. To, że większość liter miała podwójną funkcję, w słowach idących i poziomo, i pionowo, oraz że słowa te w najdziwniejsze sposoby układały się w pary, budziło w nim poczucie harmonii. Odczuwał w tym jakąś wspólnotę z poezją.

W tym samym 1956 roku miał brać udział w wyborach. Podczas cotygodniowego obiadu na Apollolaan wuj spytał go, na jaką partię będzie głosować. Odpowiedział, że z pewnością na liberałów, ale na pytanie dlaczego, nie potrafił znaleźć lepszej odpowiedzi ponad tę, że koledzy też tak głosują. Zdaniem doktora Van Liempta był to powód najgorszy z możliwych. Swoim kilkunastuminutowym wywodem skierował on myślenie Antona na zupełnie inne sprawy. Współczesny liberalizm, stwierdził wuj, łączy w sobie fundamentalny pesymizm na temat ludzkiej solidarności z poglądem, że jednostka winna korzystać z maksymalnej wolności. Ale albo jest się pesymistą i wtedy pozostaje się przy narzuconym porządku, albo jest się optymistą i wtedy stawia się na wolność. Jedno i drugie razem wzięte nie jest możliwe. Nie można łączyć pesymizmu socjalizmu z optymizmem anarchizmu. A jednak połączenie takie ma miejsce, i to właśnie w przypadku libe-

ralizmu. Jest to więc bardzo proste, kontynuował swój wywód wuj, wystarczy wiedzieć, czy się jest optymistą, czy też pesymistą. A kim on jest? Anton, słysząc to pytanie, spojrział na niego, spuścił oczy i odpowiedział: pesymistą.

Tak więc głosował na socjaldemokratów, podobnie jak wuj, który należał do najbardziej poważanych członków partii; spośród nich rekrutowali się burmistrzowie i ministrowie. Dopiero w późniejszym wieku Anton zorientował się, że prawie nikt nie głosuje racjonalnie, ale po prostu albo ma na względzie własny interes, albo wyczuwa w tej czy innej partii wspólnotę pochodzenia, lub też osoba znajdująca się na czele listy budzi jego zaufanie — jednym słowem, w sposób fizyczno-biologiczny. W kolejnych wyborach Anton przesuwiał się coraz bardziej na prawo; nadarzyła się ku temu sposobność wraz z powstaniem nowej partii, która głosiła, że różnica pomiędzy prawicą a lewicą już się przeżyła. Ale i wtedy polityką wewnętrzną nadal nie bardzo się interesował: mniej więcej tyle, na ile człowiek, który przeżył katastrofę lotniczą, interesuje się składanymi z papieru samolocikami.

II

Komunizm a przy tym polityka międzynarodowa stały się przedmiotem jego przemyśleń w późniejszych miesiącach tego samego roku. Druga połowa 1956 roku obfitowała w wiele wydarzeń przyciągających uwagę czytelników gazet: kryzys w Polsce, skandale w holenderskiej rodzinie królewskiej, francusko-brytyjska inwazja w Egipcie, rozruchy na Węgrzech i radziecka interwencja tamże, lądowanie Fidela Castro na Kubie. Na kilka tygodni przed dojściem do skutku tej brawurowej akcji na Karaibach, w Holandii dudniło jeszcze echo radzieckich czołgów, które z chrzęstem gąsienic wtoczyły się do Budapesztu, a najlepiej słyszalne było ono akurat za rogiem domu, w którym mieszkał Anton. Tam, w wielkim, osiemnastowiecznym budynku, zwanym „Felix Meritis”, mieściła się centralna siedziba Komu-

nistycznej Partii Holandii. Przez całe miasto przeciągały podniecone watahy ludzi, niszczących wszystko, co miało cokolwiek wspólnego z komunistami, od ich księgarń począwszy, na szynbach ich mieszkań skończywszy, wspomagane przy tym przez prasę, która usłużnie publikowała adresy: przy zachowaniu pozorów obiektywnej informacji podawano do wiadomości, że mieszkanie tego czy innego zamieszkałego tu i tu członka kierownictwa partii komunistycznej nie ucierpiało w czasie wczorajszych demonstracji. Następnego dnia było ono załatwione gruntownie. Po takiej robocie gromadzono się przed domem „Felix-Meritis” na Keizersgracht, który oblegało przez dwie doby tysiące ludzi.

Budynek zamieniono w twierdzę. Wszystkie okna na parterze pozabijano na głucho deskami, z okien na wyższych piętrach ani jedno nie było całe, na dachu widziało się ludzi w hełmach, wśród nich niekiedy również kobiety — na ich widok tłum ryczał ze zdwojoną siłą. Ci, którzy chcieli wejść do budynku lub z niego wyjść, postępowali właściwie szukając ochrony policji. Policjanci z gumowymi pałkami i pistoletami w rękach usiłowali utrzymać tłum po przeciwległej stronie kanału, ale sami też byli narażeni na niebezpieczeństwo: w każdej chwili mogli oberwać kamieniem; rzucano je nieustannie z tamtej strony. Nawiasem mówiąc, mężczyźni na dachu też rzucali kamieniami, tymi, które wpadały przez okna. Od czasu do czasu kierowano strumień wody na grupki, które podchodziły za blisko. W kanale nieustannie dyżurowała policyjna motorówka, żeby ratować tych, którzy by ewentualnie spadli z nabrzeża.

Antona zajścia te zupełnie nie interesowały i mowy być nie mogło o jakimkolwiek jego udziale. Nawet kiedy w rozmowie poruszano ten temat, on trzymał się na uboczu. Nie potrafił wyzbyć się wrażenia, że choć to wszystko było wprawdzie okropne, przypominało jednak dziecinne igraszki. Wydawało mu się też, że wiele osób z zadowoleniem przyjęło wypadki w Budapeszcie, gdyż potwierdziły ich poglądy na temat komunizmu, z którym tryumfująco się teraz obnosiły. Antona drażnił nieustający harmider. Po wąskiej uliczce, przy której mieszkał, docierano od strony Prinsengracht na zaplecze budynku komunistów, skąd atakowano go nawet butelkami z benzyną, jak opowiadał rybak

dostarczający towar do sklepu. W końcu wybrał się do kina na „Siódmą pieczęć”, a gdy po seansie wrócił do swego pokoju, nastawił głośną muzykę: drugą symfonię Mahlera. Hałas nie ustawał jednak nawet nocą. Anton postanowił, że przeprowadzi się na Apollolaan, gdzie panował błogi spokój; ponieważ jednak nie wyobrażał sobie, że te niepokoje mogą nadal trwać, powrócił następnego wieczoru z pracy do domu.

Zmierzchało już i w wielu oknach paliły się świece. Na niektórych domach flagi były opuszczone do połowy masztu. W trosce o to, żeby w trakcie walk nie zniszczono mu skutera, zaparkował go kilka ulic dalej od domu i ostatni odcinek przeszedł piechotą. Miał wrażenie, że tłum raczej się powiększył, a podniecenie narastało. Z niemałym trudem, przepychając się poprzez ciżbę, udało mu się dotrzeć do drzwi domu, kiedy się zaczęło. Oto nagle na Keizersgracht pojawiły się policyjne samochody, które z wyciem syren i miganiem świateł wjeżdżały w tłum, dodając gazu, hamując i znów dodając gazu; nieoczekiwanie pojawili się też policjanci na koniach i z obnażonymi szablami, prócz tego jeszcze motocykle z przyczepami, jadące zygzakiem — to wjeżdżały na chodnik, to zjeżdżały na jezdnię. Siedzący na nich policjanci w hełmach walili ludzi długimi, czarnymi pałkami. W tłumie zaczęła się panika, ale Anton poczuł, że on właśnie jest spokojniejszy. Jeszcze przed chwilą czuł pewne wzburzenie, ale teraz, gdy policja waliła pałkami na prawo i na lewo, gdy rozlegały się przeraźliwe krzyki, gdy jednych tratowano a inni, krwawiąc, próbowali ukryć się w bezpiecznym miejscu, jego opanowała dziwna obojętność. Ganek domu, w którym był także sklep rybny, miał nie więcej niż ze dwa metry kwadratowe. Stało na nim z tuzin ludzi, którzy przypierali go do drzwi jego własnego domu. Anton miał już klucz w ręce, ale zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby udało mu się przekreślić go w zamku — nie będzie mógł ich otworzyć, bo wtedy schody, jego korytarz i pokój w okamgnieniu wypełnią się tłumem. Po odejściu nieproszonych gości zniknąłby również jego dobytek. Stało przy nim jakieś wielkie chłopisko, które z całej siły wciskało się w niego ramieniem, ale tak się to tylko wydawało, bo na tamtego też napierano. W prawej dłoni, z konieczności uniesionej w górę, trzymał duży kamień. Aby chronić nos i nie dać się udusić, Anton musiał

odwrócić głowę w bok, ale kącikiem oka dostrzegał paznokcie i odciski na palcach tamtego. Nagle stojący na ganku ludzie rozbiegli się. Napierający na niego mężczyzna odwrócił się trochę, może chciał zobaczyć, kto go przez cały ten czas uwierał w ramię. Zszedł na ulicę, ponownie się odwrócił i stanął w miejscu.

— Cześć, Ton — odezwał się.

Anton wpatrywał się w szeroką, ponurą twarz. Nagle poznał.

— Cześć, Fake.

III

Przez kilka sekund przyglądali się sobie wzajemnie, Fake z kamieniem, Anton z kluczem w ręce. Starcia na ulicy trwały nadal, ale ich epicentrum przeniosło się na Prinsengracht.

— Wejdz — zaproponował Anton.

Fake zawahał się. Spojrzał w prawo, potem w lewo, jakby trudno mu było pozostawić walczących, zrozumiał jednak, że nie ma wyjścia.

— No to w takim razie tylko na chwilę.

Anton, słysząc za sobą ciężkie kroki na drewnianych schodach, z niemałym trudem oswajał się ze świadomością, że to rzeczywiście Fake Ploeg. Nigdy o nim nie myślał, choć tamten oczywiście też gdzieś żył swoim życiem, dalej istniał. Nie podali sobie nawet ręki. O czym z nim rozmawiać? Po co go, na litość boską, w ogóle zaprosił? Zapalił w pokoju światło i zaciągnął zasłony.

— Czego się napijesz?

Ku jego przerażeniu Fake położył kamień na fortepianie, który był prezentem urodzinowym. Wprowadzie nie zrobił tego gwałtownie, ale jednak z odgłosem, po którym można się było zorientować, że lakier z pewnością został uszkodzony.

— Piwa, jeśli masz.

Anton nalał sobie szklanekę domowego wina z butelki, która stała otwarta od wczoraj. Fake niezdarne usadowił się na fotelu z lnianym obiciem, podobnym do ogromnego motyla, a gospo-

darz na czarnej otomanie w stylu Chesterfield z wysiedzianymi sprężynami.

— No to zdrowie — powiedział i zamilkł, nie wiedząc, o czym dalej mówić.

Fake tylko lekko uniósł swoją szklankę i opróżnił ją do połowy. Wierzchem dłoni otarł usta, spojrzął na szafę z książkami i półkę z sekstantami.

— Student, nie?

Anton kiwnął głową. Fake również. Wyprostował się trochę, próbując, czy będzie mu wygodniej, jeśli usiądzie skośnie.

— Niewygodnie?

— Co za parszywy fotel — odrzekł z dezaprobatą Fake.

— Skądinąd bardzo nowoczesny. Chodź, usiądź tutaj.

Zamienili się miejscami. Fake, mogąc go teraz lepiej widzieć, przyglądał mu się uporczywie.

— Wiesz, że zupełnie się nie zmieniłeś.

— I co jeszcze powiesz?

— Od razu cię poznałem.

— Ja potrzebowałem trochę czasu — odpowiedział Anton. — Za często twojego ojca nie widywałem.

Fake wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki torebkę z tytoniem i zaczął skręcać papierosa. Gdy Anton podniósł w górę Yellow Dry, Fake pokręcił głową. Może Anton nie powinien był tego mówić, ale tak było naprawdę, Fake był podobny jak dwie krople wody do swojego ojca: tyle że był młodszy i szczuplejszy, choć na swój sposób również otyły. Poza tym Anton nie uważał, że akurat teraz powinien się odnosić do przeszłości ze szczególną delikatnością. Marzył jedynie o tym, żeby zadzwonił telefon, tak aby mógł powiedzieć obojętnie komu po drugiej stronie przewodu, że natychmiast wychodzi do szpitala w związku z tym nagłym wypadkiem. W pokoju było chłodno i wilgotno.

— Włączę ogrzewanie — oznajmił Anton.

Wstał i przekręcił wyłącznik olejowego ogrzewacza. Fake skręcił swojego papierosa, z obydwu jego końców oberwał nadmiar tytoniu i włożył te resztki z powrotem do paczki.

— Co studiujesz? — zapytał.

— Medycynę.

— A ja pracuję w firmie prowadzącej artykuły gospodarstwa

domowego — poinformował go Fake, zanim Anton zdążył o to zapytać. — Naprawy i takie tam różne.

Anton czekał przy ogrzewaczu, dopóki olej nie osiągnie właściwego poziomu.

— W Haarlemie?

— W Haarlemie... — Fake spojrział na niego takim wzrokiem, jakby podejrzewał, że brakuje mu piątej klepki. — Ty myślisz, że my ciągle jeszcze mieszkamy w Haarlemie?

— Skąd mam wiedzieć?

— Czy nie wydaje ci się, że po wojnie szybko musieliśmy się stamtąd wynieść?

— Chyba tak — przyznał Anton. Uniósł pokrywę piecyka i wrzucił zapaloną zapałkę. — Gdzie teraz mieszkasz?

— W Den Helder.

Zapałka po drodze zgasła i Anton zapalił drugą. Wrzucił ją do ogrzewacza i odwrócił się.

— Przyjechałeś specjalnie do Amsterdamu, żeby rzucać tu kamieniami?

— Właśnie tak — przyznał się Fake i znów spojrział na niego. — Dziwne, no nie?

Anton przykrył piec pokrywką i usiadł w fotelu. Jeśliby teraz bez ogródek zaproponował, by zakończyć to spotkanie, Fake prawdopodobnie przystałby na to natychmiast; ale świadomość ta budziła w nim rodzaj przekory, niech Fake sobie nie myśli, że tak łatwo się od niego odczepi.

— Matka jeszcze żyje? — zapytał Anton.

Fake kiwnął głową.

— Tak — dodał po kilku sekundach.

Wypowiedział to jak wyznanie, tak jakby Anton postawił pytanie w taki sposób: czy t w o j a matka jeszcze żyje? Antonowi wcale o to nie chodziło, ale gdy zdał sobie z tego sprawę, pomyślał, że może jednak takie pytanie tkwiło w jego podświadomości.

— Dlaczego robisz w takiej firmie? — zapytał. — Przecież byłeś w liceum.

— Tylko pół roku.

— Dlaczego tak krótko?

— Czy to rzeczywiście może cię obchodzić? — zapytał Fake, wpychając do papierosa główką zapałki kłębuszek tytoniu.

— Przecież inaczej bym nie pytał.

— Po wojnie matkę aresztowano i wysłano do obozu. Mnie umieścili w katolickim internacie Biskupiej Szkoły Przemysłowej. Musiałem tam zostać, choć wcale nie byłem wyznania rzymskokatolickiego.

— Co matce zarzucano?

— Zapytaj tych facetów od Ustawodawstwa Specjalnego. Zda się mi się, że podejrzewali ją o to, że jest żoną ojca.

Z tonu, jakim Fake to wypowiedział, Anton wywnioskował, że musiał to częściej powtarzać. Wyczuwał, że sam tego nie wymyślił.

— A potem?

— Po dziesięciu miesiącach wypuścili ją, ale wtedy w naszym domu mieszkał już ktoś inny. Zaproponowano nam coś w Den Helder, gdzie znaleźliśmy kogoś. Tam wylądowałem w zawodówce.

— A dlaczego nie z powrotem w liceum?

— Czy ty w ogóle masz jakieś pojęcie o życiu, co? — zapytał Fake, wykrzywiając twarz w takim grymasie, jakby poczuł przykry odór. — Co ty właściwie sobie myślisz? Moja matka musiała pójść do roboty, żeby utrzymać mnie i siostry. Wiesz, była jedną z tych kobiet, co to je można spotkać codziennie o wpół do siódmej rano w chustce na głowie i z torbami w rękach. W tych torbach miała swoje szczotki, ścierki i proszki do czyszczenia, bo sama musiała się o nie troszczyć. Gdy wieczorem w porze kolacji wracała do domu, wlokła się noga za nogą. A teraz leży w szpitalu, jeśli cię to tak interesuje, bo ma wodę w prawej nodze. Ta noga jest całkiem żółta, z ciemnobrązowymi plamami. Lewą amputowali jej dwa tygodnie temu. Ot, co. Zadowolony jesteś, doktorku? — Dopił swoje piwo, odstawił szklankę na stół i przechylił się do tyłu. — Jest między nami różnica, co? Siedzieliśmy w klasie w jednej ławce, twoich rodziców zastrzelono, a jednak ty studiujesz medycynę. Ale mojego ojca zamordowano, a ja naprawiam piecyki gazowe.

— Ale twoja matka żyje — pośpiesznie odpowiedział Anton. — I twoje siostry też żyją. — Zaczynał zważać na swoje słowa; weszli na niebezpieczny teren. — A czy nie dostrzegasz przy

tym żadnej różnicy pomiędzy śmiercią twojego ojca a śmiercią moich rodziców?

— Jakiej różnicy? — zapytał Fake agresywnym tonem.

— Moi rodzice byli niewinni.

— Mój ojciec też.

Wypowiedział to nie zawahawszy się ani na moment i patrząc hardo na Antona. Anton zamilkł oszołomiony. Może Fake rzeczywiście był o tym przekonany.

— W porządku — odpowiedział, czyniąc nieokreślony gest ręką. — W porządku. Ja też wiem tylko tyle, ile słyszałem, ale...

— No właśnie.

— ...ale jeśli twoim zdaniem różnica pomiędzy nami polega na czymś w rodzaju społecznej niesprawiedliwości, to zupełnie nie rozumiem, skąd ten kamień. — Ruchem głowy wskazał kamień, który leżał na fortepianie jak wołająca o pomstę do nieba obraza. — Powinieneś w takim razie zostać komunistą.

Zanim Fake odpowiedział, wziął do ręki swoją szklankę i wysączył z niej ostatnie krople żółtego płynu.

— Komunizm — odpowiedział spokojnie, ale z czającą się wściekłością — jest najgorszy ze wszystkiego. Masz teraz tego dowód w Budapeszcie, gdzie dążenia całego narodu do wolności utopiono w morzu krwi.

— Fake — przerwał mu Anton poirytowany — ja też nie jestem komunistą, ale wcale z tego powodu nie uważam, żebym się miał uczyć na pamięć gazetowych nagłówków.

— No tak, doktorek umie wysławiać się dużo lepiej ode mnie. Proszę mi wybaczyć, że nie jestem taki wymowny. Ale ludzie walczą tam teraz na śmierć i życie. Tak lepiej? A ty myślisz, że co tam robią ci komisarze polityczni? Tam są teraz jatki, myślisz może, że nie? Czytałeś w „Parool”, co tam teraz wyprawiają ci ich mongolscy żołnierze?

— Mongolscy żołnierze? — powtórzył Anton jak echo. — Co ty pleciesz, Fake, czy może nadszedł czas, żeby teraz zagazować mongolskich żołnierzy?

— Nie, gnojku — odpowiedział Fake z błyskiem w oczach, świadczącym o tym, że Anton powinien się mieć na baczności.

— Nie wiem, do czego ty zmierzasz, ale powiem ci tylko tyle,

że jeśli chodzi o komunistów, to nie ma dwóch zdań, że mój ojciec miał rację. To nieprzypadkowo ci sami przekłęci komuniści go zamordowali. To to samo diabelskie nasienie, które tam teraz widzisz, jak w hełmach na głowach drapią się po rynnach. Nie powinieneś ich bronić. Przyjrzyj się im tylko! Oni wtedy wiedzieli, że nastąpią represje, a jednak zastrzelili go przed twoim domem. Zupełnie nic ich nie obchodziło, bo inaczej ukryliby przecież ciało. Wojna nie skończyła się przez to ani o sekundę wcześniej.

Wstał i podszedł ze szklanką w ręce do szafki kuchennej, na której stała otwarta butelka piwa. W tym momencie Anton spostrzegł, że olejowy piecyk jeszcze się nie pali; również podniósł się z fotela, wziął do ręki gazetę, z której oderwał pasek papieru i podpaliwszy go opuścił na czarną, lśniąca powierzchnię oleju. Dolał sobie jeszcze wina; Fake stał, więc i on nie siadał. Za oknem znów słychać było krzyki i wycie policyjnych syren.

— Moja rodzina została zamordowana nie przez komunistów — powiedział Anton, kładąc wolną rękę na karku — ale przez przyjaciół twojego ojca.

— Ale ci komuniści wiedzieli, że do tego dojdzie.

— A więc to ich wina...

— No jasne, a czyja?

— Słuchaj, Fake — zaczął — rozumiem, że chcesz bronić ojca. Był to przecież twój ojciec. Ale gdyby twój ojciec był moim ojcem i wszystko stałoby się na odwrót, to czy też byś go bronił? Przestańmy sobie mydlić oczy. Twój ojciec został jak najbardziej sprawiedliwie zabity przez komunistów, ponieważ, ich zdaniem, tak powinno było się stać. Ale moja rodzina została przypadkowo zamordowana przez faszystów, do których twój ojciec też należał. Tak to chyba wygląda?

Fake zrobił ćwierć obrotu i znów stał bokiem do Antona, nieco pochylony do przodu.

— Chcesz powiedzieć, że to mój ojciec winien jest temu, że zamordowano twoją rodzinę?

Anton uświadomił sobie, że Fake też teraz zważa na każde słowo. Nad kominkiem wisiało w ozdobnych ramach wysokie lustro kupione za grosze na pchlim targu, optycznie powiększało

ono trochę ten pokój: Anton dojrzał w nim, że Fake zamknął oczy.

— Dlaczego — zapytał Anton — nie potrafisz kochać swego ojca a jednocześnie dopuścić do rzetelnego wyjaśnienia tych spraw? Przecież kochać świętego to żadna sztuka. Dlaczego zwyczajnie nie powiesz: mój ojciec zrobił w życiu kolosalny błąd, ale to mój ojciec i ja go kocham.

— Ale on, do cholery, nie zrobił żadnego błędu! A przynajmniej nie w tym sensie, w jakim ty myślisz.

— Ale gdy teraz już dobrze wiesz, że robił takie straszne rzeczy... co ja ci zresztą będę mówił... to czybyś go nie kochał?

Fake odwrócił się, obrzucił go spojrzeniem i zaczął chodzić po pokoju.

— Błąd, błąd... — prychnął po chwili. — Tak dziś o tym mówimy, ale przecież teraz ludzie myślą o komunizmie to samo, co on wtedy. Posłuchaj tylko tych tam, na ulicy, jaka właściwie jest różnica między tym, co tam się dzieje, a tym, że nasi szli na front wschodni? A o tym, co się działo z Żydami, on nie miał przecież zielonego pojęcia. Nigdy się o tym nie dowiedział. I nie masz prawa oskarżać go za winy Niemców. On był zwykłym policjantem i wykonywał po prostu swoje obowiązki, tak jak go tego nauczono. Przed wojną też wyciągał ludzi z domów i też nie wiedział, co się z nimi dalej działo. Był, oczywiście, faszystą, ale dobrym, z przekonania. Wierzył, że w Holandii powinno się wiele zmienić, miało już więcej nie być nigdy tak jak za Colijna, gdy kazano mu strzelać do robotników. On nie był z tych, co idą na ślepo w owczym pędzie, jak większość Holendrów. Gdyby Hitler wygrał wojnę, to jak myślisz, ilu naszych rodaków byłoby przeciw niemu? No więc, nie rozśmieszaj mnie, człowieku. Dopiero gdy führer zaczął przegrywać, okazało się nagle, że wszyscy są w ruchu oporu, cholerne tchórze.

Piecyk, do którego nalało się za dużo oleju, zaczął głucho, rytmicznie pykać. Fake rzucił na niego okiem specjalisty i powiedział: — Zaraz będzie awaria. — Ale nie zgubił wątku. Obejmując szklankę obydwoma dłońmi usiadł na parapecie i zapytał:

— A wiesz, kiedy mój ojciec został członkiem NSB? We wrześniu czterdziestego drugiego roku, po Szalonym Czwartku, gdy

sprawa się ryła i ci wszyscy podrabiani faszyści wynieśli się stąd i albo dali dyla do Niemiec, albo nagle okazało się, że zawsze byli w ruchu oporu. Wtedy ojciec uznał, że trzeba czynu, matka często nam o tym opowiadała. I właśnie za to przekonanie zastrzelili go, za nic innego, tylko za to, i twoja rodzina też przyplaciła to życiem. Gdyby tamci tego nie zrobili, twoi rodzice żyliby do dziś. Mój ojciec odsiedziałyby jakiś czas w pudle, a teraz już od paru lat znów pracowałby w policji.

Fake wstał i podszedł do fortepianu, uderzył w kilka klawiszy środkowego rejestru, tak że dźwięki te, zmieszawszy się z prychnieniem ogrzewacza, skojarzyły się Antonowi ze Strawińskim. Czuł, że z każdym słowem Fake jego ból głowy się wzmaga. Jak też można było trwać w takim zakłamaniu? Wytłumaczeniem była miłość — miłość zaślepiena.

— Gdy tak ciebie słucham — odezwał się Anton — mam wrażenie, że ty chyba nie masz wątpliwości co do tego, że to raczej nazwisko twojego ojca powinno być umieszczone na tym pomniku.

— Na jakim pomniku?

— Tam koło nas, na nabrzeżu.

— Stoi tam teraz jakiś pomnik?

— Ja też dość późno się o tym dowiedziałem. Są na nim nazwiska moich rodziców i tamtych dwudziestu dziewięciu zakładników. Czy nazwisko Fake Ploeg też powinno tam być?

Fake spojrział na niego i chciał coś powiedzieć, ale nagle rozszlochał się. Ten szloch wydobywał się z niego tak, jakby należał do kogoś innego, kto tylko posługuje się osobą Fake.

— Niech to szlag... — wykrztusił wreszcie Fake, ale nie było wiadomo, czy odnosi się do tego, co powiedział Anton, czy też do szlochu. — Wtedy, kiedy twój dom się fajczył, my dostaliśmy wiadomość, że ojciec nie żyje. Czy kiedykolwiek o tym pomyślałeś? Ja wiem, co spotkało ciebie, ale czy ty wiesz, co spotkało mnie?

Ponownie się odwrócił, bezradnym gestem otarł oczy i nagle chwycił w rękę kamień. Rozejrzał się szybko wokoło i spojrział na Antona. Ten podniósł ręce, żeby zasłonić twarz, i zawołał:

— Fake!

Fake zamachnął się i rzucił kamieniem w lustro. Anton schy-

lił się gwałtownie. Kątem oka dostrzegł, jak szkło pęka, odłamki padają na żelazną pokrywę ogrzewacza, pykającego teraz nieco wolniej, i rozpryskują się na drobne kawałeczki. Kamień opadł na półkę nad kominkiem i tam teraz leżał.

Gdy Anton z mocno bijącym sercem podniósł wzrok, żeby ocenić wielkość spustoszeń, usłyszał kroki Fake szybko schodzącego po schodach.

Z ram wypadł jeszcze ostatni odłamek szkła i rozbił się z brzękiem na drobne kawałeczki. Niemal w tym samym momencie pokrywa podgrzewacza podskoczyła na pięć centymetrów w górę, i buchnął spod niej obłok sadzy. Anton położył ręce na karku, złączył obie dłonie i głęboko nabrał powietrza. Czuł, że i on zaraz wybuchnie, ale histerycznym śmiechem: rozbite lustro, buchający sadzą podgrzewacz, krzyki na ulicy — ból głowy był jednak na to za silny. Jakież to wszystko absurdalne! Sadza rozeszła się po pokoju i Anton wiedział, że straci parę godzin, zanim wszystko domyje i doczyści.

Wtedy usłyszał, że Fake znów wchodzi po schodach, i dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że nie słyszał odgłosu zamykanych na dole drzwi. Instynktownie rozejrzał się za czymś, czym mógłby się bronić. Schwycił w rękę raketę do tenisa. Fake stanął w drzwiach i rozejrzał się po zniszczonym pokoju.

— Chciałem ci jeszcze powiedzieć — odezwał się — że nigdy ci nie zapomnę tego wtedy, u nas w klasie.

— Czego w klasie?

— Jak wszedłeś do klasy, gdy siedziałem w tym małym przebraniu.

— Och, mój Boże, o to ci chodzi, no cóż, tak wyszło.

Fake zawahał się. Może właściwie chciał ucisnąć dłoń Antonowi, ale podniósł tylko swoją i wrócił na dół. Tym razem rozległ się po chwili trzask zamykanych drzwi.

Anton rozejrzał się po pokoju. Wszystko pokrywał czarny, tłusty całun. Najgorzej było z książkami i sekstansami. Fortepian na szczęście był zamknięty. Przede wszystkim trzeba było wziąć się za sprzątanie. Z bólem głowy czy bez. Rozsunął zasłony i szeroko otworzył okno. Do pokoju wdarł się rumor z ulicy. Anton spojrział na odłamki szkła na podłodze. Z wierzchu były całkiem czarne. Z ram sterczało jeszcze kilka ostrych kawał-

ków, poza tym widać było tylko brunatne deski, oklejone kiedyś gazetą, która później w większej części znów została zerwana. Dwa złożone amorki z tacą owoców i skrzydełkami z pofryzowanych liści patrzyły na niego wciąż tak samo anielsko. Najpierw trzeba zabrać stąd ten kamień. Można go w ostateczności wyrzucić przez okno, ale tak, żeby nikt nie zauważył. Ostrożnie, żeby nie poślizgnąć się na rozsypanym na trzcinowej macie szkle, podszedł do kominka. Z kamieniem w ręce odczytał na skrawku papieru przyklejonego do drewna: *Nel di 2 Luglio 1854. Solennizzandosi con sacra devota pompa nell' Augusto tempio di Maria SS. del Soccorso...*

Inaczej nigdy by się o tym nie dowiedział.

Nel di... (wł.) — 2 lipca 1854. Celebując uroczyste i z czią nabożną w chwałą otoczonej świątyni Najświętszej Marii Panny Nieustającej Pomocy...

I

W miłości też zdawał się na los. Co kilka miesięcy miał nową dziewczynę, która siadała na zapadającej się kozetce, najczęściej z podciągniętymi pod brodę kolanami, a wtedy on, po raz nie wiadomo który, wyjaśniał jej, do czego służy sekstans. Nigdy go to jednak nie nudziło. Był zafascynowany tymi lśniącymi, miedzianymi przyrządami z lusterkami, wyskalowaną podziałką i małym celownikiem, zawierającymi w sobie pogrążoną w nocnym mroku ziemię i gwiazdy. Często dziewczyna niewiele rozumiała z tego, co Anton opowiadał. Do każdej z nich naprawdę docierało jedynie to, że mówił o tym w taki sposób, iż było jasne, że darzył te przedmioty prawdziwą miłością, która poniekąd przechodziła i na nie. Niekiedy kozetka przez kilka tygodni pozostawała pusta, co mu skądinąd za bardzo nie doskwierało; wstąpić do baru po to, żeby kogoś poderwać, to nie było w jego stylu.

W 1959 roku zdał egzamin lekarski i gdy został asystentem-anestezjologiem, wynajął inne mieszkanie, przestronniejsze i jaśniejsze, w okolicy Leidseplein. Codziennie rano przemierzał na piechotę te kilkaset metrów do Szpitala im. Wilhelminy, nazywanego przez pewien okres, podczas okupacji, Szpitalem Zachodnim. Na ulicach tego rozbudowanego kompleksu zawsze panował ożywiony ruch: pełno było karettek, osób odwiedzających i samych pacjentów, którzy w szlafrokach narzuconych na pasiaste pidżamy na nowo uczyli się chodzić. Lekarze w rozpiętych, białych fartuchach śpieszyli z jednego budynku do drugiego; Anton chodził z przechyloną lekko na bok głową, co jakiś czas odrzucając do tyłu włosy i jakby trochę powłócząc nogami. Ściągał tym niekiedy na siebie nieco rozczulony wzrok pielęgnia-

rek przejeżdżających na rowerach. To właśnie one siadały potem na jego kozetce. Pewnego razu musiał przejść obok baraku, przy którym stała kiedyś tablica z napisem „Lazarett”; coraz rzadziej jednak zdarzało się, by przychodził mu na myśl wnoszony tam konający lub nawet już martwy Schulz.

Swoją pierwszą żonę spotkał w 1960 roku w Londynie podczas ferii pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Za dnia spacerował po mieście, kupował ubrania na Regent Street i odwiedzał sklepiki ze starymi przyrządami nawigacyjnymi, znał ich kilka na tyłach British Museum; wieczorem z reguły szedł na koncert. Widywało się wówczas na ulicy jeszcze wielu dżentelmenów w melonikach i ze złożonym parasolem w ręce. Również podczas obiadów w pubach na wieszakach widać było wiele tych wywołujących dziś rozrzewnienie atrybutów męskiej elegancji. Gdy któregoś deszczowego dnia szwendał się po Whitehall, wśród kolosalnej architektury oddającej potęgę tych, którym miała służyć, gdzie jeźdźcy z Horse Guard wyczyniali niezrozumiałe pas, przypominając puszące się przed walką koguty, postanowił wejść do Westminster Abbey, gdyż jeszcze nigdy tam nie był.

Katedrę wypełniał tłum zagranicznych turystów i prowincjuszy z jednodniowych wycieczek. Anton kupił przewodnik w czerwonej oprawie, w tym purpurowym odcieniu czerwieni, którą spotyka się jedynie w Anglii, i to na każdym kroku. Tylko od nawy głównej do wejścia na chór na planie przewodnika figurowało sto siedemdziesiąt grobów, w których spoczywał kwiat narodu z sześciu wieków, tak iż Anton zdecydował się zamknąć szybko tę książeczkę. Na posadzce, na ścianach i na kolumnach każde wolne miejsce pokryte było rzeźbami i napisami; w kaplicach kamienne postacie i nagrobki wystawiono na pokaz jak na drugorzędnej licytacji mebli w dniu oglądania eksponatów. W ciasnym przejściu wzdłuż chóru zmarli leżeli tak blisko jeden przy drugim, jak niekiedy pacjenci na noszach przed salami operacyjnymi, ale w przeciwieństwie do nich w marmurowych sarkofagach i ostatecznej narkozie. Anton wyobraził sobie, co tu się będzie działo w dniu Sądu Ostatecznego, kiedy wszyscy powstaną z grobów i zawrą znajomość: setki bohaterów, arystokra-

tów — będzie to najwytworniejszy klub Zjednoczonego Królestwa.

Królewscy przodkowie spoczywali w kaplicy za głównym ołtarzem. Pośród stłoczonych królów i królowych przeciskali się ludzie, którzy nigdy się tu na stałe nie znajdują, a przy tronie koronacyjnym powstał nawet zator. Anton też stał jak zahipnotyzowany przed tym Coronation Chair, na którym od początku czternastego wieku koronowano chyba wszystkich angielskich monarchów. Był to dębowy fotel z niewyszukanymi ornamentami, oparciem pełnym inicjałów, wyrytych przed wiekami, nadgryziony zębem czasu, lecz przez szacunek dla historii nigdy nie restaurowany. Pod drewnianym siedziskiem leżał duży kamień Stone of Scone. Anton otworzył przewodnik. Kamień służył za węzłowie biblijnemu Jakubowi, w ósmym wieku p.n.e przywieziony został z Egiptu przez Hiszpanię do Irlandii, tysiąc czterysta lat później do Szkocji, aż w końcu do Anglii, i teraz można go było tu właśnie oglądać. Tak jak rzeczywista prawda leżących wokoło królów istniała tylko w dramatach Szekspira, tak też związane z tym kamieniem legendy wydawały mu się idealnie do niego dopasowane. Tylko wówczas kamień jęczał, jeśli w żyłach koronowanych na nim irlandzkich pretendentów do tronu rzeczywiście płynęła królewska krew, w innych przypadkach nie. Anton roześmiał się i powiedział głośno: — Ach, tak. — Na co stojąca obok młoda kobieta odwróciła się i zapytała: — Co tak?

Anton spojrział na nią i... w tym momencie podjął decyzję. Jej spojrzenie i jej włosy: gęste, twarde, rudawe. Nazywała się Saskia de Graaff i była stewardesą w KLM. Zwiedzili jeszcze wspólnie Poets' Corner, a potem wyszli razem. Dziewczyna miała się spotkać z ojcem w jednym z klubów na St. James's; co roku przyjeżdżał on w okresie Bożego Narodzenia do Londynu na spotkanie ze starymi przyjaciółmi z czasów wojny. Gdy odprowadził ją na miejsce i umówili się, że zobaczą się ponownie w Amsterdamie, Anton ujrzał schodzącego po schodach generała, który wsiadł do oczekującego samochodu z kierowcą w wojskowym mundurze.

Kiedy w tydzień później w Hadze, podczas ich pierwszego

spotkania w sali klubowej „Hotelu des Indes”, generał De Graaff ostrożnie zapytał o jego rodzinę, Anton odpowiedział, że ojciec był sekretarzem sądu w Haarlemie, ale że i on, i matka od dawna nie żyją. Dopiero pół roku później opowiedział De Graaffowi swoją historię. Było to w upalne popołudnie w Atenach, gdzie jego przyszyły teść był ambasadorem. Wysłuchawszy Antona siedział w milczeniu i patrzył z cienistego pokoju na obłany ostrym, słonecznym światłem pełen zapachów ogród, rozedrgany muzyką świerszczy, z tryskającą z szumem w górę małą fontanną. Na tarasie służący w białej marynarce dzwonił kostkami lodu — siedziała tam Saskia z matką. Pomiędzy cyprysami i piniami widoczny był w oddali Akropol. Kiedy się w końcu odezwał, powiedział tylko tyle: — Nawet to, co dobre, na tym świecie zawsze ma swoje złe strony. Ale bywa też odwrotnie.

Podczas wojny De Graaff był członkiem organu koordynującego działania wszystkich holenderskich organizacji ruchu oporu i z tej racji pozostawał w bezpośrednim kontakcie z rządem w Londynie. Niechętnie zabierał głos, gdy rozmowa schodziła na temat wojny. O tamtym okresie jego życia Anton wiedział jedynie tyle, ile opowiedziała mu Saskia. Ale wcale nie potrzebował wszystkiego wiedzieć. Gdyby zechciał, mógłby z pewnością doczytać się szczegółów w protokołach parlamentarnej Komisji Przesłuchań, ale nie zrobił tego.

W rok po pierwszym spotkaniu pobrali się. Wuj Antona nie mógł, niestety, wziąć w tym udziału: w bezsensowny sposób stracił życie w wypadku drogowym. Wkrótce po ślubie Anton uzyskał stałą nominację w szpitalu i z finansową pomocą teściów młodzi kupili połowę domu na tyłach Concertgebouw.

II

Na początku czerwca 1966 roku, pogoda była wtedy upalna jak w środku lata, Saskia musiała pojechać na pogrzeb przyjaciela ojca, znanego dziennikarza. Była to znajomość jeszcze z czasów wojny. Saskia spytała, czy Anton z nią pojedzie; gdy się okazało,

że na jeden dzień może się zwolnić ze szpitala, zdecydował, że zabiorą też ze sobą córeczkę, czteroletnią Sandrę.

— Czy to konieczne, Ton? — zapytała Saskia. — Dzieci zupełnie nie zdają sobie sprawy z tego, czym jest śmierć.

— Rzadko zdarza się usłyszeć zabawniejszy aforyzm — odpowiedział Anton.

Zabrzmiało to znacznie ostrzej, niż chciał. Przeprosił ją i pocałował. Postanowili, że po pogrzebie pójdą na plażę.

Jego teść, który urodził się z nastaniem dwudziestego wieku, przeszedł już na emeryturę i zamieszkał w wiejskim domu na północy Holandii w Celderland; na pogrzeb miał przyjechać samochodem. Saskia zatelefonowała do niego i spytała, czy rodzice nie zechcieliby wstąpić po nich, mogliby przyjechać trochę wcześniej, zdążyliby wtedy wypić razem kawę. Ojciec zareagował na to jak pierwszy lepszy prowincjusz: o, jego z całą pewnością nie ujrzą w Amsterdamie, jeszcze czego, ma może utknąć gdzieś wśród demonstrujących provosów? Powiedział to ze śmiechem, niemniej jednak nie przyjechał, choć w życiu stawiał czoło większym wyzwaniom.

Pogrzeb odbywał się w pewnej wiosce na północ od Amsterdamu. Zaparkowali samochód na skraju drogi i pocąc się niesłychanie w ciemnych ubraniach udali się do małego wiejskiego kościółka. Sandra była ubrana na biało i słońce nie dokuczało jej tak bardzo. Na centralnym placu wioski zebrał się już niemały tłum, złożony głównie ze starszych osób, dobrze się między sobą znających. Każdy witał się z każdym, nie ponuro czy żalobnie, lecz raczej ze śmiechem, często wylewnie padając sobie w objęcia. Kręciło się między nimi wielu fotografów. Z wielkiego, czarnego cadillaca wysiadł jakiś minister, ten, który ostatnio często występował w telewizji w związku z zamieszkami w Amsterdamie. Jego też powitano całusami i poklepywaniem po plecach.

— Ci wszyscy ludzie walczyli z Niemcami — wyjaśnił Anton córeczce.

— Podczas wojny — dodała mała z minką świadcząca o tym, że doskonale wiedziała, o co chodzi, zdecydowanie odwróciwszy się przy tym od swojej lalki.

Z nieustającym uczuciem podekscytowania Anton przyglądał się wszystkim po kolei. Nie znał tu nikogo; jedynie Saskia ukło-

niła się kilku osobom, których też zresztą nie znała. W ascetycznym wnętrzu protestanckiego kościoła, gdzie bez przerwy grały organy, zajęli miejsca w ostatniej ławce. Gdy wniesiono trumnę, wszyscy wstali i Anton objął ręką ramionka Sandry, która zapytała, czy ten pan jest tam w środku. Wdowa weszła wsparta na ramieniu De Graaffa — oczywiście pogrążona w nieutulonym żalu, ale z podniesioną głową i spoglądając na ludzi, niekiedy z lekka się skłaniając i nieznacznie uśmiechając.

— Dziadku! — zawołała nagle Sandra na cały głos.

De Graaff odwrócił nieco głowę i mrugnął do niej. Usiedli na samym przodzie, obok ministra. Anton dostrzegł teraz również burmistrza Amsterdamu. Mowę pożegnalną wygłosił znany pastor, który przesiedział kilka lat w obozie koncentracyjnym. Pełna egzaltacji intonacja jego głosu, z powodu której Sandra co chwila spoglądała ze śmiechem na ojca, była tak wspaniała, jakby i on, podobnie do Demonstenesa, przewyciężył wadę wymowy dzięki wielogodzinnym ćwiczeniom z kamykami w ustach. Słuchając go, Anton zwrócił uwagę na profil kobiety siedzącej po drugiej stronie przejścia, kilka rzędów przed nimi. Miał on w sobie tyle zdecydowania, że wywoływał skojarzenie z szablą, wbitym końcem w trawę. Kobieta mogła mieć jakieś czterdzieści pięć lat, na jej ciemnych, wysoko wzniesionych, jakby tapirowanych włosach widoczne były w kilku miejscach siwe pasemka.

Jako ostatni dołączyli z Saskią do orszaku żałobnego kierującego się na cmentarz za kościołem. Podczas krótkiego przemarszu przez ulicę, a potem po wysypanej żwirem alejce, wszyscy byli zajęci ożywioną rozmową, machano do siebie z różnych stron, niektórzy szybko przechodzili do przodu, inni do tyłu. Przypominało to bardziej towarzyskie spotkanie niż pogrzeb.

— Znowu są razem, jak dawniej — skostatowała Saskia.

— Żeby tylko tamci się nie dowiedzieli, że ci wszyscy tu są — odparł Anton.

— Jacy tamci?

— Szkopy, oczywiście.

— Lepiej byś milczał — skarciła go Saskia.

Fotografowie znowu wyszukiwali w tłumie znane twarze, a stojący po przeciwnej stronie ulicy mieszkańcy wioski w milczeniu przyglądali się idącym. Większość z nich z pewnością po

raz pierwszy się dowiedziała, kogo mieli przez tyle lat w swoim gronie. Młodzi chłopcy na motocyklach ironicznie spoglądali na ten orszak, ale silniki były zgaszone. Najwidoczniej emanowało od tych mężczyzn i kobiet, niektórych przed laty katowanych, coś, co wymuszało na tamtych spokój.

— Tatusiu?

— Co, córeczko?

— Co to właściwie jest wojna?

— Wielka kłótnia. Gdy dwie grupy ludzi chcą sobie wzajemnie głowy pourywać.

— Mogą sobie pourywać także coś innego — dodała Saskia.

— Tak sądzisz? — zapytał ze śmiechem Anton.

Na cmentarzu uformował się już wokół grobu ciasny krąg, tak że rodzina Steenwijków niczego nie mogła zobaczyć. Sandra zaczęła się nudzić, więc Saskia wzięła ją za rączkę i odeszła trochę dalej. Anton słyszał za sobą jej głos, czytający napisy na nagrobkach i udzielający Sandrze wyjaśnień. Od czasu do czasu podnosił twarz ku piekącemu słońcu; nie zwracał uwagi na to, że ubranie klei mu się do ciała. Ciche rozmowy w tylnych szeregach umilkły dopiero wtedy, gdy wdowa zabrała głos, lecz dla Antona rozplątywał się on w przestrzeni letniego dnia. Dla przelatujących w górze ptaków ta mała, ciemna dziura w płaskim polderowym krajobrazie ze stłoczonymi wokół niej ludźmi musiała być podobna do wielkiego oka patrzącego w niebo.

Jako ostatni w kolejce złożyli w domu pastora kondolencje wdowie i przeszli pomiędzy zapuszczającymi silniki autami do kawiarni naprzeciwko. Kilka stojących na zewnątrz stolików zajętych było przez miejscowych klientów, wewnątrz też było tłoczno. Przy barze panował ścisk, zsuwano razem stoły, rozluźniano krawaty, zdejmowano marynarki, wołano o piwo, kawę i jajecznicę. Na to wszystko nakładała się płynąca z głośnika adapteru melodia „Strangers in the Night”. Byli tu już niemal wszyscy: i minister, który rozmawiał z burmistrzem i zapisywał coś na pudełku od cygar, i znani pisarze, i cieszący się swoistą sławą przywódca amsterdamskich provosów. Gdy Saskia zaproponowała Antonowi, żeby pójść raczej w jakieś inne miejsce, do sali wszedł właśnie jej ojciec. Towarzyszyło mu chyba ze siedmiu mężczyzn, kilku z nich Anton znał z widzenia; usiedli razem

przy dużym stole w głębi sali, zapewne dla nich zarezerwowanym; teściowa poszła z wdową i rodziną zmarłego do domu żałoby. Ujrawszy córkę i Antona, De Graaff zachęcił ich ruchem głowy, żeby do nich dołączyli.

Przy stole stary generał promieniał. Już po chwili toczyły się tam trzy rozmowy, w swojej akurat De Graaff był w defensywie, co nie miało najmniejszego wpływu na jego dobry humor, charakterystyczny dla kogoś, kto mimo wszystko czuje, że jest górą. Jakiś mężczyzna z blond czupryną i jeszcze jaśniejszymi brwiami pochylił się do przodu i powiedział mu, że staje się teraz naprawdę starym pierdołą. Jak mogło mu przyjść do głowy podobne porównanie; wietnamski Front Wyzwolenia i hitlerowscy faszyci, i to tylko dlatego, że dla niego Amerykanie byli wciąż tymi samymi Amerykanami co przed laty. Ale tamci Amerykanie już się zmienili i teraz właśnie ich trzeba porównywać z hitlerowcami. De Graaff odchylił się do tyłu i ujął wyciągniętymi na boki, wyprostowanymi rękami krawędź stołu, tak iż siedzący po jego obydwu stronach mężczyźni też musieli się odchylić. Z rzadkimi, siwymi włosami i dumnymi rysami twarzy królował tam jak przewodniczący rady komisarzy.

— Mój drogi, dobry Jaapie — zaczął z wysoka, ale Jaap natychmiast wszedł mu w słowo:

— Dobra, stary, tylko mi nie mów, że zapomniałem, iż to Amerykanie nas wyzwolili.

— Wcale nie zamierzałem ci tego powiedzieć.

— Nie jestem taki pewien. Ja w każdym razie o niczym nie zapomniałem, to raczej ty zapomniałeś.

— A niby o czym? — zapytał De Graaff z ironią.

— Że równie dobrze wyzwolili nas Rosjanie, choć, co prawda, nie widzieliśmy ich na naszych ulicach. Ale to oni pokonali niemiecką armię. I to oni teraz, w Wietnamie, stoją po właściwej stronie.

Mężczyzna siedzący na lewo od De Graaffa odezwał się na to z jakby żelazną nutą w głosie:

— Może zostawilibyśmy innym podobne rozmowy?

— A właśnie, że tak jest! — odparł zdecydowanie Jaap. — Rosjanie się zdestalinizowali, a tymczasem Ameryka stała się katem narodów.

Na twarzy mężczyzny po lewej pojawił się pod czarnym wąsem oficjalny uśmiech, który mógłby wskazywać na to, że może nawet zgadza się on z Jaapem, ale że ten prowadzi beznadziejną walkę.

— Wszędzie ci parszywi komuniści — rzucił De Graaff w kierunku Antona. — Wspaniałe chłopaki.

Anton odwzajemnił uśmiech. Widać było, że ta rozmowa to też gra, którą z pewnością częściej się zabawiali.

— Tak, tak — przyznał Jaap — to wspaniali chłopcy. Ale ty, Gerrit, od czterdziestego czwartego roku nie miałeś już nic przeciwko Niemcom, tylko przeciw tym wspaniałym chłopakom.

Anton wiedział z całą pewnością, że jego teść ma na imię nie Gerrit, ale Godfried Leopold Jerome; najwidoczniej jednak w tym towarzystwie zwracano się do siebie pseudonimami z czasów okupacji. Jaap też oczywiście nie był Jaapem.

— No, a czego ty byś chciał? Przecież w końcu szkopów pobito? — Niewinnie spojrzał na Jaapa. — Czy więc mamy zamienić jedną tyranię na drugą? — Uśmiech stopniowo zniknął z jego twarzy.

— S...syn — rzucił Jaap.

— Powinieneś być nam raczej wdzięczny. Gdybyś w czterdziestym piątym zrobił to, co chciałeś, nie zostałbyś usunięty z partii tak jak teraz, ale postawiliby cię pod ścianą. Szczególnie z twoją pozycją. Tak samo jak Slanskiego, byłem akurat wtedy w Pradze. To, że jeszcze żyjesz, zawdzięczasz władzom wojskowym, które po wyzwoleniu przejęły rządy. — A gdy Jaap siedział w milczeniu, De Graaff dodał: — Zawsze lepiej skończyć na wysypisku historii jako prezes klubu piłkarskiego niż jako zimny trup. Co o tym sądzisz, staruszk?

Pokażnej tuszy mężczyzna siedzący po drugiej stronie De Graaffa, znany poeta z satanicznym wyrazem w skośnych oczach, założył ręce na piersi i roześmiał się.

— Coś mi się zdaje — powiedział — że zapowiada się tutaj ciekawa pogawędka.

— O tak — zgodził się Jaap, wzruszając ramionami — ze mną nie trudno mu wykazać swoją rację.

— Pamiętasz jeszcze te strofy Sjoerda? — zapytał De Graaff

i z podniesionym w górę palcem wskazującym zaczął deklamować:

Ten naród, co przed tyranem na kolana pada,
Więcej niż ciało i majątek traci,
Bo wówczas gaśnie światło i ciemność zapada.

— Do czego to nie przydaje się poezja — stwierdził mężczyzna z wąsem. — Teraz nawet do obrony bombardowania wietnamskich wiosek napalmem. Ale niech tam, to w końcu Azja. Nawiasem mówiąc, podczas afery indonezyjskiej też odgrywałeś jakąś nieciekawą rolę. „Indie stracone, nieszczęście zrodzone” itp. Niedobry wiersz moim zdaniem, ale lepiej jego o to zapytaj.

— Taki tam wierszyk, nie warto o nim wspominać — odpowiedział poeta.

— Słyszysz? Tamte akcje pacyfikacyjne w Indonezji kosztowały Sjoerda kilka lat życia, a tymczasem w Holandii nigdy nie układało się tak dobrze, jak po stracie naszych Indii.

— To dzięki planowi Marshalla, drogi Henku — wtrącił się De Graaff słodko. — A wiesz, co to jest? Amerykańska pomoc.

— Oni byli naszymi dłużnikami, nie mamy za co być im wdzięczni. Amsterdamscy bankierzy sfinansowali przecież amerykańską rewolucję. Był to wszak bunt angielskiej kolonii, drogi Gerricie. A za pomoc w ramach planu Marshalla zapłaciliśmy, nawiasem mówiąc, co do centa, choć wątpię, czy kiedykolwiek widzieliśmy spleconego choć jednego centa z tamtych pieniędzy, wyłożonych przez nas w osiemnastym wieku.

— Powinieneś to sprawdzić — odparł De Graaff.

— Komunista też nie jestem. Jestem antyfaszystą. Ponieważ jednak komunizm jest największym wrogiem faszyzmu, to jestem także anty-antykunista. To fakt.

— A wiesz, dlaczego on był w ruchu oporu? — zapytał nagle Jaap, pochylając się gwałtownie do przodu. — Czy wiesz, dla kogo to wszystko robił? Dla małych księżniczek... — Wypowiedział to z takim obrzydzeniem, jakby mu się zrobiło niedobrze.

— Z całą pewnością — odpowiedział De Graaff i znów przybrał minę pełną zadowolenia.

— Jesteś zwyczajnym orańskim faszystą i tyle.

— Wiecie co, pójdę się przejść — przerwała im Saskia, wsta-

jąc od stołu. — Nie bardzo mnie to wszystko interesuje. Na razie, cześć.

Gdy De Graaff ze śmiechem wołał: — To tytuł honorowy, to tytuł honorowy! — Anton też się podniósł. W tłumie znów na moment ujrzał kobietę, której przyglądał się w kościele. Jego teść tymczasem śmiał się głośno. Nareszcie znalazł się w sytuacji, w której czuł się naprawdę doskonale.

— A jakie wy macie pojęcie o ukrytych urokach monarchii! — zawołał z zapałem. — Cóż może być piękniejszego i wzniolejszego niż pałac Soestdijk o zmierzchu? Wszystkie okna oświetlone, zajeżdżające czarne limuzyny, rozkazy rozbrzmiewające nad gazonem. Panowie w galowych mundurach i ze lśnącymi szablami, panie w długich sukniach, błyszczące od klejnotów, wstępujące po schodach na taras, witane przez młodych, przystojnych oficerów marynarki. W blasku kandelabrow lokaje z wielkimi, srebrnymi tacami pełnymi kryształowych pucharów z szampanem, niekiedy może nawet przelotne spojrzenie kogoś z królewskiej rodziny. Jeśli Bóg zechce, to nawet Jej Wysokości samej Królowej! A tam daleko, za ogrodzeniem, w siąpiącej mżawce szary lud, pilnowany przez gwardzistów.

— Ty mówisz to poważnie? — rzucił nagle poeta, zdaniem którego krociła się ciekawa pogawędka. — O, mój Boże! Gdybym był takim szubrawcem jak ty, nie napisałbym więcej ani jednej literki! — Kropelka śliny, która wyleciała mu z ust, padła akurat na klapę granatowej marynarki De Graaffa, tuż koło przypiętego wysokiego odznaczenia.

— Zdaniem wybitnych znawców byłoby to błogosławieństwem dla naszej literatury — odciął się De Graaff.

— Człowieku, przecież on cię podpuszcza — zwrócił się Henk do rozeźlonego poety.

De Graaff wyjął z butonierki białą chusteczkę i usunął mały pęcherzyk. Jego szary krawat z grubym węzłem sterczał między rogami kołnierzyka, a potem zgrabnym łukiem krył się w kamizelce. Jaap także nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Mężczyzna siedzący po drugiej stronie poety, renomowany wydawca, zatarł ręce i powiedział podniecony:

— Ostro grzeje!

— Ten szary lud — zaczął Henk — ostatnio w Amsterdamie

całkiem nieźle sobie radził z rzucaniem petard dymnych na twoją królewską rodzinę.

— Petard... — powtórzył jak echo De Graaff z głęboką pogardą.

— I możesz jeszcze za to zapłacić głową — kontynuował Henk do kogoś stojącego za Antonem.

Anton odwrócił się i ujrzał, że ciepło, które przez cały czas czuł na swoim karku, pochodziło od pokaźnej, kalwińskiej pupy ministra. Najwidoczniej od jakiegoś czasu przysłuchiwał się wymianie zdań przy stole.

— Nie można tego wykluczyć — zgodził się.

— A co potem?

— Potem zamówię jeszcze jedną wódkę.

Podniósł swój kieliszek z jeneverem, spojrział porozumiewawczo na De Graaffa i odwrócił się.

Nagle przy stole zapanowało milczenie. Tylko dwaj mężczyźni na lewo od Antona rozmawiali ściszymi głosami.

I w tej samej chwili Anton wyłowił uchem następujące zdanie:

— Najpierw strzeliłem mu w plecy, potem raz w ramię, a gdy już przejeżdżałem obok, w brzuch.

III

Gdzieś daleko, prawie na końcu tego ciemnego tunelu, jakim dziś jest przeszłość, rozległo się sześć wystrzałów: najpierw jeden, potem dwa, za chwilę jeszcze dwa, potem znów jeden. Matka spojrzała na ojca, ojciec na podwójne drzwi frontowego pokoju, Peter uniósł pokrywę karbidowej lampy...

Anton odwrócił głowę w kierunku mężczyzny, obok którego siedział, i zanim zdał sobie z tego sprawę, zwrócił się do niego z pytaniem:

— Czy był wtedy jeszcze czwarty i piąty strzał? A potem jeszcze szósty?

Gdy nieznamy popatrzył na Antona, jego źrenice zwężyły się. — A ty wiesz coś o tym?

— Czy chodzi o Ploega? Fake Ploega z Haarlemu? — Uplynęło kilka sekund, zanim tamten zapytał, powoli cedząc słowa:

— Kim jesteś, ile masz lat?

— Mieszkalem tam. To się zdarzyło przed naszym domem, to znaczy...

— Przed waszym domem? — Tamtego dosłownie zamurowało. Nieznajomy w ułamku sekundy wiedział, z kim ma do czynienia. Tylko na stole operacyjnym Anton widział, by ktoś bladł tak gwałtownie jak jego sąsiad. Nabrzmiała, upstrzona czerwonymi plamami twarz, charakterystyczna dla kogoś, kto nadużywa alkoholu, stała się w jednej chwili ziemisto-szara, jakby nagle zmieniło się oświetlenie. Anton dygotał z emocji.

— O, o — odezwał się inny mężczyzna, siedzący dwa miejsca dalej. — Coś wisi w powietrzu.

Wydawało się, że siedzący przy stole wyczuli, że coś jest nie w porządku. Na chwilę zapadła cisza — i natychmiast, żeby pokryć zmieszanie, wszyscy zaczęli rozmawiać jeden przez drugiego, niektórzy podnosili się już od stołu z zamiarem odejścia. De Graaff zawołał, że Anton jest jego zięciem, i chciał wdać się pomiędzy nich jako rozjemca, ale nieznajomy oświadczył, że musi sam to załatwić, i zwrócił się do Antona takim tonem, jakby miał zamiar się z nim bić:

— Chodź, wyjdziemy stąd.

Zabrał swoją marynarkę z oparcia krzesła, chwycił Antona za rękę i jak małe dziecko poprowadził pomiędzy ludźmi do wyjścia. Pod dotknięciem ciepłej ręki tego człowieka, starszego od niego o dwadzieścia lat, Anton rzeczywiście poczuł się jak dziecko; gdy brał go za rękę wuj, nigdy się tak nie czuł, odżyło natomiast wspomnienie podobnego uczucia z wcześniejszych czasów; kiedy prowadził go tak ojciec. W kawiarni nikt oprócz najbliższego sąsiedztwa nie miał pojęcia, co się dzieje, i wszyscy przepuszczali ich ze śmiechem. Z głośników dochodziła piosenka Beatlesów: *It's been a hard day's night...*

A na zewnątrz panowała cisza. Plac skąpany był w słońcu. Tu i ówdzie stało jeszcze w małych grupkach po parę osób, ale Saskii i Sandry nie było widać.

Mężczyzna rozejrzał się i powiedział: — Chodźmy.

Przeszli na drugą stronę i przez kutą w żelazie bramę znów

weszli na cmentarz. Wokół świeżego grobu okrytego kwiatami stało teraz wielu miejscowych, którzy czytali napisy na szarfach i wizytówkach. Po alejkach i innych grobach dreptały kury z przyległego gospodarstwa. Mężczyzna zatrzymał się koło kamiennej ławki stojącej w cieniu starego dębu i wyciągnął do Antona rękę:

— Cor Takes — przedstawił się. — A ty jesteś Steenwijk.

— Anton Steenwijk.

— Dla tamtych jestem Gijs — dodał, wskazując ruchem głowy w kierunku kawiarni, i usiadł na ławce.

Anton usiadł obok niego. Wcale nie chciał, żeby do tego doszło. Przedstawił się wbrew sobie samemu, odruchowo, podobnie jak nerw reaguje na uderzenie młotkiem neurologicznym. Takes wyjął z kieszeni paczkę papierosów, wyciągnął jednego do połowy i poczęstował Antona. Ten pokręcił głową, obrócił się w jego kierunku i odezwał się:

— Słuchaj, odejźmy stąd, rozstańmy się i nigdy do tego nie wracajmy. Bo i nie ma do czego wracać, naprawdę. Było, co było. Teraz to już tylko odległa przeszłość, upłynęło już od tamtej pory ponad dwadzieścia lat. Dziś mam żonę i dziecko, dobrą pracę i wszystko jest w jak najlepszym porządku. Powinienem być tylko przed chwilą trzymać dziób na kłódkę.

Takes zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i spojrzał na niego koso.

— Ale go nie trzymałeś. — I po chwili dodał: — I to już po raz drugi. — Dopiero po tym drugim zdaniu wy dostał się z jego ust wraz ze słowami obłok dymu.

Anton kiwnął głową.

— Owszem, masz rację — zgodził się.

Czuł się jakoś dziwnie pod spojrzeniem tych smutnych, ciemnobrazowych oczu. Lewe oko tamtego było nieco inne niż prawe, miało jakby grubszą źrenicę, przez co spojrzenie wydawało się bardziej przenikliwe i Anton nie potrafił znaleźć sposobu na to, żeby skryć się przed nim. Takes musiał mieć około pięćdziesiątki, ale jego twarde, sztywne, ciemne włosy tylko na skroniach lekko przyprószyła siwizna. Pod pachami koszuli widocznie były duże plamy potu. To, że oto siedzi tutaj z człowiekiem, który

owego wieczoru, w środku zimy, zastrzelili Ploega, wydawało się Antonowi jakby snem.

— Powiedziałem przed chwilą coś, czego nie powinienes być usłyszeć — odezwał się ponownie Takes — ale usłyszałeś. I wtedy powiedziałaś coś, czego nie powinienes być powiedzieć. Takie są fakty i właśnie dlatego teraz tutaj siedzimy. Wiedziałem, że żyjesz. Ile miałaś wtedy lat?

— Dwanaście.

— Znałeś tego drania?

— Tylko z widzenia — odpowiedział Anton.

— Na pewno, przecież przejeżdżał koło was regularnie.

— Chodziłem z jego synem do jednej klasy. — Mówiąc to, miał na myśli nie tamtego małego chłopca w mundurku, ale to wielkie chłopisko, które dziesięć lat temu rozbiło mu kamieniem lustro.

— Czy on czasem też nie miał na imię Fake?

— Tak.

— Były tam jeszcze dwie córki. Najmłodsza miała wtedy cztery latka.

— Tyle samo, co moja teraz.

— Sam widzisz, że nie jest to okoliczność łagodząca.

Anton poczuł się nieswojo; jakby dreszcz przebiegł mu po plecach. Znalazł się wobec czegoś niesłychanie twardego, z czym jeszcze się nie zetknął, a co jakby emanowało z tego człowieka z bliźną na policzku. Czy ma mu powiedzieć, co czuje? Nie, nie zrobi tego. Nie chce stwarzać wrażenia, że go atakuje; a ponadto niczym by go nie zdziwił. Było jasne, że siedzi obok człowieka, na którym podobne odczucia już od dawna nie robią wrażenia.

— Chciałbyś usłyszeć, co to był za oprawca z tego Ploega?

— Wolałbym nie.

— Ale ja ci i tak opowiem. Ukręcił bicz, w który wplótł drut kolczasty. Zdierał nim człowiekowi skórę z twarzy i gołej dupy, którą potem sadzał cię na gorącym piecu. Wpychał ci do odbytu wąż ogrodowy i tak długo pompował wodę, dopóki nie wyrzygałeś własnej krtani. Wykończył nie wiem ilu ludzi, a jeszcze więcej wysłał na śmierć do Polski i do Niemiec. Jasne, że trzeba go było sprzątnąć. Zgadzasz się? — A gdy Anton nie odpowiadał, dodał: — Tak czy nie?

— Tak — odpowiedział Anton.

— No tak, a z drugiej strony, wiedzieliśmy oczywiście, że Niemcy będą na pewno się mścić.

— Panie Takes — przerwał mu Anton — jeśli dobrze rozumiem....

— Dla ciebie jestem Gijs.

— ... jeśli dobrze rozumiem, pan usiłuje się usprawiedliwiać. Ale ja przecież o nic pana nie obwiniam.

— Ja się nie usprawiedliwiam przed tobą.

— To w takim razie przed kim?

— Hm, sam tego nie wiem — odpowiedział zniecierpliwiony.

— W każdym razie nie przed samym sobą, ani przed Bogiem, ani przed czymś innym równie cnotliwym, wzniosłym i szlachetnym. Boga nie ma i mnie być może też nie. — Palcem wskazującym, tym, którym kiedyś pociągał za spust, strząsnął na ziemię popiół z papierosa. Rozejrzał się po cmentarzu. — Wiesz, kto istnieje? Umarli. Umarli przyjaciele.

Jakby chcąc go przekonać, że jednak istnieje wola niebios, słońce skryło się w tym momencie za małym obłoczkiem, w następstwie czego barwy na grobie jakby nagle się opamiętały i poczuły skruchę, a szare kamienie nagrobków stały się jeszcze twardsze. Jednak już po chwili wszystko na nowo było zalane słonecznym światłem. Anton rozmyślał, czy sympatia, jaką odczuwa dla siedzącego obok mężczyzny, nie jest czasem powodowana czymś dwuznacznym; oto on przez tego właśnie człowieka ma swój udział w tym akcie przemocy, tak więc teraz nie jest już tylko ofiarą. Ofiarą? Oczywiście, że jest ofiarą, choć przecież żyje; równocześnie jednak czuł się ciągle tak, jakby chodziło tu nie o niego, ale o kogoś innego.

Takes zapalił kolejnego papierosa.

— No dobrze, a zatem wiedzieliśmy, że nastąpią represje. Że spalą dom, że rozstrzelają tam zakładników. Ale czy z tego powodu mieliśmy zrezygnować?

Gdy po tych słowach przez dłuższą chwilę się nie odezwał, Anton spojrzał na niego.

— Oczekuje pan ode mnie odpowiedzi?

— Oczywiście.

— Nie udzielę jej panu. Nie znam jej.

— No to ja ci jej udzielię. Brzmi ona „nie”. Stwierdzenie, że gdybyśmy nie zlikwidowali Ploega, to twoja rodzina jeszcze by żyła, jest prawdą. Jest to bardzo prosta prawda i nic ponadto. Ale stwierdzenie, że twoja rodzina nadal by żyła, gdyby twój ojciec wynajął niegdyś inny dom, też jest prawdą. Być może siedziałbym wtedy tutaj z kimś innym. O ile to samo nie zdarzyłoby się na innej ulicy, bo przecież Ploeg też mógłby wówczas mieszkać gdzie indziej. Tego rodzaju prawdy niczemu jednak nie służą. Jedyna prawda, która rzeczywiście czemuś służy, jest taka: każdy został wykończony przez tego, który go wykończył, a nie przez kogoś innego. Ploeg przez nas, twoja rodzina przez szkopów. Uznając, że nie powinniśmy byli tego zrobić, powinieś także uznać, że byłoby lepiej, gdyby ludzkość w ogóle nie istniała, biorąc pod uwagę jej przeszłość. Bo cała miłość i szczęście, i dobroć tego świata nie może zrównoważyć śmierci choćby jednego dziecka. Na przykład twojego. Zgadzasz się z tym?

Anton, zbity z tropu, patrzył w ziemię. Nie do końca to wszystko rozumiał, tak naprawdę, to nigdy nad podobnymi sprawami się nie zastanawiał, podczas gdy Takes, być może, myślał wyłącznie o tym.

— No więc zrobiliśmy to. Wiedzieliśmy...

— Czy to, co wiedzieliście, istotnie równoważyło tamto? — przerwał mu nagle Anton.

Takes rzucił papierosa pod nogi i butem roztarł go na miazgę tak dokładnie, że pozostało zaledwie kilka okruchów tytoniu, na które nagarnął żwiru. Nie odpowiedziawszy na pytanie, kontynuował:

— Wiedzieliśmy, że zapewne co najmniej jeden dom zostanie zniszczony. Jak na tych oprawców, to można powiedzieć, że okazali się i tak dość łagodni. Nie wiedzieliśmy tylko, który to będzie dom. Wybraliśmy waszą ulicę, bo tam właśnie było najspokojniej i stamtąd mogliśmy najszybciej uciec. A trzeba było uciec, bo na naszej liście mieliśmy więcej takich szubrawców jak Ploeg.

— A gdyby to twoi rodzice — zaczął Anton z namysłem — mieszkali w jednym z tych domów, czy też byś się na to zdecydował?

Takes wstał, zrobił dwa kroki i odwrócił się.

— Nie, do jasnej cholery! — wybuchnął. — Oczywiście, że nie. O co ci właściwie chodzi? Nie zdecydowałbym się, gdyby można to było zrobić gdzie indziej. A czy wiesz, że wśród zakładników, których rozstrzelano tamtej nocy, był mój najmłodszy brat? I ja wiedziałem, że on był zakładnikiem. Może cię zainteresuje, co moja matka na to powiedziała? Uznała, że tak powinno być. Jeszcze żyje, możesz ją sam o to spytać. Dać ci może jej adres?

Anton starał się nie patrzeć w lewe oko Takesa.

— Do diabła, patrzysz na mnie takim wzrokiem, jakbym to ja był wszystkiemu winien. Przecież miałem wtedy dwanaście lat i gdy to się zdarzyło, siedziałem przy stole i czytałem książkę.

Takes znów usiadł na ławce i zapalił papierosa.

— Tylko idiotyczny przypadek zdecydował, że stało się to przed waszym domem.

Anton spojrzał na niego z boku.

— To się nie stało przed naszym domem — powiedział.

Takes powoli odwrócił głowę w jego kierunku.

— I beg your pardon?

— To się stało przed domem naszych sąsiadów. I ci sąsiedzi złożyli Ploega przed naszym domem.

Takes wyciągnął nogi, skrzyżował stopy, jedną rękę włożył do kieszeni. Kiwając głową popatrzył przed siebie.

— Lepszy bliski sąsiad niż daleki przyjaciel — odezwał się po chwili. Zatrząsał się lekko, może od cichego śmiechu. — Co to byli za ludzie?

— Pewien wdowiec z córką. Marynarz.

Takes znowu pokiwał głową i powiedział:

— To ci dopiero historia... tak, może być oczywiście i tak: przypadkowi można dopomóc.

— Ale czy wolno tak zrobić? — zapytał Anton i natychmiast się zreflektował, że pytanie jest dziecinnie naiwne.

— Czy wolno? — powtórzył po nim Takes. — Zapytaj o to pastora, gdzieś go tu widziałem. Odmów im racji z ich punktu widzenia. W trzy sekundy później stałoby się to przed waszym domem.

— Pytam dlatego — wyjaśnił Anton — że mój brat próbował

wtedy przenieść Ploega przed następny dom albo położyć go na poprzednie miejsce, dokładnie nie wiem, i wtedy właśnie nadjechała policja.

— O Boże, dopiero teraz rozumiem! — zawołał Takes. — To dlatego on się znalazł na ulicy! Ale skąd miał pistolet?

Anton popatrzył na niego zdziwiony.

— Skąd wiesz, że miał pistolet?

— A jak myślisz? Stąd, że po wojnie próbowałem dowiedzieć się jak najwięcej o tej historii.

— To był pistolet Ploega.

— Cóż to za pouczający dzień, iluż to nowych rzeczy się dowiaduję — stwierdził Takes, wypowiadając powoli każde słowo. Zaciągnął się papierosem i kącikami ust wydymuchał dym.

— A kto mieszkał w następnym domu?

— Dwoje starszych ludzi.

Antonowi stanęła przed oczami tamta drżąca ręka wyciągnięta w jego kierunku. „Ogórki są jak krokodyłe”. Powiedział to kiedyś Sandrze, ale ona wcale się nie roześmiała, uznała, że tak jest naprawdę

— No tak — odezwał się Takes — i właśnie gdy chciał go przenieść, wszystko diabli wzięli. — I zaraz dodał: — Boże, Boże, toż to paranoja: Nosić sobie trupa tam i z powrotem. Co z was za osły, wy wszyscy tam, to się w głowie nie mieści.

— A co należało zrobić?

— Oczywiście wciągnąć go do środka — mruknął Takes. — Powinniście go byli jak najszybciej wciągnąć do domu!

Anton gapił się na niego oniemiały. Ależ oczywiście! Jajko Kolumba! Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Takes kontynuował:

— Pomyśl tylko. Usłyszeli gdzieś strzały, gdzieś w okolicy, ale nie wiedzieli dokładnie, gdzie. Co by zrobili, gdyby na ulicy niczego nie znaleźli? Przecież wcale nie pomyśleliby zaraz o zamachu. Sądziliby, że to gajowy strzelał do kłusownika albo coś podobnego. A może ktoś z waszych sąsiadów był w NSB i chcieliście mu dać nauczkę?

— Nie, ale co byśmy wtedy zrobili z tym trupem?

— Czy ja wiem? Schowalibyście gdzieś. Pod podłogą albo zakopalibyście go w ogrodzie. Albo jeszcze lepiej: natychmiast

zjedli. Wspólnie z sąsiadami upiekli i zjedli. Była to przecież owa pamiętna, głodowa zima, no nie? Konsumowanie przestępców wojennych to nie kanibalizm.

Teraz Antonem wstrząsał pusty śmiech. Wyobraził sobie, jak jego ojciec, sekretarz sądu, piecze i zajada inspektora policji. De gustibus non est disputandum.

— Myślisz może, że takie rzeczy się nie zdarzały? Zdaje ci się. Wszystko się zdarzało. Nigdy by ci do głowy nie przyszło to, co się naprawdę zdarzało, a i gorsze rzeczy też bywały.

Ludzie, którzy przyszedli nad świeży grób lub od niego odchodzili, spoglądali na tych dwóch mężczyzn siedzących na kamiennej ławce pod drzewem. Jeden z nich był znacznie młodszy od drugiego. Gdy inni już od dawna siedzieli w barze, ci tutaj wciąż boleli po stracie przyjaciela. Zapewne przywoływali wspomnienia: a pamiętasz, jak wtedy... I przechodząc koło nich, milkli spe-
szeni.

— Łatwo ci mówić — stwierdził Anton. — Tyle, że ty nie myślałeś o niczym innym jak tylko o tym i, jak mi się zdaje, dalej o tym myślisz. Ale my siedzieliśmy w domu przy stole, czytaliśmy i nagle usłyszeliśmy strzały na ulicy.

— Wtedy też od razu przyszłoby mi to samo do głowy.

— Z pewnością, ale z tego właśnie względu byłeś w grupie uderzeniowej. A mój ojciec był tylko sekretarzem sądu, nigdy niczego nie robił, zawsze tylko zapisywał to, co robili inni. Nawiasem mówiąc, nie było wtedy nawet czasu na myślenie. Choć... — urwał w pół słowa i spojrzał w górę na listowie — najpierw była mała sprzeczka...

W to jasne południe Anton oczami wyobraźni ujrzał nagle niezrozumiałe ruchy w głębokiej ciemności, w korytarzu, tak jakby Peter upadł na gałęzie, usłyszał jakieś krzyki, chodziło, zdaje się, o klucz... Wspomnienie rozwinęło się jak fragment snu, który człowiek usiłuje przypomnieć sobie za dnia.

Takes przywołał go do rzeczywistości. Obcasem zrobił na ścieżce cztery pionowe kreski.

— Stały tam przecież cztery domy, tak? — zapytał Antona.

— Tak.

— A wy mieszkaliście w drugim od lewej?

— Widzę, że masz dobrą pamięć.

— Pewnego razu odwiedziłem to miejsce. Bohaterowie zawsze wracają na miejsce, w którym dokonali swoich bohaterskich czynów — jest to ogólnie znana prawda. Chociaż... może być i tak, że jestem właśnie tym jedynym, który to zrobił. W każdym razie, jeśli chodzi o to wasze nabrzeże. No dobrze. Wiem już, że Ploeg leżał przed waszym domem, ale gdzie leżał najpierw, koło domu tych po prawej czy tych po lewej?

— Przed tym — odpowiedział Anton wskazując butem drugi dom od prawej.

Takes pokiwał głową i patrzył na kreski.

— Sorry, ale w takim razie muszę jeszcze o coś zapytać. Dlaczego sąsiad, ten marynarz, położył go przed waszym domem a nie tam, koło domu sąsiadów?

Anton też popatrzył na kreski.

— Nie mam pojęcia. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— Chyba musiał istnieć jakiś powód. Czy miał coś do was?

— Nic o tym nie wiem. Nieraz tam zachodziłem. Odnosili się niechętnie raczej do tamtych z drugiej strony, bo tamci wszystkim traktowali z góry.

— A nigdy nie próbowałeś się dowiedzieć, jaki mógł być powód? — zapytał Takes patrząc na niego z nieskrywanym zdziwieniem. — Czy mogło cię to tak zupełnie nie obchodzić?

— Nie obchodzić, nie obchodzić... Mówiłem ci już przecież, że nie odczuwałem żadnej potrzeby, żeby wracać do tamtych spraw. Stało się to, co się miało stać i cześć. Nic tu się już nie da zmienić, nawet przez zrozumienie czy poznanie. To była wojna, jedno wielkie szambo, moją rodzinę zamordowano, a ja ocalałem, wzięli mnie do siebie wujostwo i moje życie ułożyło się dobrze. Słusznie zastrzeleliś tego drania, nie czynię ci z tego powodu najmniejszego zarzutu; przekonuj o tym swojego syna, mnie przekonywać nie trzeba. Nie rozumiem, dlaczego chcesz się w tym teraz jeszcze głębiej grzebać? Co ci to da? Wszak dziś to już tylko historia, zamierzchłe dzieje. Ile to już razy zdarzył się taki wypadek od tamtego czasu? Może akurat teraz, właśnie w tej chwili, też gdzieś dzieje się coś takiego, a my tu sobie siedzimy i gadamy? Czy ręczysz głową za to, że teraz nie podpalają gdzieś czyjeś domu miotaczem ognia? Na przykład w Wietna-

mie? O czym ty właściwie mówisz? Gdy przed chwilą zabrałaś mnie z baru, pomyślałem, że chodzi ci o stan mojego ducha, okazało się jednak, że nie, a przynajmniej że niezupełnie. Jak widać, ciebie to bardziej gnębi niż mnie. Mam wrażenie, że nie potrafisz rozstać się z wojną, choć czas idzie naprzód. A może żałujesz tego, co zrobiłaś?

Mówił dość prędko, ale spokojnie, instynktownie wyczuwając, że musi się opanować, aby zniecka nie urazić tamtego.

— Gotów jestem jutro zrobić to samo, gdyby było trzeba — odparł Takes bez wahania. — I być może jutro będzie to potrzebne. Wytrzebiłem cały pluton tej zarazy i nadal sprawia mi to cichą satysfakcję. Ale tamta akcja koło was, na nabrzeżu... z tym było związane coś więcej, tam wydarzyło się coś szczególnego. — Takes oparł dłonie o krawędź ławki i zmienił pozycję. — Przyznam ci się, że później wołałem, aby ta akcja wcale się nie odbyła.

— Czy dlatego, że zginęli przy tym także moi rodzice?

— Nie — odparł Takes zdecydowanie. — Przykro mi, że tak wprost ci to mówię. Tego nie można było ani przewidzieć, ani się spodziewać. Stało się to być może dlatego, że złapano twojego brata z bronią w ręce, albo z jakiegoś innego powodu, albo w ogóle bez powodu, sam nie wiem.

— Prawdopodobnie sprawa przybrała taki obrót dlatego — powiedział Anton ze spuszczoną głową — że moja matka rzuciła się na szefa tych szkopów, którzy do nas przyszli.

Takes siedział w milczeniu i patrzył przed siebie. Po chwili odwrócił się do Antona i powiedział:

— Przyszedłem tutaj z tobą nie po to, żeby cię zanudzać opowieściami o mojej nostalgii za wojną, choć być może tak to odbierasz. Znam tego rodzaju ludzi, ale sam do nich nie należę. Tacy jeżdżą co roku na urlop do Berlina i najchętniej powiesiliby sobie nad łóżkiem portret Hitlera. Ale mnie chodzi o to, że w tej akcji w Haarlemie był jeszcze pewien szczególny element.

W oczach Takesa pojawił się jakiś dziwny błysk, Anton spostrzegł, że kilkakrotnie nerwowo przełyka ślinę. — Twój rodzice i twój brat oraz rozstrzelani zakładnicy nie byli jedynymi, którzy przypłacili tę akcję życiem. Gdy strzelałem do Ploega, nie

byłem sam. Było nas tam dwoje. Towarzyszył mi ktoś... powiedzmy, że była to moja przyjaciółka. Ale dajmy temu spokój, nie ma o czym mówić.

Anton wpatrywał się w niego szklanym wzrokiem i nagle stare wspomnienie odżyło. Zasłoniwszy oczy rękami odwrócił się i zaszczołał. Ona umarła. Umarła dla niego w tym momencie, po dwudziestu jeden latach, a równocześnie zmartwychwstała, jako ta, która w jego życiu odegrała tak ważną rolę, przez te dwadzieścia jeden lat ukryta w ciemności, on zaś właściwie o niej nie myślał, bo wtedy musiałby się zastanowić, czy jeszcze żyje. Jeszcze przed chwilą szukał jej w kościele, a potem w kawiarni — dopiero teraz to sobie uświadomił. I dlatego przyjechał na ten pogrzeb, z którym właściwie nie miał nic wspólnego. Poczul na ramieniu dłoń Takesa.

— A cóż to znowu?

Odsunął swoje ramię. Oczy miał suche.

— Jaki był jej koniec? — zapytał.

— Na trzy tygodnie przed wyzwoleniem została rozstrzelana na wydmach. Jest pochowana na Cmentarzu Zasłużonych. Ale dlaczego, do diabła, tak się tym przejąłeś?

— Bo ja ją poznałem — odpowiedział cicho Anton. — Różmawiałem z nią. Tamtej nocy siedzieliśmy w jednej celi.

Takes spojrział na niego z niedowierzaniem w oczach.

— Skąd wiesz, że to była ona? Wiesz, jak się nazywała? Nie powiedziała przecież, kim jest.

— Nie, ale jestem pewien, że to ona.

— Powiedziała może, że brała udział w tej akcji?

Anton pokręcił głową.

— Nie, tego też nie, ale ja jestem całkowicie pewien.

— Skąd, do jasnej cholery! — wykrzyknął nieomal Takes. — Jak wyglądała?

— Tego nie wiem, było zupełnie ciemno.

Takes zastanowił się przez chwilę.

— Poznałbyś ją, gdybyś zobaczył jej zdjęcie?

— Ależ, Takes, ja jej w ogóle nie widziałem. Ale... chętnie zobaczyłbym jej zdjęcie.

— Co ci wtedy powiedziała, musiałeś chyba coś zapamiętać!
Anton wzruszył tylko ramionami.

— Chciałbym sobie przypomnieć. To było tak dawno... Była ranna.

— Gdzie?

— Nie mam pojęcia.

Takesowi zaszklili się oczy.

— To musiała być ona — zgodził się. — Jeżeli nie powiedziała, kim jest... Ploegowi udało się ją jeszcze w ostatniej chwili postrzelić, gdy już prawie byliśmy za rogiem.

Gdy Anton dostrzegł łzy w jego oczach, sam nie mógł powstrzymać się od płaczu.

— Jak miała na imię?

— Truus. Truus Coster.

Tych parę osób, które stało jeszcze przy świeżym grobie, patrzyło kątem oka już tylko na nich. Być może dziwili się temu, że dwóch dorosłych mężczyzn tak się mogło zapamiętać w żalu po zmarłym przyjacielu, a może właściwie tylko tak udawali...

— O, patrz, tam siedzą, ci kawalarze!

To był głos teściowej Antona. Saskia ciągnąc w kilwaterze Sandrę przekroczyła z godnością cmentarną bramę: po oślepiąco jasnym tłuczniu alejki nadciągały dwie czarne postacie i jedno dziecko w bieli. Sandra wykrzyknęła: Papa!, odrzuciła w biegu lalkę i puściła się biegiem w kierunku Antona. Ojciec wstał, złapał córeczkę w rozłożone ramiona i uniósł do góry. Saskia patrzyła na niego oczami, z których można było wyczytać, że się o niego niepokoiła. Anton kiwnął uspokajająco głową w jej kierunku. Ale teściowa, opierając się na czarnej, lśniącej lasce ze srebrnym uchwytem, nie dała tak łatwo za wygraną.

— No co, siedzicie tu sobie trochę pochlipując, tak? — zapytała rozeźlona, na co Sandra odwróciła szybko główkę i spojrzała ojcu w twarz. Pani De Graaff wydała taki odgłos, jakby ją zemdliło.

— Niedobrze mi się robi, jak na was patrzę. Nie moglibyście zostawić w spokoju tę przeklętą wojnę? Gijs, czy ty aby nie robisz mojemu zięciowi wody z mózgu? No? tak, to znowu ty. — Wydała z siebie dziwny, jakby drwiący chichot, przy którym zatrzęsły się jej duże policzki. — Jak to wygląda, stoicie niczym dwaj nekrofile, których przyłapano na gorącym uczynku. I do tego na cmentarzu! Kończcie czym prędzej i chodźcie z nami. —

Odwróciła się i ruszyła z powrotem, wskazawszy laską leżącą na ziemi lalkę i nie wątpiąc nawet przez chwilę, że jej polecenie zostanie posłusznie wykonane.

Tak się też oczywiście stało.

— Sama nie wierzysz, żeby to było możliwe — odpowiedział jej Takes, też z dziwnym uśmiechem, świadczącym o tym, że miał już wcześniej do czynienia z panią De Graaff. Gdy Anton spojrział na niego, rzucił w jego kierunku: — Królowa Wilhelmina.

Słuchając Sandry, która opowiadała, że była z mamą w domu tego umarłego pana i dostały tam dwie szklanki „ranżady”, wrócili na plac. Kawiarnia już pustoszała. Przed drzwiami stał samochód z proporczykiem i szoferem przy tylnych drzwiach. Anton czuł na sobie badawcze spojrzenia, choć prawdę mówiąc nikt się nim zbytnio nie interesował. Sandra poszła z babcią po dziadka De Graaffa. Saskia trzymając lalkę w ręce oświadczyła, że mała powinna coś zjeść, i zaproponowała matce, żeby razem pojechać gdzieś za miasto na obiad.

— Nie ruszaj się przez chwilę — poprosił Takes Antona.

Anton zatrzymał się i poczuł, że Takes coś pisze, oparłszy kalendarzyk na jego plecach. Gdy Saskia znów spojrzała na niego tym sanym wzrokiem, co przed chwilą na cmentarzu, mrugnął do niej na znak, że wszystko w porządku. Takes wyrwał kartkę z kalendarzyka, złożył ją i wsunął Antonowi do butonierki. W milczeniu podał mu rękę, skinął głową Saskii i wszedł do kawiarni.

Stojący przy krawężniku Jaap próbował uruchomić swój motorower. Gdy wreszcie zawarczał, z kawiarni wyszedł minister z De Graaffem. Kierowca zdjął czapkę i otworzył drzwi samochodu. Ale minister podszedł najpierw do Jaapa i podał mu rękę.

— Do widzenia, Jaap.

— Cześć — odpowiedział Jaap. — Do następnego razu.

Sandra chciała oczywiście jechać z dziadkami. Anton jechał pierwszy, prowadząc bocznymi drogami do znanej sobie restauracji. Mógłby teraz bez przeszkód rozmawiać z Saskią o tym, co się wydarzyło, ale nie uczynił tego. Siedział w milczeniu za kierownicą, a ją nauczono jeszcze w domu, że też powinna milczeć w obecności ludzi, którzy wychynęli z wojny. Zapytał tylko, czy było to coś w rodzaju pojednania, na co Anton odpowiedział: — Coś w tym sensie — choć nie było to ściśle zgodne z prawdą. Patrzył na drogę z takim uczuciem, jakby za długo siedział w gorącej kąpieli. Starał się przemyśleć całą tę rozmowę, ale czuł, że jeszcze nie wie, jak się do tego zabrać. Tak jakby wciąż jeszcze nie było o czym myśleć. Gdy przypomniał sobie zwitek papieru, który Takes wsunął mu do kieszonki marynarki, wyjął go i rozwinął palcami jednej ręki. Był na nim zapisany adres i numer telefonu.

— Spotkasz się z nim? — zainteresowała się Saskia.

— Nie sądzę — odpowiedział.

— Ale chyba tego nie wyrzucisz.

Uśmiechnął się, spojrzawszy na nią przelotnie.

— Chyba nie wyrzucę.

Restauracja, do której po dziesięciu minutach dojechali, była na solidny, prowincjonalny sposób elegancka. Wewnątrz, w dużym, niskim budynku z wysokim, stromym dachem, służącym niegdyś za mieszkanie i stajnię, obecnie stylowo przebudowanym, było chłodno i pusto. Konsumowano w ogrodzie, w cieniu drzew, gdzie obsługiwali kelnerzy w spódniczkach.

— Ja chcę patatjes — zawołała Sandra, biegnąc do nich z druciego samochodu.

— Patatjes — powtórzyła pani De Graaff, z podobnym jak poprzednio obrzydzeniem. — Jakież to wulgarnie określenie... — i zwracając się do Saskii dodała: — Czy naprawdę nie mogłabyś nauczyć swojego dziecka, że to paskudztwo nazywa się pommes frites?

— Niechże to małeństwo zje sobie patatjes — wtrącił się De Graaff — jeśli nie ma ochoty na pommes frites.

— Ja chcę patatjes.

— Dostaniesz patatjes — zapewnił małą De Graaff, kładąc dłoń na jej główce. — Z jajecznicą. A może wolisz scrambled eggs?

— Nie, jajecznicę.

— No to proszę, siadajmy, tato — przerwała mu Saskia.

De Graaff zajął główne miejsce przy stole, oparłszy się znów wyprostowanymi rękami o jego krawędź. Gdy kelner chciał położyć przed nim kartę, odsunął ją wierzchem dłoni.

— Dla mężczyzn ryba. A dla panienki frytki z jajecznicą. I Chablis w oszronionym wiaderku z lodem. Gdy widzę ciebie w tym ubraniu, czuję przyływ apetytu. — Musiał chwilę odczekać, drapując sobie przez ten czas na kolanach serwetkę, zanim jego małżonka przewycięży krótki napad śmiechu.

— Znacie chyba wszyscy anegdotę o Dickensie? Co roku w wigilijny wieczór podejmował swoich przyjaciół kolacją. Trzaskający na kominku ogień, zapalone świece. A gdy tak siedzieli, zjadając wigilijną gęś, słyszeli za oknem głos samotnego włóczęgi, przytupującego na śniegu dla rozgrzewki, wymachującego energicznie ramionami, wołającego co parę minut: „Uh, jaki mróz!” Wynajmowano go specjalnie po to, żeby zwiększyć kontrast z ciepłą atmosferą domu.

Roześmiewszy się, De Graaff spojrział na Antona, siedzącego naprzeciwko. Swoim udawanymżywieniem starał się dopomóc zięciowi wrócić do równowagi, ale gdy napotkał jego wzrok, śmiech zamarł mu na ustach. Złożył serwetkę obok talerza, dał znak głową i wstał. Anton też wstał i poszedł za nim. Gdy i Sandra chciała się podnieść, pani De Graaff poleciła jej:

— Zostań.

Zatrzymali się nad szerokim, pokrytym rżesą rowem, oddzielającym zagrodę od pastwiska.

— No i jak, Anton?

— Dam sobie z tym radę, tato.

— To cholerny idiota, ten Gijs. Niezły z niego numer. Podczas wojny był torturowany i nie puścił pary z ust, a teraz dopiero się rozgadał. Jak to się stało, na litość boską, że siedziałeś obok niego!?

— I to w pewnym sensie już po raz drugi — dodał Anton.

De Graaff spojrział na niego wzrokiem, w którym wyczytać można było pytanie.

— Hm, i na dodatek jeszcze i to — powiedział, gdy zrozumiał, co Anton ma na myśli.

— Ale właśnie dlatego wszystko do siebie pasuje. Chodzi mi o to, że to wszystko się zazębia.

— Zazębia się — powtórzył De Graaff i pokiwał głową. — No tak — dodał — mówisz zagadkami, ale to jest zapewne twój sposób wprowadzania spraw na czysto.

Anton roześmiał się.

— Ja sam nawet za bardzo nie wiem, o co mi właściwie chodzi.

— To w takim razie kto ma wiedzieć? Najważniejsze jednak, że nad tym panujesz. Być może dla ciebie szczęśliwie się złożyło, tak jak się właśnie złożyło. Wszyscy odłożyliśmy kiedyś te sprawy na bok, a dziś pojawiają się problemy. Słyszę to ze wszystkich stron. Te dwadzieścia lat były jakby okresem inkubacji naszej choroby. Moim zdaniem wydarzenia w Amsterdamie są też jakąś tego pochodną.

— Po tobie jednak wcale nie widać, by ci to w jakikolwiek sposób doskwierało.

— No tak... — odpowiedział De Graaff, starając się czubkiem swego czarnego trzewika wydłubać z ziemi kamień, obrośnięty trawą i zielskiem, które mocno go przytrzymały — no tak... — A gdy mu się to nie udało, spojrział na Antona i skinął mu głową. — Czy nie sądzisz, że najlepiej będzie, jeśli wrócimy do stołu?

Gdy De Graaffowie wyruszyli w kierunku Geldrii, Saskia i Anton udali się kolejno do toalety, skąd wyszli przebrani w lekkie, letnie rzeczy. Po tym przeobrażeniu wsiedli do auta i pojechali do Wijk aan Zee.

Na końcu wąskiej drogi, biegnącej pomiędzy wydrami, przy której jeszcze tu i ówdzie sterczały betonowe bunkry dawnego Wału Atlantyckiego, aż po sam horyzont rozciągało się gładkie, spokojne morze. Był to normalny dzień tygodnia, kiedy wszyscy pracują, więc na plaży było tylko kilka matek z małymi

dziećmi. Przeszli na bosaka najpierw po gorącym piasku, potem przez pas suchych, ostrych muszli na linii przyływu, dochodząc do najdalej wybiegających na piasek języków fal. Dopiero tu było trochę chłodniej. Saskia i Sandra natychmiast zrzuciły swoje łaszki i pobiegły do ciepłego rozlewiska oddzielonego piaszczystą łąką od morza, Anton natomiast najpierw przygotował grajdoł, potem porozkładał ręczniki, pod jeden wsunął powieść kryminalną, poukładał rzeczy i ubrania, przygotował wiaderko i łopatkę dla Sandry, schował zegarek do torby żony i dopiero ruszył w kierunku wody, tej głębokiej. Za drugą podwodną łąką, tam gdzie już nie czuł gruntu pod stopami, woda była naprawdę zimna. Był to dziwny, nieprzyjemny chłód, który go nie odświeżył: emanacja zimnej, śmiertelnie groźnej głęбини, która starała się go wciągnąć. Popływał jednak trochę w kółko. Choć był zaledwie dwieście metrów od brzegu, nie przynależał już do ładu. Brzeg stał cichy; rozciągał się na lewo i na prawo, ale jako coś zupełnie innego niż to, w czym Anton przebywał teraz. Widział wydmy, latarnię morską, niskie budynki z wysokimi antenami. Nagle poczuł się zmęczony i samotny, zaczął szczerkać zębami, popłynął do brzegu najszybciej jak potrafił, jakby chcąc umknąć przed nadciągającym spoza horyzontu nieznanym niebezpieczeństwem. Morze było coraz cieplejsze i gdy tylko poczuł grunt pod nogami, zaczął iść. Woda, w której bawiły się Saskia i Sandra, była ciepła jak w wannie. Tam położył się na plecach, na twardych fałdach piasku, rozłożył ramiona i westchnął głęboko.

— Tam dalej jest zimno — odezwał się.

Po wyjściu na plażę przesunął swój ręcznik o kilka metrów do tyłu, na gorący, biały piasek. Saskia usiadła obok niego i razem patrzyli na Sandrę, która z kolei z należytego dystansu przyglądała się innej dziewczynce, swojej rówieśniczce, zajętej budowaniem zamku z piasku. Po chwili przyłączyła się do niej w milczeniu, czego tamta jakby nie zauważyła.

— Jak się czujesz? — zapytała go Saskia.

Objął ją ramieniem.

— Dobrze.

— Zrzuć to w końcu z siebie.

— Już to zrobiłem. — Położył się na brzuchu. — Słońce dob-

rze mi zrobi. — Złożył twarz na skrzyżowanych ramionach i zamknął oczy. Wzdrygnął się, czując płynący po plecach i boku łaskotliwy strumyczek olejku, po czym dłonie Saskii zaczęły natłuszczać mu skórę...

Gdy po jakimś czasie gwałtownie podniósł głowę, zorientował się, że zapewne na chwilę się zdrzemnął. Usiadł i spojrzął na Saskię, która, ukłękawszy, nacierała Sandrę, na co mała wcale nie zwracała uwagi. Słońce stało w zenicie. Powietrze było nagrzane do niemożliwości. Od strony wody dochodziły odgłosy głośniego baraszkowania, pod rozciągniętym daszkiem z żaglowego płótna dwaj chłopcy grali na gitarach. Maluchy zawzięcie wbiegały co chwila do wody, szybko wracały na piasek i wylewały z wiaderek wodę do swoich dołków, w przekonaniu, że w nich pozostanie. Anton wyjął spod ręcznika książkę i próbował trochę poczytać, ale bez słonecznych okularów nawet w cieniu jego głowy papier oślepiał.

Sandra zaczęła marudzić i Saskia jeszcze raz poszła z nią do wody. Gdy wróciły, wybrały się do nieco dalszego rozlewiska, ale już po chwili Sandra przybiegła zapłakana do Antona. Chłopcy muszlami rozbijali tam na kawałki dużą jak patelnia meduzę i meduza nie mogła im nic za to zrobić. Z odziedziczoną po matce stanowczością mała zaczęła zbierać swoje rzeczy.

— Pójdę z nią do wsi, zrobię zakupy i będziemy się szykować do powrotu. To dziecko pada ze zmęczenia. Najpierw ten kościół, potem pogrzeb, dom pogrzebowy... — Przykucnąwszy wycierała do sucha małą, która cała się trzęsła.

— To lepiej jedźmy od razu.

— Nie, zostań tu jeszcze trochę, bo z tobą potrwa to jeszcze dłużej. Tylko się czegoś napijemy i przyjeżdżamy po ciebie.

Patrzył za nimi, żeby im pomachać, ale wspinały się na wydmę nie oglądając się za siebie. Gdy zniknęły za jej grzbietem, Anton, lśniący od potu, położył się na plecach i zamknął oczy...

Stopniowo odgłosy na plaży zaczęły zanikać, jakby wchodziły w skorupę jakiejś wielkiej kuli, tak wielkiej, jak kopuła nieba. A on leżał, czy też unosił się w jej środku, w pustej, różowej przestrzeni, która szybko odrywała się od tego świata. Dało się słyszeć jakieś dudnienie, dochodzące jakby spod ziemi, ale nie było ziemi; to było tupanie, dudnienie samej przestrzeni. Za-

częło się ściemniać i trochę się zachmurzyło, tak jak w szklance wody, gdy wpadnie do niej kropla atramentu: ciemne, rozplývające się smugi, plazmatyczny ruch, przemiana formy, zmienność kształtów, jakaś niewyraźna ręka, która zmienia się w twarz staroświeckiego profesora z bródką w szpic, a następnie w przystrojonego cyrkowego słonia na platformie kolejowej. Dudnienie przechodzi w stukot pociągu na niezliczonej ilości zwrotnic, to znowu w jakiś fragment muzyczny i dalej w falujące zboże. Wszystko staje się coraz bardziej czarne w ciemności zapadającej nocy. Z przystrojonego piórami hełmu rycerskiej zbroi zatrzepotał jeszcze na chwilę jaskrawy płomień i nagle wszystko stało się twarde, stałe. Znowu zajaśniało światło. Oto jakieś gigantyczne drzwi z różowego kryształu, nie oświetlone światłem, lecz same światło emanujące. A nad tymi drzwiami — dwa amorki ze skrzydłami z powycinanych w rąbki liści, też z kryształu. Drzwi są zamknięte wbudowanymi, czy też zatopionymi w nie różowymi, żelaznymi sztabami. Anton widzi, że po tylu latach wszystko nadal jest w jak najlepszym porządku, nic nie uszkodzone; znowu jest w domu, w „Wypoczynku”. Nie bacząc na zamknięcia wchodzi do środka, lecz pokoje są puste. Wnętrze zostało przebudowane, zmienione nie do poznania, wszędzie porozmieszczano rzeźby, ornamenty i ozdoby aż do przesytu. Panuje tu zupełna ciemność, jak pod wodą. Z wielkim trudem, jakby coś go powstrzymywało, sunie przez pokoje, które stały się salami. Nagle zdaje mu się, że rozpoznaje na końcu mały gabinet ojca. Ale tam, gdzie kiedyś była skośna ściana, jest teraz szklana dobudówka, przypominająca wielką szklarnię lub ogród zimowy z małą fontanną i smukłą, kredowo białą fasadą greckiej świątyni...

Anton leżał na kanapie w samych kąpielówkach, drzwi balkonowe były szeroko otwarte na ciepły letni wieczór. Pokój rozjaśniały jedynie resztki światła późnego zmierzchu i uliczne latarnie. Teraz dopiero było widać, jak spalił sobie na słońcu twarz, piersi i nogi z przodu. Choć słońce nie brało go zbyt szybko, dzięki smagłej karnacji, to wyglądał teraz z tą czerwoną skórą, jakby go ktoś strasznie pobił. Nim Sandra go zbudziła, zdążył już z półtorej godziny pospać. Gdy się zaśnie na słońcu podczas

opalania, krew krąży wolniej, a powinna krążyć szybciej po to, by organizm mógł odprowadzić nadmiar ciepła, bo inaczej właśnie następuje poparzenie. Głowa pękała mu z bólu, ale na tylnym siedzeniu samochodu, w dobroczynnym cieniu, ból przeszedł mu prawie zupełnie. Prawdopodobnie i wypite przy obiedzie wino miało na to jakiś wpływ.

Z oddali dochodził nieprzerwany szum przejeżdżających aut, ale na ulicy rozlegały się tylko głosy ludzi rozmawiających na balkonach lub siedzących na gankach przed domami. Kilka domów dalej jakieś dziecko ćwiczyło na flecie. Ponieważ Sandra nie mogła zasnąć, Saskia po kolacji położyła ją do ich dużego, małżeńskiego łóżka i położyła się na chwilę obok niej, w rezultacie czego sama natychmiast zasnęła.

Anton zmęczonym wzrokiem patrzył przed siebie. Myślał o Takesie i o tym, że widocznie w życiu wszystko wcześniej czy później musi wyjść na światło dzienne, zostać zamknięte i odłożone ad acta. A nawiasem mówiąc, ile to lat temu był u Beumerów? Chyba z piętnaście — więcej, niż liczył sobie wiosen w 1945 roku. Pan Beumer bez wątpienia spoczywa już spokojnie w grobie, a i jego małżonka też zapewne zesła z tego świata. W Haarlemie od tego czasu nigdy więcej nie był. A Fake? Bóg wie, gdzie się podziewa, ale on się nie liczy, może został kierownikiem zakładu u Den Helder. Z Takesem to co innego. Razem płakali. To był pierwszy raz, kiedy Anton płakał w związku z tym wydarzeniem, ale nie z powodu rodziców lub Petera, ale z powodu śmierci tej dziewczyny, której nigdy na oczy nie widział. Truus... Truus jak? Uniósł się i próbował przypomnieć sobie jej nazwisko, ale nie udawało mu się. Rozstrzelana na wydmach. Krew w piasek.

Zamknął oczy, by przywołać tamtą ciemność, ciemność celi. Jej palce, delikatnie głaszczące go po twarzy... Położył dłonie na twarzy i szeroko rozwartymi oczami patrzył pomiędzy palcami jak między kratami. Głęboko wciągał powietrze i obydwoma rękami przygładził włosy. Nie powinien tego robić, było to niebezpieczne. Czuł się nie najlepiej, powinien był położyć się do łóżka, ale on złożył ręce na piersiach i dalej patrzył przed siebie.

Takes miał jej fotografię. Czy iść do niego i ją — jak to okre-

ślić? — zidentyfikować? Była przyjaciółką Takesa, prawdopodobnie jego wielką miłością i oczywiście Takes miał pełne prawo oczekiwać, że otrzyma od Antona ostatnią wiadomość o niej. Ale Anton zupełnie nie mógł sobie przypomnieć, o czym Truus wtedy opowiadała, pamiętał tylko, że mówiła dużo i dotykała palcami jego twarzy. Odwiedzając Takesa mógłby uzyskać jedynie to, że dla niego, Antona, wyłoniłaby się ze swojej dalekiej i niewidocznej obecności i została by sprowadzona do określonej twarzy. Czy on jednak rzeczywiście tego chce? Czy nie pomniejszy tego, czym do tej pory była dla niego? Jest zupełnie bez znaczenia, jaka się okaże: ładna czy brzydka, pociągająca albo odstręczająca, czy też jakakolwiek inna, ważne, że będzie taka, jaką była, a nie inna; do tej pory nie ma żadnego wyobrażenia o niej, a tylko abstrakcyjną świadomość na podobieństwo posiadanej przez wierzące dzieci świadomości swojego „anioła stróża”.

I oto w tym momencie zdarzyła się rzecz następująca. Ruchem, który przywoływał na myśl sposób, w jaki akrobata, jakby nie podlegający prawu ciężenia, wstaje z siatki bezpieczeństwa, na którą zeskoczył z dużej wysokości, Anton podniósł się i klęcząc spojrzął na fotografię, w którą wpatrywał się przez cały czas, niczego nie rozumiejąc. Stała oprawiona w ramki na mahoniewej, z mosiężnymi okuciami szafie ze zbiorem sekstansów. W gęstym mroku nie można było rozróżnić, co przedstawia, ale Anton i tak to wiedział. Była na niej Saskia w czarnej sukni do pół łydki, z łonem nabrzmiałym Sandrą, na kilka dni przed jej urodzeniem. Nie jest prawdą, że nie miał żadnego wyobrażenia o tamtej młodej kobiecie, której imię, jak się okazuje, brzmiało Truus! Tak było od samego początku z wyobrażeniem o niej, właśnie tak a nie inaczej: Saskia! Właśnie w niej rozpoznał to wyobrażenie przy pierwszym wejrzeniu w ów dzień, kiedy obydwoje przystanęli koło Stone of Scone. Saskia była odbiciem wyobrażenia, które najwidoczniej nosił w sobie od dwunastego roku życia, wcale sobie z tego sprawy nie zdając, a które odnalazł w niej, ale nie jako rozpoznane wyobrażenie, lecz jako bezpośrednią miłość, natychmiastową pewność, że to właśnie ona musi zostać z nim i urodzić jego dziecko. Niespokojny zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem. Cóż to za myśli? Może to jest prawda, a może i nie; jednak nawet jeśli to prawda, to czy nie robił te-

raz czegoś, co byłoby skierowane przeciw Saskii? Przecież, po pierwsze, ona sama była kimś. Co mogła mieć wspólnego z rozstrzelaną na wydmach i od dawna będącą jedynie fragmentem rozkładającej się materii bojowniczką ruchu oporu? Jeśli nie mogłaby być tym, kim jest, lecz miałyby jedynie przedstawiać kogoś innego, to czy takie myśli nie zagrażają ich małżeństwu? Wtedy Saskia byłaby bez szans, bo nie może przecież być nikim innym, niż jest. W takim razie on w pewnym sensie uśmierca ją. Ale patrząc od innej strony, jeśli miałyby to być prawda, to gdyby wówczas nie spotkał w podziemiu komisariatu policji tamtej dziewczyny, teraz nie byłby z Saskią. Te dwie kobiety były w takim razie nierozłączne. Oczywiście, jest w tym jeszcze wiele z jego fantazji. Z pewnością Saskia nie była podobna do Truus, bo Anton przecież nie wiedział, jak Truus wyglądała. W przeciwnym razie Takes z pewnością zareagowałby na Saskię, a tymczasem on prawie w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Saskia podobna była wyłącznie do wyobrażenia, które było w nim samym i tylko w nim. Ale skąd w takim razie się ono wzięło? Dlaczego było właśnie takie a nie inne? Być może pochodziło z innego, znacznie starszego źródła, może było zapożyczone, à la Freud — z obrazu matki, z tego okresu, kiedy był on jeszcze dzieckiem w kołysce?

Wyszedł na balkon i patrzył w dół, niczego wszakże nie widząc. Gdy w szpitalu dowiadywał się, że następnego dnia przyjdzie do pracy nowy kolega lub koleżanka, który nazywa się tak i tak, to też od razu miał takie czy inne wyobrażenie o nim czy o niej. Nigdy nie pasowało ono do danej osoby i natychmiast, gdy tylko ją zobaczył, zapominał, jak wyglądała w jego wyobraźni. Skąd to się w ogóle brało? Dotyczyło to także znanych pisarzy i artystów: gdy widział po raz pierwszy ich portrety, nie mógł się nadziwić, skąd brało się w nim takie czy inne wyobrażenie o nich, wcale sobie nie uświadamiał, że je w ogóle posiada. Zdarało się nawet, że ujrawszy fotografię autora, tracił zainteresowanie dla jego dzieła. Miało to miejsce z Joycem — nie dlatego, że był brzydki, bo Sartre był jeszcze brzydszy, lecz portret tego ostatniego powiększył tylko jego zainteresowanie. Widocznie wyobrażenie bywa bardziej trafne niż rzeczywistość.

Innymi słowy: nie widział przeszkód, aby Saskia podobna by-

ła do jego wyobrażenia o Truus. Truus wywołała w nim w tamtych okolicznościach obraz, któremu odpowiadała Saskia, i to było w porządku, bo ten obraz nie pochodził od Truus, lecz od niego samego, a skąd on w istocie pochodził, było w końcu zagadką niezbyt wielkiej wagi. Nawiasem mówiąc, mogło być i tak, że wszystko odbywało się akurat odwrotnie. Saskia już przy pierwszym spotkaniu zapadła mu tak głęboko w serce, że być może dlatego wyobrażał sobie potem, iż Truus również tak właśnie musiała wyglądać. Lecz w takim razie poszkodowaną była oczywiście Truus, wobec której był teraz niesprawiedliwy; a zatem jego obowiązkiem było nie tylko wiedzieć, jak miała na imię, ale i jak naprawdę wyglądała — właśnie ona: Truus Cooster.

Zrobiło się trochę chłodniej. Z oddali dochodziło wycie policyjnych syren; w mieście znów coś się działo, ciągnęło się to prawie od roku. Było już wpół do jedenastej i Anton postanowił, że zaraz, natychmiast zatelefonuje do Takesa. Poszedł na górę do sypialni. Tam też nie zaciągnięto jeszcze zasłon. Kołdry były zrzucone i Sandra spała z otwartą buzią pod samym prześcieradłem. Saskia, na wpół rozebrana, leżała na brzuchu obok małej, obejmując ją ramieniem. Patrząc na nie obydwie Anton postać chwilę w tej ciepłej, wypełnionej snem ciszy. Czuł się tak, jakby dopiero co prześlizgnął się obok czegoś fatalnego, co teraz odbierał jako zgubne, szkodliwe pomieszenie: rozbiegane myśli wywołane udarem słonecznym. Trzeba o tym zapomnieć i też iść spać.

Lecz zamiast tak zrobić, podszedł do krzesła, na którym Saskia powiesiła jego marynarkę, i z górnej kieszonki wyjął zwitek papieru, nie mogąc się pozbyć mglistego uczucia, że robi coś nieprzyzwoitego.

V

Any time, odpowiedział Takes, gdy Anton zapytał, kiedy mógłby spaść — choćby nawet zaraz. Gdy Anton dodał, że teraz tro-

chę go boli głowa, Takes zbagatelizował to: — A kogo dziś nie boli? — Następnego dnia Anton kończył dyżur o czwartej; umówili się więc na wpół do piątej.

Upał nie zelżał. Antona niemało wysiłku kosztowało skoncentrowanie się na pracy. Był rad, że wreszcie może pójść spacerem na Nieuwe Zijds Voorburgwal. Wciąż mu doskwierała spalona twarz i pierś. Saskia z rana starannie nasmarowała go kremem; on w tym czasie zastanawiał się, czy powiedzieć jej o umówionym spotkaniu, w końcu jednak tego nie zrobił. Na Spui stała kolumna niebieskich policyjnych samochodów, w mieście wyczuwało się napięcie, ale był to już normalny stan. Burmistrz i minister specjalnie się tym nie przejmowali. Takes mieszkał za pałacem, po przeciwnej stronie placu de Dam, w małym domu, do którego można było dojść jedynie klucząc pomiędzy stojącymi tam ciężarówkami. Z lepszych czasów zachował się na frontonie budynku kamień z płaskorzeźbą przedstawiającą jakieś bajeczne zwierzę, trzymające w dziobie rybę, u dołu widniał napis: D'OTTER. Przy wejściu potrwało chwilę, zanim Anton pomiędzy nazwami najróżniejszych biur, zakładników i osób prywatnych odszukał nazwisko Takesa: było ono wypisane ołówkiem na kawałku papieru i przypięte pinezką pod dzwonkiem, który należało przycisnąć trzy razy. Gdy Takes otworzył, Anton natychmiast spostrzegł, że nie jest zupełnie trzeźwy. Miał wodniste oczy, a twarz jeszcze bardziej plamistą niż wczoraj, był nie ogolony, siwy zarost pokrywał jego szczęki i szyję aż do rozchełstanej na piersiach koszuli. Anton postępował za nim przez wysoki, długi korytarz z łuszczącymi się na ścianach płatami wapna, mijając stojące rowery, jakieś pudła, wiadra, półki i sflaczały, gumowy ponton. Spoza drzwi dochodził odgłos maszyn do pisania i radia; na wiekowych, dębowych schodach, schodzących zwariowanym skrzywieniem na korytarz, siedział starzec w kurtce od pizamy i majstrował coś przy składanym wiośle.

— Czytałeś dzisiejszą gazetę? — zapytał Takes nie oglądając się za siebie.

— Nie jeszcze.

Przez drzwi na końcu korytarza, w oficynie, weszli do małego pomieszczenia służącego jednocześnie za sypialnię, gabinet do pracy i kuchnię. Stało tam nie zasłane łóżko, ale także coś na

kształt biurka, zawalonego papierami, listami, wyciągami z kont bankowych, rozłożonymi gazetami i otwartymi czasopismami, a na tym wszystkim jeszcze filiżanka po kawie, przepełniona popielniczka, otwarty słoik dżemu, a nawet but. W Antonie wzbierało obrzydzenie na widok podobnego zbioru różnych, tworzących taką dysharmonię przedmiotów; w domu nie znosił, jeśli Saskia kładła na jego biurku choćby grzebień lub rękawiczkę. Garnki, rondle, brudne talerze, walizki, wszystko wyglądało tak, jakby lokator tego pomieszczenia miał je właśnie w pośpiechu opuścić. Nad ocynowanym blatem kuchennym znajdowało się okno, otwarte na zagracony dziedziniec, z którego dochodziła muzyka. Takes podniósł z łóżka otwartą gazetę, złożył ją na pół, a potem jeszcze kilka razy w taki sposób, żeby na stronie tytułowej widoczny był tylko jeden artykuł.

— Ciebie też powinno to zainteresować — zwrócił się do Antona podając mu gazetę.

WILLY LAGES
poważnie chory
NA WOLNOŚCI

Anton wiedział tylko tyle, że Lages był szefem SD lub Gestapo w Holandii i z tego tytułu odpowiedzialnym za tysiące egzekucji i deportację ponad stu tysięcy Żydów; skazany po wojnie na karę śmierci został już przed laty ulaskawiony, co wywołało wówczas falę masowych demonstracji.

— Co o tym sądzisz? — zapytał Takes. — Wypuścili go, ponieważ jest chory, unser lieber kleiner Willy. Warto popatrzeć, jak szybko znów wróci w Niemczech do sił, podczas gdy niemało innych ludzi poważnie się już pochorowało od tego wspaniałomyślnego traktowania zbrodniarzy wojennych. Ale to w końcu jest mniejsze zło. Niech ich cholera weźmie, tych wszystkich humanitarnych panów, z ich miłością dla człowieka na nasz koszt. Zbrodniarz wojenny jest chory, ach, gut, to biedny chłopczyna. Szybko trzeba uwolnić tego faszystę, bo przecież my nie jesteśmy faszystami i mamy czyste ręce. Że co, że teraz jego ofiary się rozchorowały? Ach, jak można żywić tyle nienawiści, ci antyfaszyści nie są ani za grosz lepsi. Zobaczysz, że tak właśnie będzie. A kto najbardziej popierał wypuszczenie tego drania na wolność? Otóż wszyscy ci, którzy i podczas wojny dbali wyłącznie o to,

żeby mieć czyste ręce — oczywiście — z katolikami na czele. Nie bez powodu tamten błyskawicznie nawrócił się w więzieniu na katolicyzm. A jeśli jeszcze na dodatek pójdzie do nieba, to ja już wolę piekło... — Takes popatrzył na Antona i wyjął mu gazetę z ręki. — Ty się już z tym pogodziłeś, no nie? Zakładam, że tak właśnie wygląda twoja twarz, gdy się rumienisz ze wstydu. Twój rodzice i twój brat także byli w kompetencji tego pana.

— Ale nie mają nic wspólnego z dzisiejszą zemstą.

— Zemstą? — Takes wyjął z ust papierosa, którego odłożył na chwilę, tak że dym powoli rozchodził się po pokoju. — Daj go tutaj, a ja mu poderżnę gardło. Scyzorykiem, jeśli trzeba. Zemsta... Jak gdyby chodziło tylko o ciało. — Rzucił gazetę na biurko, nogą wsunął pustą butelkę pod łóżko i spojrzał nagle z wymuszonym uśmiechem na Antona. — No tak, to w końcu twój zawód — pomagać cierpiącej części ludzkości, no nie?

— Skąd wiesz? — zapytał Anton zdziwiony.

— Bo dziś po południu dzwoniłem do tego bufona, twojego teścia. Trzeba przecież wiedzieć, z kim się ma do czynienia?

Gdy Takes się w niego wpatrywał, Anton pokręcił głową, wokół jego ust powoli pojawił się uśmiech.

— Wojna ciągle trwa, Takes?

— Na pewno — odrzekł Takes, patrząc mu prosto w twarz. — Na pewno.

Anton czuł się nieswojo pod świdrującym spojrzeniem jego lewego oka. Czy zaczną teraz tę grę, który z nich pierwszy mrugnie? Anton spuścił wzrok i spojrzał w ziemię.

— A jaki jest twój zawód? — zapytał, rozglądając się wokół. — Nie byłem na tyle mądry, żeby do kogoś zadzwonić. Z czego żyjesz?

— Masz przed sobą matematyka wybawionego od matematyki. Anton wybuchnął śmiechem.

— Jak na matematyka twój gabinet wygląda na bardzo nieorganizowany.

— Cały ten chłam przeżył wojnę. Żyję z zapomóg Fundacji „Czterdzieści-Czterdzieści pięć”. Utworzył ją pan A. Hitler, to on właśnie wybawił mnie od matematyki. Gdyby nie on, stałbym codziennie przed frontem klasy. — Z parapetu okiennego wziął

butelkę whisky i nalał Antonowi. — Za współczucie dla tych, co pozbawieni są współczucia — zaproponował.

— Cheers.

Anton nie sądził, żeby ciepła whisky miała mu dobrze zrobić, ale nie mógł odmówić wypicia. Takes był jeszcze bardziej cyniczny niż wczoraj. Może z powodu tej informacji w gazecie lub pod wpływem alkoholu, albo może tak to właśnie sobie zaplanował. Nie zaprosił go, żeby usiadł, co Antonowi z tego czy innego powodu wydało się nawet sympatyczne. Właściwie dla czego człowiek zawsze ma siadać? Clemenceau kazał się nawet pochować na stojąco. Trzymając szklanki w rękach stali naprzeciwko siebie jak na cocktail-party.

— Nawiasem mówiąc, ja również pracowałem w branży medycznej — oświadczył Takes.

— Ach, tak? Jesteśmy zatem kolegami po fachu.

— Tak by to można było określić.

— Opowiedz mi o tym — poprosił Anton, przeczuwając, że zaraz nastąpi coś obrzydliwego.

— Było to w pewnym instytucie anatomii, gdzieś w Holandii, tak to określe. Decyzją dyrektora pełniliśmy służbę w słusznej sprawie. Otóż przeprowadzano tam procesy, ferowano wyroki śmierci itp. Również je wykonywano.

— Nie jest to sprawa znana.

— I nie musi być znana. Nigdy nie wiadomo, kiedy się to znowu może przydać. Była to raczej sprawa wewnętrzna, zdrajcy z własnego grona, konfidenti i inne podobne przypadki. Tak, tacy dostawali w piwnicy zastrzyki z fenolu, prosto w serce, przy użyciu długiej igły. Następnie inni bohaterowie w bieli kroili ich na grantowych stołach na drobne kawałeczki. Był tam także duży zbiornik z formaliną, w którym pływały uszy i ręce, nosy, członki i wnętrzości. Tych, na których wykonano egzekucję, trudno było potem złożyć w całość. To wszystko w imię nauki, rozumiesz? — Spojrzał wyzywająco na Antona. — Tak, nie wart jestem złamanego grosza.

— Chyba że w dobrej sprawie... — wtrącił Anton.

— Szkopy bały się tego instytutu, wołały tam nie zachodzić. Dla nich tam straszło.

— Ale dla ciebie nie.

— W podziemiach tego instytutu stały rzędem wysokie szafy z szufladami, w każdej szafie jakieś pięć szuflad, a w każdej szufladzie trup. Przeleżałem tam kiedyś całą noc, bo musiałem na jakiś czas zniknąć.

— I co? Przyjemnie się spało?

— Jak na szpilkach.

— Słuchaj, Takes, mogę cię o coś zapytać?

— Wał śmiało, chłopie — odpowiedział Takes ze słodkim uśmiechem.

— Co ty chcesz tym wszystkim osiągnąć, czy uważasz mnie za żółtodzioba, z którego trzeba zrobić mężczyznę? To zupełnie niepotrzebne, bo ja już dostałem za swoje, nikt nie wie o tym lepiej niż ty sam.

Takes spojrział na niego i przyglądał mu się, popijając powoli swoją whisky.

— Chciałbym, żebyś ty też wiedział, z kim masz do czynienia. — Patrzył na niego jeszcze przez chwilę, a potem wziął do ręki butelkę: — Chodź ze mną, drzwi zostaw otwarte na wypadek, gdyby zadzwonił telefon.

Anton zszedł za nim po schodach do sutereny; biegł tam równie długi korytarz. Takes otworzył kluczem drzwi, prowadzące do obszernego, niskiego pomieszczenia. W pierwszej chwili Anton nie mógł się zorientować, jakie miało przeznaczenie. Było tam duszno. Przez okna pod sufitem padało wątłe światło, Takes wzmocnił je zimnym blaskiem szeregu jarzeniówek, z których jedna bezradnie migotała po obu końcach różowymi wylądowaniami. Poobtłukiwane białe kafle na ścianach wskazywały, że kiedyś mieściła się tutaj kuchnia patrycjuszowskiego domu; pod niskim sufitem biegły grube rury centralnego ogrzewania i najróżniejsze inne przewody. Na środku stał drewniany stół, na nim popielniczka, i tu także przepełniona, pod dłuższą ścianą zniszczona, obita czerwonym pluszem kanapa; prócz niej w pomieszczeniu znajdowała się tylko staroświecka blieliźniarka z lustrem w drzwiach i nie używany rower. Całość miała w sobie coś z bunkra, z podziemnej kwatery sztabowej — przede wszystkim ze względu na poźółkłą, tu i ówdzie ponaddzieraną mapę przymocowaną przylepcem do ściany naprzeciwko kanapy. Anton poszedł do niej ze szklanką w ręce. „Kompas van Deutschland”

widniało w prawym, dolnym rogu. Porysowana była czerwonymi i niebieskimi strzałkami, ilustrującymi ofensywy idące z terytoriów Francji i Rosji w kierunku Berlina, gdzie strzałki się spotykały. Jedynie część północnych i środkowych Niemiec oraz zachodniej Holandii były wolne od tych strzałek. Wzrok Antona przykuło jednak coś innego, co widniało na tej części mapy, która przedstawiała morze. Na wyblakłym błękitcie widniał niewyraźny, jasnoczerwony odcisk ust: pocałunek wyciśnięty na papierze uszmkowanymi wargami. Anton odwrócił się. Takes siedział na kanapie założywszy nogę na nogę i patrzył na niego.

— No więc, tak właśnie to wygląda — odezwał się.

A więc dlatego ta mapa wisi tutaj. Nie dlatego, że serce Takesa zżera tęsknota za wojną, lecz dlatego, że widnieje na niej odcisk tych ust! Czy ta suterena służyła jako kryjówek? Może dla tamtego nie było żadnej różnicy pomiędzy wojną a jego ukochaną? Może wojna stała się jego ukochaną i dlatego nie mógł przestać być jej wiernym? Może nawet wtedy, gdy opowiadał o jej okropnościach, miał właściwie na myśli Truus Coster i ten okres, w którym był szczęśliwy?

Pochylając instynktownie głowę, choć mógł stać wyprostowany, Anton podszedł do kanapy. Usiadł obok Takesa i znowu spojrzął na usta, wyłaniające się z Morza Północnego. Miało się takie wrażenie, jakby reszta twarzy pozostawała pod wodą. (Mając lat jedenaście czy dwanaście Anton wyobrażał sobie, że jeśli położy pod mikroskopem mapę Holandii, to zobaczy chodzących po Haarlemie ludzi — zrobił tak pewnego razu będąc w ogrodzie, i teraz ujrzał siebie samego, pochylonego wtedy nad mikroskopem...) The fair Ophelia. Tam jej usta dotknęły papieru. Być może w momencie, gdy uzupełniali dane na mapie, słuchając Radia Londyn i rozmawiając o tym, co będą robić, gdy skończy się wojna... Takesem zaczął wstrząsać gwałtowny kaszel. Anton, trzymając papierosa w ustach, nalał sobie whisky i milczał. Nigdy jeszcze nie czuł się tak mocno związany z innym człowiekiem, być może tamten odczuwał to równie głęboko. Z ulicy dobiegły ciche dźwięki carillonu. Anton spojrzął na rower. Męski rower z ramą i z siodełkiem, jakiego się już teraz nie spotyka: nazywano je kiedyś „Terryzadel”. I wtedy zobaczył fotografię.

Miała format pocztówki, była włożona dolną częścią za prze-

wód elektryczny nie opodał mapy. Serce zabiło mu mocniej. Siedząc bez ruchu przyglądał się tej twarzy, patrzącej na niego z oddali po dwudziestu jeden latach. Spojrzał ponownie na Takesa, który wpatrywał się w kółka dymu, wypuszczane z ust. Anton wstał i podszedł bliżej.

To Saskia. To Saskia spoglądała na niego ze starej fotografii. Nie była to oczywiście Saskia, dziewczyna na zdjęciu nie była nawet do niej podobna, ale jej spojrzenie było właśnie takie, jak u Saskii wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy w Westminster Abbey. Nie rzucająca się w oczy, sympatyczna dziewczyna w wieku około dwudziestu trzech lat. Uśmiech wykrzywił nieco jej twarz, przez co nabrała filuternego wyrazu; kontrastowało to ze sztywną, zapiętą pod szyję, ozdobioną wstawką z przodu suknią z bufiastymi rękawami. Miała gęste, falujące włosy, prawdopodobnie ciemnoblond, czego jednak na czarno-białej fotografii nie można było stwierdzić z całą pewnością. Po brzegach była ona prześwietlona, tak że na ciemnym tle wokół głowy falowały ostre odblaski.

Takes wstał z kanapy i stanął obok niego.

— Czy to ona? — zapytał.

— To musi być ona, to musi być ona... — odpowiedział Anton, nie odrywając wzroku od fotografii.

Oto nareszcie wychyłała z ciemności, ze spojrzeniem Saskii w oczach. Przypominał sobie rozmyślania z poprzedniego wieczoru, ale był zbyt poruszony, żeby sobie uświadomić, w czym zawierało się to podobieństwo. Nawiasem mówiąc, Takes nie dał mu takiej szansy. Tak, jakby do tej chwili całym wysiłkiem woli się opanowywał, teraz chwycił nagle Antona za ramiona i potrząsnął nim, jak nauczyciel potrząsa ospałym dzieckiem.

— Mów! Co jeszcze powiedziała?

— Już nie pamiętam.

— Czy mówiła coś o mnie?

— Zlituj się, Takes, nic już nie pamiętam.

— To spróbuj sobie przypomnieć, do cholery! — wykrzyknął, i natychmiast nastąpił kolejny atak kaszlu, który zagnał go do kąta. Stanął tam zgięty wpół, z opartymi na kolanach dłońmi, krztusząc się przez dłuższą chwilę. Gdy wreszcie, ciężko dysząc, wyprostował się, Anton powiedział:

— To już odeszło, Takes, zniknęło. Chciałbym móc ci to opowiedzieć, ale jedyna rzecz, jaką mogę sobie przypomnieć, to to, że dotykała mojej twarzy. Potem została na niej krew, stąd wiem, że była ranna. Zrozum, miałem wtedy dwanaście lat. Dziś już nawet nie wiem, jaką barwę miał głos mojego ojca. Przecież tuż przed tym spalono nasz dom, moi rodzice i mój brat zniknęli, byłem w szoku, byłem głodny, siedziałem w ciemnej celi w podziemiach komisariatu...

— Komisariatu? — zdziwił się Takes i spojrział na niego z otwartymi ustami. — Jakiego komisariatu?

— W Heemstede.

Takes rozpaczliwie zamachał rękami.

— A więc tam ją wsadzili... Mój Boże, mogliśmy ją przecież stamtąd odbić. Sądziłem, że była w więzieniu w Haarlemie...

Anton dostrzegł, że w tej samej chwili w głowie Takesa jakby rodził się plan napadu na komisariat policji w Heemstede. Odwrócił się od niego i rozdrażniony zaczął chodzić po pokoju. To już na zawsze minęło, zniknęło z tego świata. Wiedział, że aktualnie na uniwersytecie przeprowadzano eksperymenty z LSD. Musiało to oczywiście zalegać jeszcze gdzieś w najgłębszych pokładach jego mózgu, wiedział też o tym, że chętnie przyjmowano poważnych ludzi gotowych poddać się doświadczeniom i być może wtedy wypłynęłoby to na wierzch. Gdyby o tym opowiedział Takesowi, tamten był wystarczająco narwany, żeby zażądać od niego, aby się poddał doświadczeniom, ale nie chciał. Nie pociągało go dokonywanie chemicznej ekshumacji przeszłości. Ponadto istniało ryzyko, że przypomni sobie nie to, lecz coś zupełnie innego, nieoczekiwanego, nad czym nie potrafi później zapanować.

— Wiem tylko tyle — odpowiedział — że długo o czymś opowiadała.

— O czym opowiadała?

— Tego właśnie zupełnie nie pamiętam.

— Boże, litości! — zawołał Takes, wychylił jednym haustem zawartość swojej szklanki i krzyknął ponad stołem jak barman z westernu nad bufetem: — Zupełnie nie pamiętam, zupełnie nie pamiętam...:

Anton stał w miejscu.

— Najchętniej — zaczął powoli — przywiązałbyś mnie do krzesła, zaświecił lampą prosto w twarz i w ten sposób próbował to ze mnie wydobyć, czy nie tak?

Takes na chwilę spuścił wzrok.

— O.K. — bąknął, machnąwszy z rezygnacją ręką — O.K. ...

Anton nie musiał więcej patrzeć na fotografię, żeby widzieć, jak wyglądała Truus Coster: jej twarz w niezatarty sposób wryła się mu w pamięć.

— Czy była twoją żoną? — zapytał.

Takes nalał sobie i z butelką w ręce podszedł do Antona.

— Tak, byłem żonaty, ale nie z nią. Miałem żonę i dwoje dzieci — w twoim wieku, może trochę młodsze. Ale ona była tą, którą kochałem, choć bez wzajemności. Od razu odszedłem dla niej od mojej rodziny, ale ona śmiała się z tego. Gdy jej mówiłem, że ją kocham, twierdziła, że się zgrywam. Spodziewałem się tego, bo przecież tyle wspólnie przeszliśmy. W końcu i tak jestem teraz rozwiedziony.

Zaczęło mu się odbijać. Spodnie na nim zwisały, z tyłu na nogawkach porobiły się trwałe fałdy — patrząc na niego Anton pomyślał: Oto, co pozostało z ruchu oporu — niechlujny, nieszczęśliwy, pijany mężczyzna w suterenie, z której wychodzi być może tylko na pogrzeb swoich przyjaciół, życie przechodzi obok niego obojętnie, podczas gdy zbrodniarzy wojennych wypuszcza się na wolność...

— Długo o czymś opowiadała... — powtórzył po chwili Takes. — Tak, w tym ona była mocna, w długich opowiadaniach... Godzinami siedzieliśmy bajdurząc o wszystkim i o niczym, ale zawsze najważniejszym tematem była moralność. Niekiedy też i to, co będzie po wojnie, tylko że wtedy z reguły niewiele mówiła. Pewnego razu powiedziała, że gdy myśli o tym, co będzie po wojnie, to jakby widziała dużą, czarną dziurę. Ale gdy chodziło o moralność, przemawiała jak z ambony. Pewnego razu spytałem ją: a gdyby tak jakiś esesman kazał ci wybrać, kogo ma zastrzelić, twojego ojca czy matkę, z dodatkowym warunkiem, że zastrzeli obydwójce, jeśli nie wybierzesz, to co byś wtedy zrobiła? Słyszałem o takim wypadku — dodał Takes i wrzucił niedopałek papierosa do popielniczki. — Ona na to: a co ty byś wtedy zrobił. Odpowiedziałem, że policzyłbym guziki jego

munduru: ojciec, matka, ojciec, matka... W obliczu takiego zezwierżenia można uczynić jedynie coś idiotycznego, bezsensownego. Ale ona nic by nie odpowiedziała. Jej zdaniem ktoś taki, kto uczyniłby podobną propozycję, nie dotrzymałby słowa. Więc może by ich jednak nie zastrzelił. Ale gdybyś na przykład powiedział: „ojca”, to wtedy może rzeczywiście by go zastrzelił i oświadczył, że przecież sam tego chciałeś. Według niej tak właśnie, w pewnym sensie, to wygląda. W tym była bardzo dobra. Kapitalna. Całymi nocami siedzieliśmy i gadaliśmy o naszej robocie. Wyobraź tylko sobie — siedzieliśmy tak we dwójkę, obydwójcie skazani na śmierć...

— Byliście skazani na śmierć? — zdziwił się Anton.

Takes roześmiał się.

— Oczywiście, a co, ty nie? Pewnego razu — ciągnął dalej — musiała wracać do domu w środku nocy, długo po godzinie policyjnej. Poblądziła wtedy w ciemności i aż do świtu przesiedziała gdzieś na ulicy.

Anton odchylił nieco głowę do tyłu, jakby czegoś nasłuchiwał. Miał wrażenie, że skądś z daleka dobiegł go znajomy dźwięk, jakiś słaby sygnał, który jednak natychmiast ucichł.

— Aż do świtu, gdzieś na ulicy? Słucham o tym tak, jakby mi się już kiedyś coś podobnego przyśniło...

— Zupełnie straciła wtedy głowę. Żebyś ty wiedział, jakie ciemności wtedy bywały!

— Tak, wiem, przez dłuższy czas marzyłem o tym, żeby zostać astronomem.

Takes pokiwał głową, ale słowa Antona jakby do niego nie dotarły.

— Ona rozmyślała o wielu sprawach. Była o dziesięć lat młodsza ode mnie, ale rozmyślała o wszystkim znacznie więcej niż ja. W porównaniu z nią byłem prostakiem, czymś na kształt matematycznego idioty. Pewnego dnia rzuciłem myśl, żeby porwać dzieci Seyss-Inquarta i wymienić je na kilkuset naszych ludzi. Jak ona na mnie naskoczyła: Co to za pomysł! Co te dzieci mają z tym wspólnego! Rzeczywiście, co te dzieci miały z tym wspólnego? Zupełnie nic, to jasne. Tak samo jak dzieci żydowskie, eksterminowane taśmowo. No więc, zupełnie nic. Ale właśnie dlatego. Trzeba uderzać wroga w jego najczulsze miejsce.

Jeśli tym miejscem są dzieci, to trzeba uderzyć w dzieci. A co będzie z tymi dziećmi, jeśli transakcja nie dojdzie do skutku? No, to wtedy koniec z nimi. Bezbolesny — w instytucie anatomicznym... — Błysnął w kierunku Antona kątem oka i dodał: — Ach, sorry, to moja wina, nie wart jestem złamanego grosza.

— Mówisz to już po raz drugi.

— Naprawdę? — odpowiedział Takes z rozmyślnie źle udawanym zdziwieniem. — Chyba nie! No dobrze, zgódźmy się co do tego, że złamanych groszy od dawna nie ma w obiegu. No więc mój pomysł nie chwycił. Przeciw faszystom sam musisz być faszystą, oto moja dewiza, bo innego języka oni nie rozumieją. Chciałbym mieć takie zawołanie bojowe, ale po łacinie. Ty, z całą pewnością, jako alfa i omega, wiesz, jak to powinno brzmieć w tym języku.

— Faszystą przeciw faszystom... — powtórzył jak echo Anton. — Tego się nie da przetłumaczyć na łacinę. Fasces oznacza „wiązkę liktorską”. Wiązka liktorska przeciwko wiązce — to jest bez sensu.

— No więc sam widzisz — odrzekł Takes — Truus też niechętnie się do tego odniosła. Jej zdaniem powinienem był uważać, żeby nie stać się takim jak oni, bo wtedy oni w ten właśnie sposób mnie pokonają. Tak, tak, Steenwijk, to była dziewczyna-filozof, ale filozof z pistoletem.

Mówiąc to przechodził właśnie obok bieliźniarki. Schylił się, wyciągnął jedną z szuflad, wyjął z niej duży pistolet, który położył na stole i poszedł dalej, jak gdyby nigdy nic.

Anton z obawą przyglądał się temu szaro-czarnemu narzędziu, które nagle się tu pojawiło. Emanowało z niego tyle groźnej mocy, że wydawało się, iż wypali w stole dziurę. Spojrzał na Takesa.

— To jej pistolet?

— Tak, to jej pistolet.

Broń leżała nieruchomo na stole jak relikw z jakiejś innej epoki, wydobyty na światło dzienne podczas wykopalisk.

— Czy z niego właśnie strzelała do Ploega?

— I to jak celnie! — odpowiedział Takes, który zatrzymał się i wyciągnął w kierunku Antona wskazujący palec. Przez chwilę patrzył na pistolet i Anton zauważył, że zamiast niego zaczął

jakby widzieć coś innego. — Tego wieczoru głupio się zachowywałem — powiedział cicho, jakby sam do siebie. — Jechaliśmy tym nabrzeżem bardzo powoli i, na ile to możliwe, obok siebie, jak zakochana para. Jeśli o mnie chodzi, to tak rzeczywiście było. Pozwoliliśmy mu się wyprzedzić, a on nawet spojrzął na nas. „Dzień dobry panu”, zawołała Truus, wtedy jeszcze wesoło, a on się nawet w odpowiedzi uśmiechnął. Miałem zamiar natychmiast go załatwić, ale było bardzo ślisko, a ja musiałem jedną ręką puścić kierownicę, żeby wyciągnąć z kieszeni pistolet, i wtedy zacząłem się trochę chybotać. Strzeliłem mu, w plecy, po chwili w ramię i w brzuch, ale od razu spostrzegłem, że bez skutku. Gdy upadł, próbowałem strzelić raz jeszcze, ale wtedy zaciął mi się pistolet. Przejechałem szybko, żeby ustąpić miejsca Truus. Gdy się odwróciłem, ujrzałem ją, jak zatrzymała się, oparła czubkiem buta o krawężnik i uważnie celuje pomiędzy jego łopatki: Ploeg leżał zwinięty w kłębek, z głową schowaną w ramiona. Strzeliła dwa razy, włożyła pistolet do kieszeni i szybko odjechała. Była pewna, że on jest już martwy, ale zobaczyłem, że jeszcze się unosi na łokciach. Krzyknąłem do niej, żeby uważała, Truus nacisnęła mocniej na pedały i wtedy Ploeg wystrzelił — i głupim zrzędzeniem losu trafił ją. Gdzieś pod łopatką.

Leżący na stole pistolet jak kamień ciągnął Antona w otchłań przeszłości. Tak samo dokładnie, jak zapomniał, co działo się wówczas w celi, pamiętał, co wydarzyło się ostatniego wieczoru w domu. Strzały i puste nabrzeże z ciałem Ploega. Oczywiście zawsze wiedział, że chwilę wcześniej musieli tam być także inni ludzie, ale wynikało to niejako z samej logiki; dopiero teraz stało się to rzeczywistością. A zatem ten krzyk, który wtedy słyszał, nie był krzykiem Ploega, ale Takesa. A on gotów był przysiąc, że był to krzyk w agonii.

W popielnicze obok pistoletu zaczęło się coś tlić.

— I wtedy? — zapytał Anton.

— I wtedy, i wtedy... — zniecierpliwził się Takes, czyniąc dziwaczny, jakby taneczny obrót. — I skończyła się bajeczka, iskiereczka zgasła. Nie mogła iść dalej. Usiłowałem jeszcze wziąć ją na ramę roweru, żeby odjechać choćby kawałek dalej i ukryć się. Kiedy się nie udało, ukryliśmy się w pobliskich krzakach.

Gdy nadjechali Niemcy, jakaś kobieta zaczęła krzyczeć z okna, że tam się schowaliśmy. Truus dała mi wtedy swój pistolet, pocałowała mnie i to wszystko. Jeszcze trochę sobie postrzelaliśmy i wzięłem nogi za pas. Próbowalem potem na własną rękę załatwić tej kobiecie przyspieszony pogrzeb, jeszcze zanim wojna się skończyła, ale to mi nie wyszło. Chyba nadal gdzieś tam sobie drepcze jako miła babunia. — Takes wziął pistolet ze stołu i zwał go w ręce, podobnie jak antykwariusz waży jakiś drogocenny przedmiot. — Chętnie bym tym do niej zagadał... Dobry wieczór pani, co słyhać, czy w domu wszyscy zdrowi? Dzieci mają się dobrze? — położył palec na spuście i obejrzał broń ze wszystkich stron. — Wiesz, że nadal można z niego strzelać? Powiniennem był go po wojnie oddać, tak jak to zrobił twój teść i jego przyjaciele. Teraz podpadam za to pod paragraf. Taką zabawkę zatrzymać można tylko jako pamiątkę, ale wtedy trzeba dać zalać lufę, na co ja się nie zdecydowałem. Nigdy człowiek nie wie, kiedy trzeba będzie się tym posłużyć po raz ostatni — odłożył pistolet i nasłuchując wyciągnął w górę palec. — Słyszysz go? Troszeczkę popłakuje. Żadna matka nigdy nie pieściła swego malca tak czule, jak niegdyś Truus to tutaj... — Przez chwilę Antonowi wydawało się, że w oczach Takesa pojawia się łzy, ale tak się nie stało. — Wiesz co — powiedział nagle ni stąd, ni zowąd — widziałem kiedyś taki jeden film, o człowieku, którego córkę zgwałcono i zamordowano. Sprawcę skazano na jakieś osiemnaście lat więzienia, ale ojciec tej dziewczyny poprzysiągł sobie, że zamorduje tego drania w dniu, kiedy tamten wyjdzie z pudła. Wypuścili go po jakichś ośmiu latach: złagodzenie kary za dobre sprawowanie, ułaskawienie itp. Ojciec czekał z rewolwerem w kieszeni przy samej bramie i potem przez cały dzień łązili razem i gadali. W końcu ojciec nie zastrzelił tego faceta, bo zrozumiał, że tamten też jest tylko pożałowania godną istotą i ofiarą losu.

Na górze zadzwonił telefon; podchodząc powoli do drzwi, Takes dokończył: — I oto widzisz ostatni kadr: ojciec stoi w miejscu, a tamten, z kuferkim w ręce, odchodzi w dal leśną dróżką. Na jego plecach pojawia się mały biały punkcik, który rośnie i przechodzi w napis The END. W tym momencie uświadomiłem sobie z całą mocą jedną rzecz, a mianowicie, że ten ojciec, pomi-

mo całego swego zrozumienia, powinien był wyciągnąć z kieszeni pistolet i strzelić tamtemu w plecy. Bo jego córkę zamordowały nie okoliczności, ale tamten konkretny facet. A jeśli się tego nie robi, to tym samym się przyznaje, że wszyscy ludzie, którym przyszło żyć w parszywych okolicznościach, są potencjalnymi gwałcicielami i mordercami.

W suterenie zapanowała cisza, ale wrażenie przemocy, jakie wywołał Takes, utrzymywało się nadal w powietrzu jak niesłyszalne echo. Zepsuta jarzeniówka pobzykiwała cicho. Anton usiadł na brzegu stołu, zwrócony plecami do pistoletu. Patrzył na odcisnięte na Morzu Północnym usta. Chciałby przyłgnąć do nich swoimi ustami, ale nie miał odwagi. Fotografia. Uśmiechając się, ponownie spojrzął na twarz Truus. Gdziekolwiek by był, ona wszędzie na niego patrzyła bez zmrużenia oka; mogła patrzeć na kilkaset osób równocześnie i zawsze patrzyłaby na każdego tak jak na tej fotografii: nigdy się nie starzejąc i samej niczego nie widząc. Tak właśnie, spojrzeniem Saskii, patrzyła na niego wtedy w ciemności, ponad nim, poprzez niego, ranna, oczekując nie wiadomo jak okrutnych tortur a potem egzekucji na wydymach. Anton położył obie dłonie na swojej twarzy, której ona niegdyś dotykała. Zamknął oczy. Świat jest piekłem, pomyślał, piekłem. Nawet gdyby jutro zapanował na ziemi raj, to jeszcze biorąc pod uwagę wszystko, co się zdarzyło w przeszłości, nie byłoby to niebo. Tego już nigdy nie da się naprawić. Życie we wszechświecie jest porażką, wielkim niewypałem, byłoby lepiej, gdyby w ogóle nigdy nie powstało. Dopiero gdy w ogóle przestanie ono istnieć, a wraz z nim także i wspomnienie o tych wszystkich śmiertelnych krzykach, na świecie zapanuje ład i porządek.

W nozdrza uderzył go nagle paskudny swąd, otworzył więc szybko oczy. Z popielniczki unosił się w górę niebieski słup dymu. Chlusnął resztką whisky ze swej szklanki na zawartość popielniczki, przez co swąd tylko się spotęgował. W rogu pokoju, nad niskim, kwadratowym zlewem dostrzegł kran kuchenny, ale kiedy chciał podnieść popielniczkę, poparzył sobie palce. Podszedł więc ze szklanką w ręce do zlewu, otworzył kran i najpierw podstawiał palce pod strumień zimnej wody; gdy w chwilę później wlał zawartość szklanki do popielniczki, powstała w niej

obrzydliwa, czarna bryja. Dym kłębił się pod niskim sufitem. Po nieudanych próbach uchYLENIA opuszczonych, umieszczonych pod sufitem okienek, wyszedł z sutereny. Idąc korytarzem, przypomniał sobie pistolet na stole. Zawrócił i stwierdziwszy, że klucz jeszcze tkwi w zamku, zamknął pomieszczenie i wszedł po schodach na górę.

Takes stał w swoim pokoju i przez okno patrzył na ulicę. Słuchawka leżała na widelkach. Na zewnątrz słyCHAĆ było tumult i odgłosy policyjnych syren.

— Tu jest klucz — zwrócił się do niego Anton. — Strasznie śmierdzi tam na dole, w popielnicze coś się skopciło.

Takes nie poruszył się.

— Przypominasz sobie tego człowieka, który wczoraj wieczorem siedział w kawiarni obok mnie?

— Oczywiście — odpowiedział Anton — to przecież byłem ja.

— Nie, chodzi o tego z drugiej strony, z którym rozmawiałem.

— Słabo.

— No więc właśnie popełnił samobójstwo.

Anton poczuł, że jego odporność psychiczna jest już na wyczerpaniu.

— Dlaczego? — wyszeptał, chociaż wcale nie zamierzał mówić szeptem.

— Dotrzymał danego kiedyś słowa — wyjaśnił Takes, mówiąc właściwie sam do siebie. — Gdy Lagesa w pięćdziesiątym drugim roku ułaskawiono, ten człowiek oświadczył: no, to po jakimś czasie go wypuszczą, ale wtedy ja skończę ze sobą. A my wtedy w śmiech — że zestarzeje się jak Matuzalem...

Anton stał jeszcze przez chwilę ze wzrokiem wbitym nieruchomo w plecy Takesa. Potem odwrócił się i wyszedł z pokoju. Staruszek w bluzie od pidżamy zniknął. Za którymiś drzwiami aksamitny głos z radia śpiewał: Red roses for a blue lady...

I

I wtedy... i wtedy... i wtedy... Czas płynie. Przynajmniej to mam już za sobą — mawiamy nieraz — ale co mnie jeszcze czeka? Zgodnie z przyjętymi formami stylistycznymi jesteśmy zwrócenii twarzą ku przyszłości, mając za plecami przeszłość. Większość ludzi tak to właśnie odbiera. Przyszłość jest niejako przed nami, przeszłość za nami. Dla osobowości dynamicznych terażniejszość jest okrętem, który pruje dziobem fale na wzburzonym oceanie przyszłości; dla osób spokojniejszych jest ona raczej promem, który łagodnie dryfuje z prądem po rzece. W obydwu tych przenośniach jest jednak coś szczególnego: bo jeśli czas jest ruchem, to musi on zachodzić w jakimś innym czasie, i w ten oto sposób powstaje niezliczona ilość czasów — jest to obraz, malowidło z gatunku tych, które na ogół rażą smak rozsądnych racjonalistów; ale wizje, którym początek dają uczucia, niewiele sobie robią z rozsądku. Ten, kto ma przyszłość przed, a przeszłość za sobą, ten, dodajmy, ma jeszcze w inny sposób do czynienia z czymś niezrozumiałym. Polega to na tym, że dla niego wydarzenia w taki czy inny sposób są już obecne w przyszłości, w pewnym momencie osiągają terażniejszość, aby wreszcie oddalić się spokojnie w przeszłość. Ale w przyszłości nie ma nic, jest ona pusta, w następnej chwili można umrzeć, tak że taki ktoś jest zwrócony twarzą ku nicości, i właśnie tylko za sobą może cokolwiek zobaczyć: jest to przeszłość taka, jaką zachował w swej pamięci.

Jeśli dlatego Grecy, rozmawiając o przyszłości, powiadają: „Czego to jeszcze nie mamy za sobą?” — to w tym rozumieniu Anton Steenwijk też był Grekiem. On także był zwrócony plecami ku przyszłości a twarzą ku przeszłości. Gdy niekiedy roz-

myślał o czasie, to wydarzenia z przyszłości nie nadchodziły poprzez teraźniejszość przechodząc do przeszłości, ale te z przeszłości rozwijały się w teraźniejszość po drodze ku niepewnej przyszłości. Za każdym razem myślał przy tym o pewnym doświadczeniu, które wykonał na strychu w domu wuja: o sztucznym życiu! Do roztworu szkła wodnego (tej kleistej cieczy, w której jego matka na początku wojny przechowywała jajka) wrzucił kilka kryształków siarczanu miedzi — w niezapomnianym kolorze błękitu, który wiele lat później ponownie ujrzał w Padwie, na freskach Giotto. W martwej bladej szkła wodnego zaczęły one pączkować, osmotycznie rosnać, pęcznieć, łączyć się i rozwijać w coraz dłuższe witki.

Do Padwy pojechał w podróż poślubną ze swoją drugą żoną, Elisabeth. Było to w 1968 roku, w rok po rozwodzie z Saskią. Elisabeth studiowała historię sztuki i pracowała na niepełnym etacie w administracji supernowoczesnego szpitala, nowym miejscu pracy Antona, gdzie nic nie funkcjonowało jak należy, ale tutaj lepiej zarabiał. Jego nowy teść ożenił się tuż przed wojną i jako młody urzędnik wyruszył do pracy w administracji w Indiach Holenderskich, gdzie Japończycy od razu zamknęli go w obozie. Pracował także przy budowie kolei w Birmie, ale o swoich doświadczeniach wojennych mówił równie mało jak Anton. Elisabeth urodziła się wkrótce po powrocie rodziców do Holandii i w ogóle się z tym wszystkim, co oni przeżyli, nie zetknęła. Miała niebieskie oczy, ale ciemne, prawie czarne włosy; choć nigdy nie była w Indonezji ani też w jej rodzinie nie było żadnej domieszki indonezyjskiej krwi, miała w rysach twarzy i w sposobie poruszania się coś wschodniego. Anton zastanawiał się niekiedy, czy może w twierdzeniu Łysenki, że cechy nabyte także mogą być dziedziczone, nie zawiera się jakieś ziarno prawdy.

W rok po ślubie urodził im się syn, któremu nadali imię Peter. Ponieważ Saskia z Sandrą nadal mieszkały w starym domu, Anton kupił dom z ogrodem w południowej części Amsterdamu. Biorąc syna w ramiona, nieraz uświadamiał sobie tę prawdę, że dystans dzielący to dziecko od drugiej wojny światowej jest bez porównania dłuższy niż dystans dzielący jego samego od pierwszej — a co dla niego znaczyła pierwsza wojna? Mniej niż

wojny peloponeskie. Zdawał sobie sprawę z tego, że dotyczyło to także Sandry, ale nigdy wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

Odtąd spędzał urlopy w Toskanii, w okolicy Sieny, w obszernym, starym domu na skraju wsi, kupionym za niewielkie pieniądze i odnowionym przez miejscowego wykonawcę. Nie miał on tylnej ściany, bo opierał się o wykutą w zboczu wzgórza wnękę. W jednym miejscu skała pozostała widoczna: wewnątrz domu kamień, biegnący ukośnie, żyłkowanym, żółto-brązowym pasmem wychodził ponad tynk; Anton lubił kłaść na tym kamieniu ręce, dawało mu to poczucie, że ma w swoim pokoju całą ziemię. Na ferie zimowe i święta Bożego Narodzenia też tam jeździli wielkim samochodem combi i odtąd życie Antona toczyło się właściwie od wakacji do wakacji. Gdy siedział na swoim tarasie, w cieniu oliwkowego drzewa, spoglądał na zielone wzgórze z winnicami, cyprysami, oleandrami oraz sterczącą tu i ówdzie kwadratową wieżycą z blankami, na cały ten cudowny pejzaż, który był więcej niż pięknym krajobrazem, bo oto wydawał się być w jednej chwili panoramą Renesansu, w następnej — dekoracją z epoki starożytnego Rzymu, ale w każdym przypadku był bardzo odległy od Haarlemu i wojennej zimy 1945 roku. Dobijając do czterdziestki Anton coraz częściej przemyślał nad tym, żeby się tu na stałe osiedlić, gdy Peter wyfrunie z rodzinnego gniazda. I oto pewnego dnia stał się posiadaczem aż czterech domów. Ponieważ na weekendy też musiał dokądś jeździć, kupił jeszcze w Geldrii małą zagrodę, na którą zwrócił jego uwagę De Graaff. Saskia i Sandra też oczywiście mogły z niej korzystać, tak samo jak i z domu w Toskanii, jeśli im akurat pasował termin urlopu. Saskia wyszła ponownie za mąż za jakiegoś obojętą, nieco młodszego od niej, znanego już za granicą i zawsze tryskającego dobrym humorem. Miał on także jedno dziecko i z pewnością po jakimś czasie też posiadać będzie własną kolekcję domów. (Pani De Graaff nie mogła przejść do porządku dziennego nad tym małżeństwem, ale Saskia zawsze wyraźnie się różniła od koleżanek — tych dziewcząt w plisowanych spódniczkach, w pantoflach na niskich obcasach, jedwabnych apaszkach i ze sznurkiem pereł na szyi — posiadających głównie świadomość przynależności do swojej sfery i mało co

poza tym). Jeden tylko raz pojechali na wakacje do Włoch w czwórkę, plus troje dzieci. Jeśli dawało się zauważyć coś ze wzajemnego zrozumienia, które nadal istniało pomiędzy Antonem a Saskią, to Elizabeth bywała nieco zazdrosna, natomiast mąż Saskii śmiał się z tego: doskonale rozumiał, że właśnie to wzajemne zrozumienie przyczyniło się także do ich rozvodu. Elisabeth, najmłodsza z całej czwórki, nie bardzo rozumiała, co w życiu najważniejsze, lecz równocześnie na swój sposób dominowała nad pozostałymi. Z czasem wszyscy zaczęli mówić na nią „mama”, co Antonowi sprawiało przyjemność.

Migreny wydawały się z wiekiem ustępować, ale mając około czterdziestki Anton przez rok odczuwał inne kłopoty: był przybity i zmęczony, dręczyły go nocne koszmary, a gdy się budził, nawiedzały go troski i pełne niepokoju przecucia — że ze wszystkim jest coś nie tak: i z tymi czterema domami, i z Sandrą, którą zostawił, i ze wszystkim, ze wszystkim. Jak samotny, jesienny liść krążył w nim nieustannie i trzepotał strzęp bezradności, znany mu dotąd tylko z tych momentów, gdy pacjent umierał pod jego ręką: oto w jednej chwili człowiek przemieniał się w odpad. Prostował się wtedy, każdy się wtedy prostował w milczeniu, wyłączano aparaty, jedną ręką ściągał z twarzy maskę, drugą zdejmował czapkę i powłócząc nogami, z głową nieco przekrzywioną w bok, wychodził z sali operacyjnej. I nagle, pewnego upalnego dnia we Włoszech popadł w głęboki kryzys, który okazał się być nie tylko punktem kulminacyjnym, ale równocześnie i zakończeniem tych męczących miesięcy.

Ponieważ u miejscowego rzeźnika nie było nigdy żadnego innego mięsa prócz cielęciny, Elisabeth pojechała rano z Peterem do Sieny. Najczęściej Anton sam robił zakupy w mieście, choćby tylko po to, żeby trochę posiedzieć na tarasikach Il Campo — tej niezapomnianej skorupy wieków, dowodzącej, że i w architekturze postęp nie istnieje; lecz tego ranka czuł się nie najlepiej i wolał zostać w domu. Trochę czytał, i nagle uderzyła go cisza. Podniósł głowę znad książki, jego wzrok zatrzymał się na stojącej na stole zapalniczce w formie kostki do gry, którą dostał kiedyś od rodziców Elisabeth. Niespokojnie zaczął się przechadzać po nieregularnych w formie, pobielonych pokojach, po kręconych schodach o nierównych stopniach zszedł na dół i z powro-

tem wszedł po nich na górę, od czasu do czasu przysiadł, ale wtedy czuł się jeszcze gorzej, tak że natychmiast znowu wstał. Ale co to znaczy gorzej? Nic go przecież nie bolało, nie miał temperatury, wszystko było w porządku a równocześnie nie w porządku. Chciał, żeby Elisabeth i Peter jak najszybciej wrócili — mają natychmiast wrócić. Działo się z nim coś, czego nie rozumiał; czuł się jak zaszczuty; podszedł do krawędzi tarasu, ale niknąca w oddali za wzgórzem wiejska droga ze starym, na wpół rozwalonym wiatrakiem była pusta. Wszedł ponownie do domu, wyszedł z niego głównymi drzwiami i po stromych stopniach wspiał się na biegnącą na wysokości dachu ulicę. Może Sandra z Peterem poszli najpierw na mały spacer? — ale nie, samochodu na zwykłym miejscu nie było. Centralny plac, bez drzew i o wiele za duży jak na taką wieś, był skąpany w słońcu. Przechodził po nim tylko jakiś starszy mężczyzna i staruszka w czerni; w czarnym cieniu kościoła siedziało też paru starców, ale mężczyzna i kobieta szli po nasłonecznionej stronie placu: dwie jakby zwęglone postacie w oślepiającym słonecznym blasku.

I oto, gdy tak tam stał, uniosła się nagle nad nim szara góra, jak fala przypływu, i zwała się na niego. Anton zeskoczył po stopniach w dół, zatrzasnął za sobą drzwi wejściowe od domu i drząc cały, rozejrzał się wokoło. Nieruchome, jasno wytynkowane ściany krzychały mu prosto w twarz swą białością, zakręć schodów, szorstkie, drewniane belki sufitu, wszystko to ziało niebezpieczeństwem, które rozbijało coś w jego mózgu; skała przebijała poprzez tynk i poprzez jego głowę. Przycisnąwszy obydwie dłonie do piersi, Anton wyszedł na taras: cyprysy; wszędzie na wzgórzach cyprysy płonęły czarnym ogniem. Uświadomił sobie, że szczeka zębami, jak małe dziecko, które wyszło z morza, nie jednak nie mógł na to poradzić. Działo się coś z tym światem, nie z nim, granie świerszczy było nie do wytrzymania. Anton wbiegł z powrotem do domu, czerwonego od płytek posadzki. Nad kominkiem wisiało jego stare lustro, to z amorkami; czarne oczka na kostce do gry. Wiedział, że musi się opanować, nie pozwolić się temu wylać, żeby nie stracić nad sobą kontroli. Usiadł na prostym krześle przy stole, takim nieco za małym, włoskim krześle z plecionym siedzeniem, ukrył twarz w dłoniach, zamknął oczy i próbował się odprężyć.

Takiego właśnie, siedzącego nieruchomo, ale drżącego całym ciałem, jak pomnik podczas trzęsienia ziemi, znalazła go trochę później Elisabeth. Gdy dostrzegła błysk w jego oczach, nie zastanawiała się, czy wzywać lekarza, ale natychmiast to zrobiła. Anton spoglądał na Petera i próbował się uśmiechnąć. Potem na pełną siatkę, którą Elisabeth postawiła na stole. Na samej górze leżała jakaś paczka: papier puścił, rozwinął się jak kwiat, odsłaniając krwisty kawałek mięsa.

Lekarz przybył natychmiast i — dając do zrozumienia, że to sprawa zupełnie oczywista i że podobne wypadki nie powinny budzić niczyjego zdziwienia — zaaplikował Antonowi zastrzyk, po którym spał piętnaście godzin i obudził się następnego ranka rześki i pogodny. Pozostawił również receptę na valium, które należało zażywać, gdyby podobna sytuacja kiedyś się powtórzyła, ale Anton natychmiast ją podarł. Nie dlatego, że sam mógł ją sobie wypisać, ale ponieważ wiedział, że jeśli teraz zacznie łykać tabletki, to będzie to robił już do końca życia. Potem napady takie powtórzyły się jeszcze kilkakrotnie, ale za każdym razem były coraz słabsze i w końcu ustąpiły zupełnie, jakby zastraszone podarciem recepty, przez co Anton zademonstrował, kto tu naprawdę jest panem.

I tylko ten dom i widok z jego tarasu, jak się okazało, nie wyszły z tego całkiem bez szwanku: od owego dnia straciły coś ze swej doskonałości, jak piękna twarz zeszpecona blizną.

Czas płynął. Anton wcześniej siwiał, ale nie łysiał, podobnie jak jego ojciec. Podczas gdy wygląd otaczających go ludzi coraz bardziej się proletaryzował, w takim samym stopniu, w jakim zanikał sam proletariatus, on nadal nosił angielskie marynarki, koszule w kratkę i krawat. Powoli doszedł do wieku, w którym spotykał w swoim otoczeniu coraz więcej starszych osób, poznanych jeszcze wtedy, gdy miały tyle lat, co on teraz. Było to zdumiewające odkrycie, w następstwie którego inaczej zaczął patrzeć zarówno na starych, jak i na młodych, ale przede wszystkim na siebie samego. Pewnego dnia stał się starszy, niż był kiedykolwiek jego ojciec, co wywołało w nim poczucie winy, które mogłoby stać się mocnym zarzutem: *Quod licet lovi, non licet bovi!* Pod-

czas gdy wcześniej nigdy nie użyłby porzekadła typu: „Co raz ze stołu spadło, to przepadło”, albo: „Lepsze jest wrogiem dobre- go”, albo: „Posiadanie jest końcem przyjemności” — teraz doszedł do wieku, w którym takie powiedzenia trafiały według niego w samo sedno sprawy. Odkrył, że nie były to tylko wyświechtane zwroty, lecz mądrości wyrażające w skondensowany sposób doświadczenie życiowe całych pokoleń, choć były to prawdy dość przygnębiające. Nie stanowiły one odbicia mądrości tych, co to niebo i gwiazdy szturmują, bo tacy nie zaliczają się do mędrców, ale on też do takich nigdy przecież nie należał. To zostało mu zaoszczędzone.

Gdy zmarła jego ciotka, dał oprawić w ramy jej portret i postawił go na swym biurku obok fotografii wuja: nie w jednym ze swoich domów, ale w swoim pokoju w szpitalu. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych umarł także De Graaff. Na jego kremacji było znacznie mniej osób niż przy poprzedniej okazji. Wśród przybyłych był również Henk z posiwiłym wąsem, i Jaap z białą jak gołąb czupryną, ale minister i burmistrz też przenieśli się już na tamten świat, podobnie jak protestancki pastor, poeta i wydawca. Nie było i Takesa, którego Anton nigdy już więcej nie spotkał, ale gdy się o niego rozpytywał, każdy odpowiadał, że powinien jeszcze być wśród żyjących, choć w ostatnich latach nikt już nic o nim nie słyszał. W kilka tygodni później zmarła także jego poprzednia teściowa. Gdy Anton, stojąc po raz drugi w tym samym krematorium obok Sandry, Saskii i jej męża, patrzył na trumnę opuszczaną w podziemie, gdzie buszował ogień, zdziwiło go, że jej lśniąca, czarna laska ze srebrną gałką nie leżała na wieku, tak jak buława, kiedy chowa się generała.

Wojna stawiała się, choć z przerwami, coraz nowocześniejsza, dzięki nowym książkom i programom telewizyjnym, jednocześnie zaś była coraz odleglejszą przeszłością, jeśli można to tak określić. Gdzieś, poza widnokresem, zamach na Ploega rdzewiał, zamieniając się w ponury incydent, o którym mało kto, oprócz samego Antona, jeszcze cokolwiek słyszał — była to już tylko straszna bajka z dawnych czasów. Pewnego dnia szesnastoletnia już Sandra wyraziła chęć zobaczenia tego miejsca, w którym zginęli jej dziadkowie i wuj. Zarówno Saskia jak i Elisabeth uznały, że nie jest to dobry pomysł, ale Anton odniósł się do

tego ze zrozumieniem i pewnego sobotniego popołudnia, a był to akurat maj, pojechał z nią do Haarlemu: czteropasmową autostradą poprzez nie kończące się dzielnice bloków mieszkalnych, poprzez trzykondygnacyjne skrzyżowania, które wchłonęły również kanał. Anton nie był tam od ponad ćwierć wieku, nawet Saskii i Elisabeth nigdy nie pokazał tego miejsca.

A oto i ono. Antona śmiech ogarnia. Ziejąca pustką dziura została wypełniona złotym zębem. Tam, gdzie niegdyś był jego dom, stał teraz, pośrodku starannie przystrzyżonego gazonu, niski, biały bungalow w stylu lat sześćdziesiątych, z szerokimi oknami, płaskim dachem i garażem w przybudówce. Na tablicy widniał napis: do sprzedania. Anton od razu zauważył, że i dom Beumerów został przebudowany; na dole było teraz tylko jedno duże pomieszczenie, a z boku na piętrze nowe, szerokie okno mansardowe. W ogrodzie domu znajdującego się najbardziej na prawo także stała tablica — z nazwiskiem notariusza. Żaden z trzech starych domów nie miał teraz nazwy; z pewnym wysiłkiem usiłował przypomnieć sobie, który z nich był „Przytulnym”, a który „Oazą Spokoju”. Pamiętał natomiast doskonale, że sąsiedzi z drugiej strony, Kortewegowie, mieszkali w „Niespodziance”. Po obydwu stronach tamtych czterech domów też pobudowano bungalowy, a na polach za nimi powstało nowe osiedle mieszkaniowe. Po drugiej stronie kanału, tam gdzie niegdyś rozścielały się aż do samego Amsterdamu łąki, ujrzeli oblaną słońcem nową część miasta, z blokami mieszkalnymi, biurami i szerokimi, ruchliwymi ulicami. Tylko tuż nad samą wodą stało jeszcze parę starych domostw, a nieco dalej młyn.

Anton zaczął opowiadać Sandrze, jak to wszystko dawniej wyglądało, ale spostrzegł, że jej trudno jest to sobie wyobrazić — podobnie jak wtedy, gdy pewnego razu starał się jej wyjaśnić, co to była głodowa zima. Gdy stojąc po drugiej stronie jezdnii z motywem jodełki starał się opisać, jak wyglądał „Wypoczynek” — oczami wyobraźni widząc ów stary dom z trzcinowym dachem i wykuszami jak zjawa stojący na tym samym miejscu — z bungalowu wyszedł jakiś mężczyzna w dżinsach i z nagim torsem. Mężczyzna przedstawił się, nazywał się Stommel. Czy mógłby w czym pomóc? Anton odparł, że chciał pokazać córce, gdzie kiedyś mieszkał, na co mężczyzna zaproponował, że może zechcą

również obejrzyć dom od wewnątrz. Sandra spojrzała pytająco na ojca: to przecież nie ten sam dom, w którym on mieszkał; Anton złożył usta w trąbkę, przymknął oczy i pokiwał głową, Sandra wywnioskowała z tego, że ojcu jest to właściwie obojętne. Anton zauważył, że Stommel prawdopodobnie przyjął jego oświadczenie jako pretekst zgłoszony przez ewentualnego nabywcę. Przechodząc przez jezdnię, wypatrywał tamtego miejsca przy krawężniku, ale teraz nie potrafił go już dokładnie wskazać.

Wewnątrz domu też wszystko było przestronne i jasne. Tam gdzie niegdyś był ich korytarz, salon, jadalnia ze stołem pod lampą, wszystko to ciasne i ciemne, teraz od wykończonej ciemnym drewnem kuchni aż do białego fortepianu po drugiej stronie salonu rozciągał się błękitny dywan. W kącie pokoju leżeli na brzuchu przed telewizorem dwaj chłopcy, którzy słysząc wchodzących nawet się nie obejrżeli. Pokazując także jasne sypialnie w tylnym skrzydle domu, Stommel wyjaśniał, że kupił nieruchomość zaledwie przed pięciu laty, teraz jednak okoliczności zmuszają go do jej sprzedaży, ale gotów jest pogodzić się ze stratą. Wyszli również na chwilę do ogrodu. Nie było już żywopłotu, przez który tylekroć przełaził na drugą stronę. Sąsiedzi w poprzedniej „Niespodziance”, łagodny starszy pan i siwa pani indonezyjskiego pochodzenia, siedzieli pod ogrodowym parasolem. Dopiero po pewnym czasie Anton zorientował się, że jest to ta miła, młoda para sprzed lat z dwojgiem małych dzieci. W tym momencie pojawiła się mocno wymalowana małżonka Stommela, która przedstawiła się jako „pani Stommel”. Nazbyt przymilnie zaproponowała, aby się czegoś napili, lecz Anton podziękował za oprowadzenie po domu i pożegnał się. Zanim Stommel wyciągnął ku niemu rękę, Anton otarł swoją o bok spodni, przez co pozbył się z niej jedynie nadmiaru potu.

Z Sandrą pod rękę poszli spacerowym krokiem do pomnika na końcu nabrzeża. Ścieżka nad samym kanałem zastąpiona została drewnianym opalowaniem. Rododendrony rozrosły się tak, że tworzyły teraz solidną ścianę zieleni, pokrytą ciężkimi kiśćmi kwiatów, a stojąca pośród nich egipska kobieta zaczynała już tracić ostrość konturów. Sandra z niedowierzaniem wpatrywała się w swoje nazwisko na płycie z brązu; było jasne, że nigdy nie zrozumie do końca, co się tu właściwie stało. Natomiast

Anton wpatrywał się w kolejne nazwisko widniejące w rządku z nazwiskiem jego matki: „J. Takes”. Przypomniawszy sobie, że Takes opowiadał mu, iż jego najmłodszy brat był jednym z zakładników, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że w takim razie jego nazwisko też musi tu figurować. Pokiwał powoli głową, na co Sandra zapytała: — Co takiego? — Nic — odpowiedział.

Trochę później na wypełnionym ludźmi tarasie restauracji w Haarlemmer Hout, gdzie znajdowały się kiedyś garaże komendantury Wehrmachtu (w miejscu samej komendantury stał teraz nowy gmach banku), opowiedział Sandrze po raz pierwszy o swojej rozmowie z Truus Coster; o tamtej nocy w podziemiu komisariatu policji w Heemstede, przy czym równocześnie uświadomił sobie, że jeszcze ani razu tam nie był i że teraz też tam nie pójdzie. Sandra nie rozumiała tego, że ojciec może mówić o tej kobiecie z taką sympatią: czy nie była ona współodpowiedzialna za to wszystko, co się wówczas wydarzyło? Anton poczuł, że ogarnia go ogromne zmęczenie. Pokręcił głową i odpowiedział: — Każdy zrobił to, co zrobił, i nic innego. — W tej samej chwili z całą wyrazistością uświadomił sobie, że Truus Coster powiedziała mu wówczas to samo — i to tymi samymi słowami albo nieomal identycznymi — i równocześnie, po nieomal trzydziestu pięciu latach, usłyszał nagle jej głos, bardzo daleki i cichy „...on myśli, że ja go nie kocham...” Zastygł w bezruchu i słuchał, ale dalej była już tylko cisza. Nic więcej nie powróciło. W oczach zaślnęły mu łzy. Wszystko nadal istniało, nic nie zniknęło: światło i spokój pomiędzy wysokimi, prostymi bukami, pasmo niższych drzew w miejscu, gdzie kiedyś była zaporą przeciwczołgowa. Tutaj razem z Schulzem wsiadł do samochodu, gdy w powietrzu unosiły się ostre, lodowe igiełki. Poczul dłoń Sandry na swojej ręce; położył na niej swoją dłoń, ale nie miał odwagi spojrzeć na córkę, bo wtedy mógłby się rozplakać. Sandra cicho spytała, czy kiedykolwiek był na grobie Truus. Gdy pokręcił przecząco głową, zaproponowała, żeby zrobili to teraz.

W kwaciarni Sandra chciała najpierw kupić za swoje pieniądze pasową różę, ale ze sklepu wyszła z biskupią, ciemną, nieomal granatową, pasowych już nie było. Potem pojechali na wydmy, na Cmentarz Bohaterów. Zaparkowali samochód obok kilku innych już tam stojących i krętą alejką poszli pod górę,

w kierunku flagi powiewającej na wierzchołku wydmy. Słysząc było tylko brzęczenie owadów wśród krzewów, a bliżej szczytu — łopotanie flagi.

W obramowanym niskim murkiem prostokącie znajdowało się kilkaset grobów w regularnych, prostokątnych kwaterach z wysypanymi czyściutkim, jasnym żwirem alejkami pomiędzy nimi. Mężczyzna z ogrodowym węzem w ręce polewał trawę; tu i ówdzie starsi ludzie zajęci byli pielęgnowaniem kwiatów na grobach albo siedzieli na ławeczkach pogrążeni w rozmowie. Również w cieniu wysokiego muru z nazwiskami, czy też jakimiś tekstami uwiecznionymi w brązie, siedziało kilka osób. Nikogo nie rozpoznawszy Anton uświadomił sobie, czego oczekiwał: że może spotka tu Takesa. Sandra zwróciła się do ogrodnika z pytaniem, czy nie wie czasem, gdzie jest grób Truus Coster. Bez zastanawiania się mężczyzna wskazał kwaterę, obok której właśnie stali.

Catharina Geertruida Coster

* 16.9.1920

† 17.4.1945

Sandra złożyła swoją granatową różę na szarym kamieniu, stanęła obok ojca i przez chwilę razem na nią patrzyli. Łopotanie flagi w tej ciszy i uderzenia linki o maszt były bardziej żałobne niż jakakolwiek muzyka. Tam niżej, w piasku, było teraz znacznie ciemniej niż wówczas, pomyślał Anton. Rozejrzał się wokoło, spoglądając na rozplanowane z matematyczną regularnością kwatery, do których sprowadzono tutaj okropności wojny, i pomyślał: Muszę się spotkać z Takesem, jeśli jeszcze żyje, muszę mu koniecznie powiedzieć, że ona go kochała.

Ale gdy następnego dnia zjawił się na Nieuwe Zijds Voorburgwal, „d’Otter” był zburzony — najwidoczniej od dłuższego czasu, bo na pomalowanym na zielono ogrodzeniu zebrało się już kilka warstw plakatów. Gdy nie udało mu się go odnaleźć również w książce telefonicznej, dał sobie spokój.

Dopiero w dwa lata później, 5 maja 1980 roku, zobaczył go przypadkowo w telewizji, w programie rocznicowym, który prawie się kończył, gdy Anton włączył odbiornik: siwy starzec

z białą brodą i zniszczoną twarzą, którą rozpoznał jedynie dlatego, że na chwilę wyświetlono jego nazwisko:

Cor Takes

bojownik ruchu oporu

— Dajcie spokój z tymi bzdurami — powiedział właśnie w tym momencie Takes do kogoś, kto siedział obok — wszystko to była tylko wielka kupa gruzu. Nie chcę właściwie już o tym słyszeć.

Z drugiej zaś strony Anton coraz częściej widywał w mieście małe, białe bagażówki, na których wypisane było czerwonymi literami: FAKE PLOEG SANITAIR BV.

II

Podobnie jak morze wyrzuca w końcu na brzeg wszystko, co zgubiły statki — i plażowa zamiatarka zbiera to przed zachodem słońca — tak też ten wojenny wieczór 1945 roku raz jeszcze pojawił się w życiu.

W drugiej połowie grudnia 1981 roku, w pewną sobotę, Antona obudził okropny ból zęba. Należało temu jak najszybciej jakoś zaradzić, o dziewiątej zatelefonował do gabinetu swojego dentysty, który leczył go już od ponad dwudziestu lat, ale nikt nie podnosił słuchawki. Po chwilowym wahaniu wykręcił jego numer domowy. Dentysta poradził mu, żeby zażył aspirynę, ponieważ dziś akurat nie ciągnie go do zębów trzonowych, lecz zupełnie gdzie indziej: wybiera się na demonstrację.

- Na demonstrację? Przeciwno czemu?
- Przeciw zbrojeniom atomowym.
- Ależ ja tu konam z bólu!
- Jak to możliwe, tak nagle?
- Już od paru dni czułem, że to nadchodzi.
- To dlaczego nie przyszedłeś wcześniej?
- Byłem w Monachium, na kongresie.
- Czyżby koledzy anestezjologscy nie znali żadnych środków przeciwbólowych? A tak nawiasem mówiąc, czy ty nie będziesz na tej demonstracji?

— Słucham? Oszczędź mnie, błagam, to nie dla mnie.

— Nie? Ale ból zęba, to owszem? Posłuchaj mnie, przyjacielu. Ja też demonstruję dzisiaj po raz pierwszy w życiu. Jestem gotów ci pomóc, ale tylko pod warunkiem, że też pójdziesz z nami.

— Zgoda, stary draniu, zrobię wszystko, co zechcesz, jeśli mnie tylko przyjmiesz.

— Przyjdź więc o wpół do dwunastej do mojego gabinetu; wprowadzie nie będzie asystentki, bo ta też demonstruje, ale jakś sobie bez niej poradzę.

Tak więc nic nie będzie z weekendu w Geldrii, na który cieszył się po powrocie z Niemiec. Oznajmił Elisabeth, żeby pojechała na wieś bez niego, tylko z Peterem, ale ona wcale nie miała takiego zamiaru: jak pielęgniarka podała mu talerzyk: leżał na nim biały bibułkowy krążek do filtrowania kawy z suchą, brązową pałeczką długości około centymetra, zakończoną małym kielichem przechodzącym w kulkę.

— Co to ma być?

— Goździk. Włóż go sobie do zęba. W Indonezji zawsze tak robią.

Sposób, w jaki ją nagle do siebie przytulił, nieomal ze łzami w oczach, wydał jej się mocno przesadzony:

— Daj spokój, Ton, nie bądź taki afektowany.

— Nie mam, niestety, dziury w zębie, nie wiem, skąd ten ból, i nie wiem, co to jest, ale zjem to.

Nic jednak z tego nie wyszło, żucie było wykluczone. Chodził po domu z otwartymi z bólu ustami, jak te z szyldu nad drogerią. Myślał o tej demonstracji, na którą zaraz miał pójść. Czytał coś o tym, miała to być największa demonstracja w Europie, ale nie przyszło mu zupełnie do głowy, ani żeby wziąć w niej udział, ani też, żeby nie brać: przyjął po prostu ten fakt do wiadomości, tak jak prognozę pogody. Tyle było podobnych spraw. Zbliżał się rok dwutysięczny, coraz wyraźniej wyczuwalny był strach związany ze zmianą tysiącleci, podobnie jak tysiąc lat wcześniej. Bomby atomowe służyły do odstraszenia, nie chodziło o to, żeby ich użyć, ale żeby utrzymać pokój. Jeśli tego rodzaju paradoksy się polikwiduje, to wzrośnie szansa na wojnę konwencjonalną, z bombami atomowymi w jej końcowym stadium. Z drugiej strony czuł się nieswojo w związku z oświadczeniami

tego starego faceta z Ameryki, że ograniczona wojna jądrowa też jest możliwa i to właśnie w Europie, gdzie byłaby wojną totalną. To, że z kolei pewien stary jegomość w Związku Radzieckim oświadczył, że nie może być o tym mowy, bo w takim przypadku on zniszczy całą Amerykę, przyniosło mu autentyczne uspokojenie. Ale to także oznaczało, że nie należy likwidować broni jądrowej.

Wypił herbatę z rumianku, którą przygotowała mu Elisabeth, i siedząc na kanapie próbował wypełnić sobie czas rozwiązywaniem krzyżówki. Czy Bóg Słońca nie zna jaśniejszego opisu tej kupy gruzów? Sześć liter. Miał takie wrażenie, jakby nie potrafił nawet myśleć z otwartymi ustami. Medytował nad tym, choć czuł, że rozwiązanie nie jest raczej trudne, nic mu jednak nie przychodziło do głowy. Gabinet dentysty mieścił się niedaleko od jego poprzedniego domu, o wpół do jedenastej postanowił, że pójdzie tam pieszo.

Było chłodno i pochmurno. Z bólem takim, jakby mu ktoś wiercił dziurę w całej szczęce, szedł coraz bardziej zatłoczonymi ulicami. Nad śródmieściem krążył helikopter, nieco dalej nie jeździły już tramwaje ani samochody, najwidoczniej całe centrum zostało odcięte, nawet jezdnia wypełniona była ludźmi podążającymi w tym samym kierunku, wielu z rozwiniętymi transparentami. Byli wśród nich również obcokrajowcy; dostrzegł grupę wojowniczo wyglądających mężczyzn w zawojach na głowach, w szerokich spodniach, z ładownicami, przy których brakowało pistoletów i krzywych szabel, byli to być może wygnani Kurdowie, śmiejąc się i śpiewając kroczyli oni elastycznym, pustynnym krokiem za transparentem z jakimś arabskim tekstem: jeśli wzywano na nim do Jihad, świętej wojny, to i tak nikt nie mógł się tego doczytać. Wkrótce ulice były tak wypełnione, jak w maju 1945 roku: wielkie tłumy nadciągały ze wszystkich stron na Museumplein. Perspektywa, że wkrótce będzie musiał dołączyć do tych ludzi, zwiększała jeszcze jego ból. Aż strach pomyśleć, co się może zdarzyć, jeśli wybuchnie panika, jeśli prowokatorzy wezmą się do dzieła; w tym okresie w Amsterdamie wszystko było możliwe! Na szczęście, z wyjątkiem helikoptera na niebie, nigdzie nie było widać policji.

Przybywszy do gabinetu, zadzwonił. Nikt nie otwierał, więc

trochę trzęsąc się z zimna (czy czegokolwiek innego, co nim trzęsło), czekał na progu. Bóg słońca to oczywiście Ra, tego jest absolutnie pewien. A więc bezradny, który nie... rakietą?, Rafael? rajcować? Było to poczęcie boga. Więc może radość? nie, nie, tu chodziło o przybory piśmienne Boga Słońca, przy pomocy których dokonywał on swych zapisów... U wylotu bocznej uliczki, na której stał Anton, nieprzerwanym potokiem przelewał się gęsty tłum. Dentysta, utykający na nogę, nadszedł w kilka minut później ze swoją żoną pod ramię i wybuchnął na jego widok śmiechem.

— Ależ ty przecież wyglądasz kwitnąco!

— Tak, łatwo ci się śmiać — odpowiedział Anton. — Miły z ciebie lekarz, który szantażuje swoich pacjentów.

— Wszystko dla dobra ludzkości. W pełnej zgodności z duchem Hipokratesa.

Na tę okoliczność Gerrit-Jan założył swój feudalny w stylu, myśliwski garnitur: zielona kurtka, pod nią zielony knickerbocker i ciemnozielone skarpety. Jego but ortopedyczny był teraz bardziej widoczny niż kiedykolwiek. Gdy weszli do gabinetu, zadzwonił telefon.

— Och, nie, to wprost nieprawdopodobne — odpowiedział Van Lennep do słuchawki — jeszcze jeden!

Była to Elisabeth. Peter także wyraził życzenie wzięcia udziału w demonstracji. Anton odpowiedział, żeby w takim razie przyjechał na rowerze do gabinetu Van Lennepa i zaczekał na niego na zewnątrz. Van Lennep rzucił płaszcz na biurko asystentki.

— No, to pokaż, przyjacielu, który to?

Podczas gdy jego żona poszła jeszcze do toalety, bo wkrótce nie będzie to już możliwe, Van Lennep skierował światło lampy na usta Antona i palcem dotknął zęba. Ból natychmiast odbił się rykoszetem w całej czaszce. Gerrit-Jan wziął szary papierek, położył go na ząb, polecił Antonowi ostrożnie zamknąć usta i lekko poruszać szczękami. Raz jeszcze popatrzył i zdjął wiertło z haka.

— Z zawodowego nawyku byłbym wdzięczny najpierw za zastrzyk znieczulający.

— Chyba zgłupiałeś. Tu nic nie ma. Usta szeroko!

Anton z całej siły zacisnął palce na poręczach fotela i patrzył na siwe, zaczesane na bok włosy pochylonego nad nim kolegi; przez dwie do trzech sekund odczuwał straszny ból, po czym Van Lennep oznajmił:

— A teraz zamknij usta.

Stał się cud. Ból oddalał się gdzieś daleko za horyzont, aż zupełnie zniknął, tak jakby go nigdy nie było.

— Jakże to, na litość boską, możliwe?

Van Lennep powiesił wiertło na swoje miejsce i wzruszył ramionami.

— Małe przeciążenie. Troszeczkę wysunął się w górę. To kwestia wieku. Wyplucz teraz i idziemy.

— Już po wszystkim? — zapytała zdziwiona pani Van Lennep po wejściu do pokoju.

— On zapewne sądzi — odezwał się Van Lennep z krzywym uśmiechem — że teraz nasza umowa jest już nieaktualna. Ale jeśli tak, to się myli.

Gdy czekali na zewnątrz na Petera, Anton zauważył:

— Wiesz co, Gerrit-Jan, już właściwie po raz drugi żądasz ode mnie politycznego działania. Różnica jest tylko taka, że tym razem ty też je podejmujesz.

— Kiedy zatem był ten pierwszy raz?

— Gdy uznałeś, że powinienem być pójść na ochotnika walczyć w Korei za chrześcijańskie przedmurze przeciwko komunistycznym barbarzyńcom.

Gdy żona Van Lennepa tłumiła śmiech, ten spojrział na Antona przeciągle. Kilka ulic dalej dudnił zwielokrotniony echem dziesiątek głośników głos niewidocznego mówcy.

— Wiesz, Steenwijk, co tobie dolega? Masz o wiele za dobrą pamięć. To ty jesteś szantażystą, jeśli już o tym mowa. Jeśli sobie myślisz, że stałem się komunistą, to się grubo mylisz. Bo i jakże mógłbym. Czarne nigdy nie będzie białe. Ale te bronie jądrowe zagrażają teraz rzeczywistości całej ludzkości. Trzeba to traktować jako rodzaj ataku z outer space; tutaj ludzkość jest zaledwie obiektem. Każda nowa fala zbrojeń wyzwala reakcję drugiej strony, na co z kolei pierwsza strona znów musi zareagować. Nieustannie, wzajemnie przerzucają na siebie odpowiedzialność i w ten sposób gromadzi się nieskończona ilość tego szmelcu,

aż któregoś dnia wszystko to wybuchnie, co jest pewne jak dwa a dwa cztery. Statystycznie rzecz biorąc, nie da się tego uniknąć. Jest to tak pewne jak to, że któregoś dnia Adam i Ewa zjedzą jabłko z drzewa wiadomości dobrego i złego. A więc trzeba te jabłka oberwać.

Anton pokiwał głową. Ten wywód zbił go z tropu, ale denty stom w ogóle się teraz w głowach przewracało, w kręgach medycznych było to ogólnie znanym faktem; może jednak było w tym, co przed chwilą usłyszał, jakieś racjonalne jądro. Nadjechał właśnie Peter, zsiadł z roweru i założył zamek. Patrząc na niego, przy akompaniamencie warkoczącego helikoptera i dochodzącej z oddali wrzawy, Anton poczuł nagle w sobie jakieś ciepłe uczucie, które, ku jego własnemu zdziwieniu, związało go z tym, co działo się teraz w mieście.

Na ostatnim odcinku drogi do miejsca zbiórki praktycznie nie posuwali się już do przodu. Pod wielkim czarnym balonem w kształcie spadającej rakiety stały od gmachu Concertgebouw aż do Rijksmuseum dziesiątki, setki tysięcy ludzi z hasłami i transparentami długimi niekiedy na dziesięć metrów, podczas gdy szerokością całej ulicy nadciągali wciąż nowi manifestanci. Z głośników na drzewach i latarniach płynęło przemówienie, wygłaszane prawdopodobnie przez kogoś stojącego dalej na podium, ale Anton nie zwracał najmniejszej uwagi na jego treść. Natomiast głębokie wrażenie wywarła na nim obecność tych wszystkich ludzi i świadomość, że dwaj w tym tłumie to on i jego syn. Stracił już z oczu swojego dentystę, ale nie miał też zamiaru specjalnie go wypatrywać. W pewnej chwili stało się to wręcz niemożliwe. Jak dwa żdźbła stali w tym ludzkim zbożu, z unoszącą się nad ich głowami kosą. Z obawy Antona przed paniką nie pozostało już ani śladu. Najbliżej niego, dosłownie ramię w ramię, stali, oprócz Petera, jakaś starsza pani z prowincji w przeźroczystej chustce okrywającej jej trwałą ondulację, masywny facet w krótkiej kurtce z brązowej skóry z futrzanym kołnierzem, z twarzą przyozdobioną wielkim wąsem i bokobrodami, jakaś młoda kobieta z niemowlęciem śpiącym w nosidełku na jej piersi. Tacy właśnie ludzie a nie inni. Pomiędzy hasłami wyrażającymi protest przeciwko broni jądrowej Anton dostrzegł nagle niewielką tablicę, a na niej napis: HIOB — OTO SA TU-

TAJ. Wskazał ten transparent Peterowi i opowiedział mu, kim był Hiob. Przez megafony ogłaszano, że w ciągu ostatniej pół godziny do Amsterdamu wjechało dwa tysiące autobusów: oznaczało to jeszcze jakieś sto tysięcy ludzi. Owacje, aplauz. Głos oznajmił, że z dworca napływają ciągle tysiące ludzi dowożonych specjalnymi pociągami; wszystkie ulice prowadzące do Museumplein były już zablokowane. Ale Antonowi przyszło nagle do głowy, że przecież to, iż głos ludzki może stać się tak donośny, też jest podobnym fenomenem jak istnienie broni atomowej. Czterdzieści lat temu nie znano ani jednego, ani drugiego, choć ówczesne wydarzenia były, być może, jeszcze bardziej okropne i nierozwiązywalne, niż można by sądzić...

Anton nie potrafił później określić, jak długo tam stał. Peter dostrzegł kolegę z klasy, pożegnał się z ojcem i zniknął mu z pola widzenia. Na chwilę Anton przypomniał sobie bunkry, które niegdyś tutaj stały, koło Wehrmachtheimu i wokół niemieckich instytucji zajmujących wille, gdzie obecnie mieściły się konsulaty amerykański, radzieckie przedstawicielstwo handlowe i bank Société Générale. Okrzykami witano jednych polityków, gwizdami innych, aż w końcu ta wielka masa ludzka zaczęła się krok za krokiem posuwać.

Oficjalna trasa nie mogła prawdopodobnie wchłonąć wszystkich uczestników, bo demonstracje rozchodziły się teraz po mieście w różnych kierunkach. Antona ogarnął stan dziwnej euforii, ale bez podniecenia; raczej coś na podobieństwo snu, który łączy się z czymś bardzo, bardzo odległym w czasie, czymś jeszcze sprzed wojny. Był już teraz nie sam dla siebie, ale wraz z tymi wszystkimi ludźmi. Pomimo tego całego gwaru unosiła się nad nimi wielka cisza. Poprzez ich obecność wszystko wydawało się być inne: nie tylko on sam, ale również domy z oknami, z których tu i ówdzie zwisały białe prześcieradła, jak w mieście, które kapitułuje, przesuwane się po niebie szare chmury, wiatr, kołyszący czarnym balonem-rakieta, od czasu do czasu ustawiający go w pozycji poziomej, po czym ten natychmiast się prostował.

DZIEKUJEMY ZA TAKĄ PRZYSZŁOŚĆ

Na rogu placu demonstracja zderzyła się z szerokim ludzkim strumieniem, który chciał najpierw dojść do punktu wyjścia.

Uprzejmie się uśmiechając i przeprasząc jeden drugiego, przepuszczano się wzajemnie. Antonowi zrobiło się trochę głupio. Oto ci ludzie wcale nie byli lub nie stali się tak nieuprzejmi, jak on sądził, bo teraz zachowywali się zupełnie poprawnie; a może ci, którzy tu przybyli, jeszcze nie zdążyli się zmienić? Powinien być wdzięczny Van Lennepowi za to, że go tu ściągnął. Idąc, wspinał się na palce i rozglądał dookoła. Nagle dostrzegł Sandrę i zawołał ją. Pomachali do siebie i zaczęli manewrować w swoim kierunku.

— Własnym oczom nie wierzę! — zawołała Sandra z daleka. — Czy to możliwe, papa! — Pocałowała go w policzek i wsunęła mu rękę pod ramię. — Co się stało?

— Myślę, że jestem tu jedynym, którego zmuszono do wzięcia udziału w tym wszystkim, ale z każdą chwilą zamieniam się w ochotnika. Cześć, Bastiaan — podał rękę jej koledze, przystojnemu chłopcu w dżinsach, sportowych pantoflach, palestyńskiej kaffii na szyi i ze złotym kolczykiem w lewym uchu; nie za bardzo go lubił, ale tamten właśnie zrobił wszystko, żeby zostać ojcem jego wnuka. Sandra wynajmowała pokój w mieście, ale przed kilkoma tygodniami wprowadziła się do tego chłopca, do zabarykadowanej posesji, przeznaczonej do wyburzenia. Gdy Anton opowiedział, jak doszło do jego udziału w demonstracji, Bastiaan odezwał się:

— Niech ci się nie wydaje, że jesteś tu jedynym, który idzie na rozkaz. Tu się aż roi od policjantów. Popatrz tylko.

Pojawiła się grupa żołnierzy, którym zgotowano owację. Anton widział ludzi, którzy na widok mundurów nie potrafili powstrzymać łez: jak cenny obraz, przedstawiający kwiaty, tryumfujący żołnierze zostali osłonięci przez taneczny krąg chłopców i dziewcząt. Anton niezupełnie to rozumiał.

— Czy i oni są tutaj na rozkaz?

Napotkał wzrok jakiejś starszej kobiety, spoglądającej na niego tak, jakby go poznawała; z pewnością jakaś pacjentka, więc skłonił lekko głowę w jej kierunku.

— Ależ skąd! Ej, patrz tam! — Bastiaan wskazał mu mężczyznę w wiatrówce, filmującego żołnierzy. — Policja.

— Jesteś pewien?

— Powinniśmy mu właściwie wybić tę kamerę z rąk.

— Tak, to właśnie powinienes zrobić. Oni tylko czekają na coś takiego, co by mogło zepsuć całą sprawę.

— Oczywiście przypadkowo i niechący — odparł Bastiaan z fałszywym uśmiechem, który Antona ogromnie rozsierdził.

— Tak, przypadkowo i niechący, tak się zachowuje męczyzna towarzyszący kobiecie w ciąży. Ja jednak wolałbym zostać dziadkiem, jeśli to jeszcze będzie możliwe.

— O.K. — wtrąciła się pojednawczo Sandra z tą swoją śpiewną intonacją. — Znów to samo... Adieu, papo, zadzwonię do ciebie.

— Trzymaj się, skarbie. I postaraj się wyprowadzić z tego domu, zanim go zaatakują policja. Cześć, Bastiaan.

Nie była to prawdziwa kłótnia, ale kolejne wydanie tej wzajemnej irytacji, która nieomal weszła im już w krew.

Nigdzie nie było widać ani Van Lennepa, ani Petera. Anton podązał machinalnie wraz z tłumem. Starsi ludzie, stojący na małych balkonach, wyciągali w górę ręce rozstawiwszy palce w kształcie litery V — gest zapamiętany jeszcze z czasów wojny; wraz z demonstrantami posuwały się małe orkiestry i prawie wszędzie na chodnikach ktoś na czymś grał, nie oczekując za to żadnych pieniędzy. Najwidoczniej całe społeczeństwo zbikowało. Punkowie w czarnych koszulkach i o wiele za dużych, błyszczących kamizelkach z bazaru, z żółtymi i czerwonymi czubami na głowach tańczyli swobodnie, obserwowani nieco rozczulonym wzrokiem przez tych wszystkich, którzy do tej pory ich się bali. Tylko w powietrzu Holandia żyła nadal normalnym życiem: ciągnięte przez samoloty transparenty reklamowe głosiły, że jedynie dzieciątko Jezus daje pokój i że na Kalverstraat numer tyle i tyle można w ciągu godziny wywołać kolorowe zdjęcia. Na dachu zaparkowanego wozu meblowego siedziało dwóch rezydentów piętnastolatków z własną interpretacją marszu pokoju: PIERWSZA BOMBA NA WASZYNGTON. Na ich widok pokasływano i pochrząkiwano w kułak, ale były też transparenty po rosyjsku, ze słowem MOCKBA. Na wszystkich skrzyżowaniach Anton widział, że sąsiednie ulice także były szczelnie wypełnione ludźmi, napływającymi jak strumienie — stopniowo rozwijało się tu coś zupełnie nieoczekiwanego. Również w jego strumieniu zaznaczyły się oddzielne nurty, bo wciąż widział wokół siebie

innych ludzi. W połowie drogi do Stadhouderskade został nagle odsunięty na bok przez grupę czarnych, zamaskowanych postaci z kołatkami, szybko przebijających sobie drogę do czoła, z wymalowanymi na kombinezonach fluoryzującymi szkieletami: jak średniowieczni zadżumieni. Potrafił niechęć kogoś idącego z boku i natychmiast go przeprosił: była to ta sama kobieta, która przed chwilą tak się w niego wpatrywała. Uśmiechnęła się niepewnie.

— Tonny? — zapytała z wahaniem. — Poznajesz mnie?

Anton spojrział na nią zdziwiony: drobną kobiecina około sześćdziesiątki, z siwymi, prawie białymi włosami i bardzo jasnymi, lekko wytrzeszczonymi oczami za grubymi szklami okularów.

— Przepraszam... ale nie mogę sobie przypomnieć...

— Karin. Karin Korteweg. Twoja sąsiadka z Haarlemu.

III

Najpierw był przeblysk świadomości: oto duża blondynka z „Niespodzianki” zmieniła się w idącą obok starszą panią. Potem była bezradność.

— Powiedz, jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać — zastrzegła się kobieta pośpiesznie — natychmiast odejdę.

— Ależ nie, oczywiście, że tak... — wydukał Anton. — Muszę tylko na chwilę... Jestem tak zaskoczony...

— Widziałam cię już od dłuższego czasu, ale gdybyś ty się ze mną nie zderzył, ja nigdy bym się do ciebie pierwsza nie odezwała, naprawdę. — Podniosła głowę i spojrzała na niego usprawiedliwiająco.

Anton usiłował się opanować. Lekko drżał. Tak jak podczas letniego dnia na morskiej plaży nagle przesunie się nad nią ciemny, chłodny cień, tak teraz w jego wspomnieniach odżył niespodziewanie ten przekłety, wojenny wieczór.

— Nie, daj spokój — uspokoił ją. — Jeśli już idziemy razem...

— Widocznie tak miało być — odpowiedziała i wyjęła papierosa z torebki, w której była otwarta paczka. Osłaniając dłonią

ogień, zapaliła i znów spojrzała na niego: — Właśnie podczas tego marszu pokoju...

Tak widocznie miało być; patrząc ponuro przed siebie, schował zapalniczkę do kieszeni, a równocześnie pomyślał: najwidoczniej jednak nie miało być tak, żeby Ploeg leżał przed waszym domem. Poczuł, jak wzbiera w nim stary jad, ten nigdy nie wietrzejący jad: jakby miało być tak, by tamten leżał właśnie przed ich domem. Szli teraz obok siebie krok w krok. Mdliło go od tego. Mógł z łatwością odejść, wiedział jednak, że kobieta obok była, być może, w jeszcze trudniejszej sytuacji niż on.

— Od razu cię poznałam, gdy cię tylko zobaczyłam — oznajmiła Karin. — Jesteś tak samo wysoki jak niegdyś twój ojciec i siwy, ale właściwie wcale się nie zmieniłeś.

— Słyszę to dość często. Nie wiem jednak, czy to dobrze.

— Zawsze wiedziałam, że któregoś dnia cię spotkam. Mieszkasz tu, w Amsterdamie?

— Tak.

— A ja już od kilku lat w Eindhoven. — Gdy Anton nie podejmował rozmowy, zapytała go ponownie: — A co robisz, jaki masz zawód?

— Jestem anestezjologiem.

— Naprawdę? — wypowiedziała to takim tonem, jak gdyby zawsze chciała, żeby właśnie nim został.

— Naprawdę. A ty? Nadal jesteś pielęgniarką?

To pytanie jakby popsulo jej nastrój.

— Już od dawna nie. Spędziłam kawał czasu za granicą, pracowałam z niedorozwiniętymi dziećmi. Potem tutaj przez parę lat też, teraz jednak żyję z zasiłku. Zdrowie nie za bardzo mi dopisuje... — I nagle znowu się ożywiwszy, zapytała: — Czy ta dziewczyna, z którą przed chwilą rozmawiałeś, to twoja córka?

— Tak — odpowiedział Anton niechętnie. Czuł, że ta kobieta nie ma nic wspólnego z jego obecnym życiem — że istniało ono bardziej pomimo niej niż dzięki niej.

— A wiesz, że jest podobna do twojej matki? Ile ma lat?

— Dziewiętnaście.

— Jest w ciąży, prawda? Widać to na razie bardziej po jej oczach niż po figurze. Jedynaczka, czy masz więcej dzieci?

— Mam jeszcze syna, z drugiego małżeństwa — rozejrzył się wokoło. — Też powinien gdzieś tutaj być.

— Jak ma na imię?

— Peter — odpowiedział Anton i popatrzył na Karin. — Ma dwanaście lat.

Dostrzegł, że po niej jakby dreszcz przebiegł; żeby dopomóc jej przewyciężyć zmieszanie, zapytał: — A ty masz dzieci?

Karin potrząsnęła przecząco głową i utkwiała wzrok w plecach idącej przed nią kobiety, popychającej inwalidzki fotel na kółkach, w którym siedział starszy mężczyzna.

— Nigdy nie wyszłam za męż...

— A twój ojciec żyje jeszcze? — Już wypowiadając to pytanie Anton spostrzegł, że ma ono sarkastyczny podtekst, o który mu wcale nie chodziło.

Karin znowu pokręciła głową.

— Umarł już dawno.

W milczeniu sunęli z tłumem dalej. Skończyło się skandowanie haseł, wszędzie nadal rozbrzmiewała muzyka, ale w ich sąsiedztwie nikt nic nie mówił. Karin chciała porozmawiać o tamtym, odległym wydarzeniu, ale Anton wyczuwał, że nie ma odwagi zacząć. Peter... na zawsze siedemnastoletni, dziś miałby pięćdziesiąt cztery lata. To wyliczenie uświadomiło mu znacznie wyraźniej niż jego własny wiek, jak dawno temu to wszystko się rozegrało. A także ta idąca obok postarzała kobieta, która niegdyś wzbudzała w nim podniecenie, której ładne niegdyś nogi, z obrysem wywołującym w jego wyobraźni skojarzenie z profilem skrzydeł samolotu, stały się z wiekiem jakby wysuszone i zylaste. Być może to ona właśnie widziała Petera jako ostatnia. W bojaźliwym, ale równocześnie pełnym ulgi stanie ducha, w jakim pisarz zaczyna ostatni rozdział swojej książki, Anton zaczął ostrożnie:

— Posłuchaj, Karin. Nie bawmy się w zbędne ceregiele. Ty chcesz się tego pozbyć, a ja chcę tego wysłuchać. Co dokładnie wydarzyło się tamtego wieczoru? Czy Peter uciekł do waszego domu?

Karin kiwnęła głową.

— Myślałam, że przyszedł nas zastrzelić — powiedziała cicho, nie odwracając wzroku od pleców tej, która szła przed nią. —

Za to, co wtedy zrobiliśmy... — Spojrzała na niego nerwowo. — Trzymał w rękach pistolet, dopiero później się dowiedziałam, że to był pistolet Ploega. Pojawił się niespodziewanie w naszym pokoju, wyglądał strasznie. Paliła się u nas tylko lampka łożowa, ale od razu spostrzegłam, że jest tak wściekły, iż zupełnie nie panuje nad sobą. — Karin przełknęła ślinę i mówiła dalej. — Powiedział, że jesteśmy świnię, że zaraz nas powystrzela. Był zupełnie roztrzęsiony. Nie wiedział, co ma robić, tamci byli na jego tropie, nie mógł już wyjść z domu. Powiedziałam mu, żeby natychmiast pozbył się pistoletu, że trzeba to gdzieś schować, bo gdy przyjdą Niemcy, mogą go, być może, wziąć za mordercę.

— Co odpowiedział?

Karin wzruszyła ramionami.

— Zdawało mi się, że w ogóle nic do niego nie dotarło. Stał i nadal wymachiwał pistoletem, nasłuchując jednocześnie odgłosów z ulicy. Ojciec kazał mi siedzieć cicho.

Idąc powoli, z rękami założonymi do tyłu, Anton patrzył w ziemię. Lekko zmarszczył brwi.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Nie spytałam go o to, a później ojciec nigdy już nie chciał rozmawiać o tamtym wieczorze. — Przez chwilę milczała. — Ale tamci zobaczyli, jak Peter do nas wchodził, przeszukaliby dom i oczywiście znaleźliby ten pistolet. Postawiliby nas wtedy natychmiast pod ścianą jako współwinowajców, tak się to przecież odbywało. Nie zawracaliby sobie głowy wyjaśnianiem, jak naprawdę było z bronią.

— Chodzi ci więc o to — przerwał jej Anton powoli — że zdaniem twojego ojca było korzystne, iż trzymał was na muszce ktoś, kogo Niemcy mogliby uznać za mordercę... — A gdy Karin prawie niezauważalnie kwinęła głową, dodał: — Co tym samym czyniło go w ich oczach faktycznym mordercą.

Karin nie odpowiedziała. Krok za krokiem ta powolna ludzka rzeka ciągnęła ich za sobą. Z którejs z bocznych uliczek wyszła grupa szesnastolatków ogolonych na zero, w czarnych, skórzanych kurtkach, czarnych spodniach i wysokich butach z podkutymi obcasami. Na nikogo nie patrząc, torowali sobie drogę przez pochód i zniknęli za mostem po drugiej stronie.

— A co było potem? — zapytał Anton.

— Po jakimś czasie na nabrzeżu zebrała się cała armia. Nie pamiętam już dziś, jak długo to trwało. Byłam śmiertelnie przeżrana. Peter przez cały czas celował do nas z rewolweru, nagle koło domu rozległ się hałas i wrzaski. Nie miałam pojęcia, co zamierza zrobić, myślę, że on też nie wiedział. Nie sądzę, by nie zdawał sobie sprawy, że jest w potrzasku. Często się później zastanawiałam, dlaczego nas wtedy nie zastrzelił. Nie miał już nic do stracenia. Być może rozumiał jednak, że to przecież nie była nasza wina — mam na myśli, że... — podniosła na niego wzrok, żeby się upewnić, czy może powiedzieć to, co chciała — że ten trup wcale nie należał do nas bardziej niż do was, czy do kogośkolwiek innego. Widziałam, jak Peter chciał go położyć z powrotem koło nas, i...

— Wcale nie jestem tego pewien — wpadł jej w słowo Anton. — Może chciał go położyć koło Beumerów. Wiesz, państwo Beumer, to już byli starsi ludzie.

Karin westchnęła i przeciągnęła dłonią po twarzy. Spojrzała na Antona rozpaczliwym wzrokiem i Anton dostrzegł, iż zrozumiała, że chciał najpierw usłyszeć, co się dalej działo, ale że sam o to nie zapyta. Odwróciła gwałtownie głowę w drugą stronę, jakby tam szukała pomocy. Gdy jej nie znalazła, powiedziała:

— O, Tonny... W zasłonach zaciemniających okna od strony ogrodu musiała być szpara, przez którą dostrzegli go, jak stał z pistoletem w dłoni. W pewnym momencie przez okno padł strzał. Rzuciłam się na podłogę, ale przekonana jestem, że go trafili za pierwszym razem. W chwilę później wywalili drzwi i jeszcze kilkakrotnie strzelili, skierowawszy lufy karabinów ku ziemi. Jakby strzelali do jakiejś bestii...

Czy Bóg Słońca nie zna jaśniejszego opisu tej kupy gruzów? A więc o to chodziło. Anton na moment odchylił głowę do tyłu i głęboko wciągnął w płuca powietrze, patrząc przy tym, choć niczego nie widział, na łopoczący za samolotem pas materiału z jakąś reklamą. Pokojowa demonstracja, w jakiej teraz uczestniczył, była bardziej odległa, niż to wydarzenie sprzed trzydziestu sześciu lat, przy którym nie był obecny, niż tamten pokój, w którym grywał z Karin w „chińczyka” i w którym zastrzelono Petera przez szparę w zasłonach.

— I co dalej?

— Już nie pamiętam... — Poznał po jej głosie, że płacze, ale nie spojrzął na nią. — Nie patrzyłam więcej. Natychmiast wywleczono nas do ogrodu, jakby groziło nam jeszcze jakieś inne niebezpieczeństwo. Zdaje mi się, że staliśmy tam przez dłuższy czas na mrozie. Przypominam sobie tylko brzęk tłuczonego szkła, gdy rozbijali u was okna. Nadjechało jeszcze więcej Niemców, którzy wchodzili do domu albo z niego wychodzili. Gdy nas potem wywozili przez łąki, tam też stały auta. Odstawili nas do komendantury wojskowej, ale z oddali słyszałam te okropne wybuchy, gdy wysadzali wasz dom... — Głos jej się załamał. Anton przypomniał sobie, że widział Kortewega w Ortskommandantur, kiedy przechodził przez korytarz. Szklanka ciepłego mleka, kromka chleba ze smalcem... Czuł się wewnętrznie skotłowany, jak splądrowany przez złodziei pokój, lecz równocześnie przy tym wspomnieniu pojawiła się fala szczęścia, która natychmiast usłapiła miejsca wspomnieniu o Schulzu, gdy ten leżał oparty o stopień ciężarówki... Anton zacisnął na chwilę z całej siły powieki i znów szeroko je otworzył.

— Czy jeszcze was przesłuchiwali?

— Ja byłam przesłuchiwana oddzielnie.

— Opowiedziałas, jak to naprawdę było?

— Tak.

— I co powiedzieli, kiedy dowiedzieli się, że Peter nie miał z tym nic wspólnego?

— Wzruszyli ramionami. Oni też sądzili, że ten pistolet należał do Ploega. Ale tymczasem złapali kogoś innego, tak powiedzieli, jakąś dziewczynę, o ile dobrze zrozumiałam.

— Tak — włączył się Anton — ja też o tym słyszałem. — Zrobił cztery kroki, zanim dodał: — Była w twoim wieku.

Zamyślił się na chwilę. Powinien się teraz dowiedzieć wszystkiego i na wieki to pogrzebać, przywalić kamieniem i nigdy już o tym nie myśleć. — Czegoś tu jednak nie rozumiem — odezwał się. — Widzieli przecież, że Peter groził wam pistoletem. Czy nie pytali, dlaczego?

— Oczywiście, że tak.

— I co im odpowiedzieliście?

— Prawdę.

Nie wiedział, czy może jej wierzyć. Z drugiej jednak strony

Karin wówczas prawdopodobnie jeszcze nie wiedziała, że jego rodzice nie mogą już tego zeznać. Mógłby to zeznać on sam, ale nikt go o to nie spytał.

— A więc i to, że Ploeg leżał najpierw naprzeciwko waszych drzwi?

— Tak.

— I to, że złożyliście go koło naszego domu?

Kiwnęła głową potakująco. Myślała może, że on zechce jej teraz czynić wyrzuty, ale nie miał na to ochoty. Przez jakiś czas żadne z nich się nie odzywało. Szli dalej obok siebie, uczestnicząc w tej demonstracji, a jednocześnie będąc daleko.

— Nie bałaś się — zainteresował się Anton — że wasz dom też mogą spalić?

— Lepiej, gdyby tak się stało — odpowiedziała Karin, jakby czekała na to pytanie. — Czy wiesz, jak ja się czułam po tym wszystkim? Gdyby to zrobili, moje życie potoczyłoby się inaczej. W tym momencie najbardziej pragnęłam, żeby mnie rozstrzelali albo żeby Peter mnie zastrzelił.

Anton wyczuł z jej tonu, że mówiła prawdę. Miał przez chwilę chęć dotknąć jej, ale nie uczynił tego.

— Co powiedzieli, gdy to usłyszeli? Czy Ortskommandant był przy tym obecny?

— Tego nie wiem. Przesłuchiwał mnie Niemiec w cywilu. Najpierw...

— Czy miał on szramę na twarzy?

— Szramę? zdaje mi się, że nie. A dlaczego?

— Mów dalej.

— Najpierw powiedział tylko tyle: „Das ist mir wurscht wer wie wo was” *, nawet nie spojrzął na mnie. Jeszcze dobrze to pamiętam. I wtedy nagle odłożył pióro: założył ręce na piersi, przez chwilę mi się przyglądał i tonem pełnym szacunku powiedział: „Gratuliere”.

Antona teraz z kolei korciło, żeby pogratulować jej tego komplementu, ale się opanował.

— Opowiedziałas to swojemu ojcu?

Z lekko wyczuwalnym ociąganiem Karin odpowiedziała:

Das ist... (niem.) — Wszystko mi jedno, kto, jak, gdzie i co.

— On nigdy nie dowiedział się tego, co ja zeznawałam, a ja nie wiem, co zeznawał on. Spotkaliśmy się ponownie dopiero następnego ranka, gdy pozwolono nam wrócić do domu. Ale zanim cokolwiek zdążyłam powiedzieć, on oznajmił: — Karin, nie będziemy więcej o tym rozmawiać, zrozumiano?

— I ty rozumiałaś?

— I rzeczywiście, nigdy więcej nie wspomniał o tym ani jednym słowem, przez całe swoje życie. Również wtedy, gdy wróciliśmy do domu i zobaczyliśmy tę dymiącą kupę gruzów, a od Beumerowej dowiedzieliśmy się... to znaczy... chodzi o to, co stało się z twoimi rodzicami...

Kobieta pchająca fotel na kółkach zniknęła, wchłonięta przez nurt płynący innym korytem. Tłum znowu skandował hasła rzućcane przez kobietę z megafonem, bijąc przy tym brawa, ale głosy nie wzmocnione instalacją nagłośniącą rozplywały się w powietrzu. Większość ludzi szła w milczeniu, jak gdyby na czele niesiono trumnę ze zwłokami ukochanej osoby. Wszędzie na chodnikach stali gapie przyglądający się przeciągającemu pochodowi. Pomędzy tymi, którzy szli, a tymi, którzy stali, istniała jakaś różnica, dzielił ich jakiś chłód, coś jakby związanej z wojną.

— W kilka lat po wojnie — odezwał się Anton — odwiedziłem raz Beumerów. Dowiedziałem się wtedy, że wyprowadziliście się zaraz po wyzwoleniu.

— Wyemigrowaliśmy. Do Nowej Zelandii.

— Ach, tak.

— Tak — potwierdziła Karin i spojrzała na niego — bo ojciec bał się ciebie.

— Mnie? — zdziwił się Anton z uśmiechem.

— Stwierdził, że chce zacząć nowe życie, ale ja sądzę, że wolał zejść ci z oczu. Od pierwszego dnia po wyzwoleniu zaczął robić wszystko, żeby wyjechać. Wiem z całą pewnością, że się obawiał, że ty, gdy dorośniesz, pewnego dnia przyjdiesz się zemścić — również na mnie.

— To ci dopiero historia! — pokręcił głową Anton. — Nigdy mi coś podobnego nawet przez myśl nie przeszło!

— Ale jemu tak. W kilka dni po wyzwoleniu zadzwonił do naszych drzwi twój wuj, ale gdy powiedział, kim jest, mój oj-

ciec natychmiast zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Od tej chwili nie miał już spokoju. W kilka tygodni później wprowadziliśmy się do mojej ciotki w Rotterdamie. Ponieważ ojciec miał w porcie różne kontakty jeszcze z wcześniejszych lat, mogliśmy już pod koniec roku odpłynąć statkiem handlowym. Byliśmy prawdopodobnie pierwszymi holenderskimi imigrantami w Nowej Zelandii. — Nagle spojrzała na niego dziwnym, zimnym wzrokiem. — I tam — dodała — w czterdziestym ósmym roku popełnił samobójstwo.

Poruszenie, z jakim Anton przyjął tę wiadomość, ustąpiło natychmiast miejsca poczuciu akceptacji, wręcz aprobaty — jakby rzeczywiście dokonał zemsty. Oto od trzydziestu trzech lat Peter był pomszczony. Co by Takes na to powiedział? Jeszcze w trzy lata po jego zamachu były ofiary śmiertelne.

— Dlaczego? — spytał.

— Słucham?

— Pytam, dlaczego popełnił samobójstwo? Przecież tamto zrobił w odruchu samozachowawczym? A może raczej i przede wszystkim dla ciebie? Dopomógł tylko trochę przypadkowi.

Gdzieś musiał utworzyć się korek, bo stali teraz prawie w miejscu. Karin potrząsnęła głową.

— Nie? — zdziwił się Anton.

— Nikt z nas nie pomyślał o tym, że Niemcy rozstrzelają również mieszkańców domu. To się przecież poprzednio nie zdarzało... Nasze życie zawisło na włosku dopiero wtedy, gdy Peter stanął przed nami z pistoletem.

— W takim razie ja tu czegoś nie rozumiem. Chodziło mu więc jedynie to, żeby to nasz dom poszedł z dymem, a nie jego, all right, nie jest to przyjemne, ale można zrozumieć. Tego, że później wszystko potoczy się zupełnie inaczej, nie mógł przecież przewidzieć. Mogę sobie wyobrazić, że miał wyrzuty sumienia albo że mógł się mnie bać... ale żeby samobójstwo?

Zauważył, że Karin z trudem przełyka ślinę.

— Tonny... — odezwała się po chwili — jest jeszcze coś, o czym powinienś wiedzieć... — Stała w miejscu, ale zaraz musiała znów zrobić krok. — Gdy usłyszeliśmy te strzały i zobaczyliśmy, że Ploeg leży przed naszym domem, jedyne słowa, jakie ojciec wypowiedział, to: „Och, mój Boże, jaszczurki”.

Anton popatrzył ponad nią szeroko rozwartymi oczami. Jaszczurki... Czy to możliwe? Czy to wszystko stało się z powodu jaszczurek? Czyżby te jaszczurki były ostatecznymi winowajcami?

— Chcesz powiedzieć, że bez jaszczurek nie doszłoby do tego?

Karin, zamyślona, dwoma palcami zdjęła włos z jego ramienia i strzepnęła na jezdnię.

— Nigdy nie zdawałam sobie sprawy z tego, ile one dla niego znaczą. Posiadał w nich, na swój sposób, coś z wieczności i nieśmiertelności, coś z tajemnicy. Nie wiem, jak to wyrazić. Podobno małe dzieci też zawsze mają jakąś swoją tajemnicę. Potrafił się im godzinami przyglądać, siedząc bez ruchu tak samo jak one. Sądzę, że miało to coś wspólnego ze śmiercią mojej matki, tak mi się wydaje, ale nie pytaj mnie o to, bo nie wiem na pewno. Ale gdybyś wiedział, z jakim trudem udało mu się utrzymać je przy życiu podczas głodowej zimy: była to chyba jedyna rzecz, która go jeszcze obchodziła na tym świecie. Może bardziej zależało mu na tych stworzeniach niż na mnie. Były one czymś w rodzaju jego ostatniego oparcia.

Pochód zatrzymał się już zupełnie. Ponieważ rozdzielone potoki demonstrantów stopniowo starały się połączyć z główną grupą, trasa była coraz bardziej zablokowana. Stali teraz tuż za szerokim transparentem, który luźno zwisając zasłaniał im widok.

— Ale gdy do tego wszystkiego już doszło — ciągnęła dalej Karin — Peter zabity, twoi rodzice też; wtedy prawdopodobnie stały się one nagle dla niego zwykłymi jaszczurkami, zwyczajną zoologiczną kolekcją. Natychmiast po naszym powrocie z Ortskommandantur wszystkie je rozdeptał. Słyszałam, jak szalał tam, na górze. Zamknął potem drzwi na klucz i nie mogłam do niego wejść. Dopiero po kilku tygodniach posprzątał wszystko sam, a to, co pozostało, zakopał w ogrodzie. — Karin uczyniła niepewny gest. — Może była to świadomość, z którą nie potrafił żyć: że troje ludzi zginęło z powodu jego miłości do kolekcji gadów. I że ty go zamordujesz, gdy tylko nadarzy ci się sposobność.

— Coś takiego — powiedział Anton — nic o tym nie wiedziałem.

— Ale ja wiedziałam. I on wiedział, że ja wiedziałam. Dlatego musiałam koniecznie jechać z nim na drugi koniec świata, choć wcale tego nie chciałam. Ale w końcu okazało się, że zupełnie ciebie nie potrzebował, żeby stracić życie. To siedziało w nim samym.

Anton poczuł, że robi mu się niedobrze. Te wyjaśnienia były chyba jeszcze okropniejsze niż rzeczywistość. Spojrzał na Karin, na jej twarzy dopiero co obeschły łzy. Powinien teraz odejść i nigdy więcej jej nie spotkać — musiał się jeszcze tylko dowiedzieć jednej rzeczy. Karin dalej mówiła, ale raczej do samej siebie niż do niego:

— Był człowiekiem przeraźliwie nieszczęśliwym. Gdy nie zajmował się swoimi jaszczurkami, to siedział nad atlasami. Trasa do Murmańska, amerykańskie konwoje... Był za stary, żeby podjąć próbę ucieczki do Anglii, więc...

— Karin — przerwał jej Anton. Zamilkła i podniosła na niego wzrok. — Siedzieliście wtedy w domu. Słyszeliście strzały. I gdy zobaczyliście, że Ploeg leży, wyszliście na zewnątrz, żeby go przenieść, tak?

— Tak, ojciec całkowicie mnie zaskoczył. Podjął tę decyzję w jednej sekundzie.

— Posłuchaj. W pewnym momencie każde z was trzymało Ploegą od swej strony — ojciec za ramiona, a ty za nogi.

— Widziałeś nas?

— Nie o to mi teraz chodzi. Chcę wiedzieć tylko jedno: dlaczego złożyliście go wtedy przed naszym domem a nie przed tym z drugiej strony, przed domem Aartsa?

— Ja właśnie tak chciałam! — nieomal wykrzyknęła podniecona Karin, kładąc rękę na ramieniu Antona. — Dla mnie było zupełnie oczywiste, że nie może on leżeć koło was, koło ciebie i Petera, ale koło Aartsów, którzy mieszkali tam tylko we dwoje i których właściwie zupełnie nie znałam. Zrobiłam już krok w ich kierunku, ale wtedy mój ojciec powiedział: „Nie, tam nie, tam ukrywają się Żydzi”.

— O Boże! — zawołał Anton i złapał się za głowę.

— No tak, ja też o tym nie wiedziałam, ale widocznie ojciec wiedział. Ukrywała się tam młoda żydowska rodzina z małym dzieckiem, już od czterdziestego trzeciego roku. Po raz pierwszy zobaczyłam ich w dniu wyzwolenia. Gdyby Ploeg tam się właśnie znalazł, wszyscy ci ludzie by zginęli. Oni też z pewnością widzieli, co robimy, ale nigdy się nie dowiedzieli, jak naprawdę z tym było.

A Aartsowie, których każdy omijał, bo z nikim nie chcieli utrzymywać kontaktów: to oni właśnie uratowali życie trojgu Żydom — a ci Żydzi, przez to, że tam byli — im! Mimo wszystko Korteweg był dobrym człowiekiem! I przez to trup Ploega znalazł się po drugiej stronie, koło nich... tak że w następstwie... — Anton nie mógł tego dłużej znieść.

— Do widzenia, Karin, wybacz mi, ale ja... niech ci się wie-dzie.

Nie czekając na odpowiedź, pozostawiwszy ją stojącą bezradnie, odwrócił się i wcisnął pomiędzy ludzki tłum, klucząc w różne strony, żeby mieć pewność, iż Karin już go nie odnajdzie.

IV

Potrwało trochę, choć nie za długo, zanim się z tego otrząsnął. Dotarł do tej części demonstracji, która jeszcze była w ruchu, lub też już wracała, i dał się ponieść tłumowi. Było tak, jakby te setki tysięcy ludzi, ta nie kończąca się rzeka ludzkich istnień, które widział na mostach nad kanałami przed i za sobą, nieustannie przybierająca wielkimi grupami wychodzącymi z bocznych ulic dodawała mu sił. Nagle poczuł w swojej ręce czyjąś dłoń. To Peter, który, śmiejąc się, patrzył na niego. Anton odwzajemnił uśmiech syna, ale poczuł, że oczy go zapiekły. Pochylił się nad chłopcem i bez słowa pocałował jego ciepłą czuprynę. Peter zaczął coś do niego mówić, ale do Antona to nie docierało.

Czy każdy był winny a zarazem niewinny? Czy wina była niewinna a niewinność winna? Tych troje Żydów... Wymordowa-

no ich sześć milionów, dwanaście razy więcej niż zebranych tu ludzi, ale znajdując się w sytuacji najwyższego zagrożenia tamta trójka uratowała życie samym sobie i jeszcze dwojgu ludziom, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, i zamiast nich, przy współudziale jaszczurek, zginęli jego ojciec, matka i Peter...

— Peter? — zwrócił się do syna, ale gdy chłopiec podniósł na niego wzrok, pokręcił tylko z uśmiechem głową, na co Peter też się tylko uśmiechnął. W tej samej chwili przeszło mu przez myśl: ravage, oczywiście, ravage — tak brzmiał niejasny opis Boga Słońca.

A gdy znaleźli się na wysokości Westerkerk, idąc w kierunku placu Dam, gdzieś daleko za nimi zabrzmiał nagle, najpierw bardzo cicho, stopniowo narastający, okropny, masowy krzyk. Każdy oglądał się z przerażeniem. Co się stało? Teraz nic nie ma prawa się stać. Był to bez wątpienia krzyk strachu, który nie ucichał, lecz podchodził coraz bliżej. Kiedy doszedł do nich, wciąż jeszcze nic się nie działo, ale każdy zaczął nagle wydawać nieartykułowane okrzyki — również Peter, również Anton. W chwilę później krzyk ich minął, przemieszczając się do przodu, pozostawiając ich roześmianymi, aż zamarł za zakrętem Raadhuisstraat. Anton bezskutecznie próbował rozwikłać zagadkę tego krzyku. W parę minut później ponownie doszedł do nich od tyłu taki sam krzyk, znów ich minął i zaciął w oddali. Anton zrozumiał, że przemieszcza się on po całym mieście — pierwsi demonstranci byli już na Museumplein, ostatni jeszcze nie ruszyli z miejsca — krzyk obiegał więc miasto wokół, każdy krzyczał ze śmiechem, ale był to krzyk przerażenia, archaiczne morze ludzkości, która używała ich, obecnych tu, po to, by sama się kształtować.

Ale co to ma do rzeczy? To wszystko poszło już w zapomnienie. Krzyki zamarły w oddali, fale się wygładziły, ulice opustoszały i znów zapanował spokój. Wśród demonstrantów idzie wysoki, szczupły mężczyzna, trzymając za rękę syna. On „przeżył wojnę”, jeszcze zdążył, jako jeden z ostatnich. Znalazł się tutaj, w tej demonstracji, wbrew swojej woli, i błyski w jego oczach pozwalają się domyślać, że traktuje to jako nieco zabawny po-

mysł. Idzie z lekko przekrzywioną na bok głową, jak ktoś, kto nasłuchuje czegoś z oddali, daje się prowadzić poprzez miasto do punktu wyjścia; krótkim ruchem odrzuca do tyłu miękkie, siwe włosy, powłóczy troszeczkę nogami i jego buty jakby wzbijały małe obłoczki popiołu, choć nigdzie popiołu nie widać.

Amsterdam, styczeń-lipiec 1982

Spis treści

Prolog	7
Epizod pierwszy 1945	11
Epizod drugi 1952	53
Epizod trzeci 1956 .	73
Epizod czwarty 1966	89
Epizod ostatni 1981 .	139